

Małgorzata Musierowicz

Feblik

Projekt okładki i ilustracje:
Małgorzata Musierowicz / www.musierowicz.com.pl

Redakcja:
Emilia Kiereś / www.kieres.net

© Copyright by Małgorzata Musierowicz

ISBN 978-83-62199-75-4

Wydanie I, Łódź 2015

Wydawnictwo
AKAPIT PRESS
93 – 410 Łódź, ul. Łukowa 18 B
tel./fax: 42 680 – 93 – 70
www.akapit-press.com.pl
zamawiam@akapit-press.com.pl

Spis treści

Małgorzata Musierowicz
Feblik

Występują:

10 sierpnia 2013, sobota

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.
- 5.
- 6.
- 7.
- 8.
- 9.
- 10.
- 11.
- 12.
- 13.
- 14.
- 15.
- 16.
- 17.
- 18.
- 19.
- 20.

11 sierpnia, niedziela

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.
- 5.
- 6.
- 7.
- 8.
- 9.
- 10.
- 11.
- 12.
- 13.
- 14.
- 15.
- 16.
- 17.

12 sierpnia, poniedziałek

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.
- 5.

- 6.
- 7.
- 8.

13 sierpnia, wtorek

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.
- 5.
- 6.
- 7.
- 8.

Występują:

Agnieszka Żyra
jej siostra Tekla
ich matka

Ignacy Grzegorz Stryba
jego matka, Gabriela Stryba, z domu Borejko
jego ojciec, Grzegorz Stryba

Ida Pałys, z domu Borejko, siostra Gabrieli
Marek Pałys, jej mąż
Józef Pałys, ich syn

Patrycja Górską, z domu Borejko, siostra Gabrieli
Florian Górski („Baltona”), jej mąż
Natalia Rojek, z domu Borejko, siostra Gabrieli
Robert Rojek, jej mąż
Jędrzek Rojek i Szymon Rojek – ich synowie

Ignacy Borejko, senior rodu, ojciec Gabrieli, Idy, Natalii i Patrycji
ich matka, a jego żona, Melania Borejko, z domu Makowska („Babi”)

bogacz z Sołacza
jego żona

Dorota Rumianek
Andzia,
jej babcia Wikta,
siostra Andzi

10 sierpnia 2013, sobota

1.

Agnieszka źle znosiła upały.

Zwykła niedola jasnych blondynek! – nawet jeśli po maturze blondynka taka obetnie warkocz i przefarbuje się radykalnie na kolor hebanu.

Dobrze jej było w tej czarnej, świetnie przyciętej fryzurce, lecz szkoda, że nie mogła zmienić jeszcze i karnacji. Aga miała cerę jasną, łatwo się rumieniła i ulegała oparzeniom słonecznym. Dziwnie łatwo też mdlała, niczym anemiczne bohaterki dawnych powieści. Ale nie stwierdzono u niej anemii; lekarz powiedział, że jej omdlenia to pozostałość dużej emocjonalności wieku dojrzewania, a najpewniej tego, że tak szybko i znacznie wtedy urosła, podczas gdy serce nie nadążyło.

Cóż, sama od pewnego czasu podejrzewała, że jej serce nie nadąża. Wszyscy ludzie w jej wieku szamotali się już bezradnie w sidłach Amora, tylko ona nie miała zamiaru.

Doktor, rzecz jasna, nie wypowiadał się w tej sprawie, lecz poradził unikać upałów i nosić latem nakrycie głowy, więc kupiła sobie letni kapelusik i starała się jak najwięcej przebywać w cieniu. Teraz też spoczywała z książką na leżaku, pod osłoną wielkiej lipy; obok miała termos z lodowatą lemoniadą, a także wentylator obrotowy, przez okno podłączony do gniazdka. Dobrze tu było i żadna potęga by jej stąd nie ruszyła. Tak jej się przynajmniej zdawało.

To było wyjątkowo gorące lato.

Upał przybył prosto z Afryki i zaległ ze swym płomiennym szaleństwem nad umiarkowaną Wielkopolską, wysuszając do cna jej i tak już suche gleby. Rzeka Warta zanikła do połowy, jeziora zmniejszyły swą objętość, zaś spokojna zwykle i jakże pracowita ludność popadała w przewlekłe fazy apatii, a wręcz lenistwa lub przeciwnie: demonstrowała iście latynoskie wybuchy temperamentu.

W Poznaniu spiekota była już taka, że życie w nim zamarło. Kto jeszcze nie zamarł, uciekał z murów miasta, lecz niewiele zyskiwał: tropikalna gorączka z równą zaciekłością atakowała też wsie i miasteczka, w tym – niedużą Neklę, położoną na rozległej nizinie, pośród pól.

A w Nekli najgoręcej było właśnie tu, gdzie znajdowała się Agnieszka: na tyłach dziewiętnastowiecznej chłopskiej chałupki, zagubionej w szeregu okazalszych domków i domów.

Zarastało tu suchym zielskiem podwórko z samotną lipą i pojedynczym (kompletnie odwodnionym) krzaczkiem agrestu; od płotu do płotu zamknięte było drewnianą stodołą. Mieściła się w niej pracownia rzeźbiarska, która stanowiła najbardziej rozżarzony punkt w okolicy – z całą pewnością, ponieważ nigdzie indziej w Nekli nie było dużego pieca do wypalania ceramiki, który by w dodatku aktualnie pracował.

Wypiekała się w nim teraz nowa seria waz i amfor, poszklawionych na szlachetne kolory. Przed piecem (zaglądając mu groźnie w okienko) znajdowała się Tekla, starsza siostra Agnieszki – muskularna blondynka o ostrych rysach, bosa i odziana tylko w bikini. Tekla była artystką rzeźbiarką; była też osobą trudną. Wchodziła w konflikt z każdym, kto się jej sprzeciwiał, a zwłaszcza z tym, kto nie miał ochoty się jej sprzeciwić. W dodatku trenowała karate, żeby się w razie czego obronić.

Mimo tego niełatwego usposobienia (oraz wbrew radom matki) Tekla wyszła za mąż. Następnie, oglądając oferty biur nieruchomości, została oczarowana rozmiarami drewnianej stodoły i kupiwszy za grosze tę podupadłą posesję, porzuciła stolicę województwa. Tekla w

Nekli! To się jej podobało i nawet od razu wypisała sobie taki szyld na pracowni. Zamierzała wieść w tym zaciszu zrównoważone życie artystyczne i rodzinne. Lecz, jak się można było spodziewać, nie znalazła tu spokoju, bowiem niepokój przybył do zacisza wraz z nią.

Mąż Tekli nie wytrzymał tu długo, zrobił tylko piękną renowację (był plastykiem), potem totalną demolkę (był historykiem) i odszedł w dal, zabierając większość gotówki (był nikczemnikiem).

Matka Tekli (i Agnieszki) zawsze wiedziała, że tak będzie i dość często lubiła to powtarzać. Gardziła mężczyznami z powodu ich niestałości, brutalności, zarostu oraz innych wad wrodzonych. Ale, rzecz dziwna, gardziła również kobietami, a to z powodu ich stałości, łagodności, powodzenia, zarówno osobistego, jak zawodowego, oraz innych wad niewybaczalnych. Była osobą jeszcze trudniejszą niż Tekla: także muskularną blondynką, także plastyczką i także porzuconą, nawet dwukrotnie. Pilnie trenowała sztuki walki. Mieszkała w Poznaniu, prowadziła galerię sztuki. Była też stale zajęta pracą twórczą, która przysparzała jej wielu stresów, tym bardziej że, niestety, nikt nie chciał kupować jej obrazów, choć przecież były tak boleśnie szczere i gorzkie.

Agnieszka miała dla niej dużo czułości. Być może jako jedyna na świecie.

Matka rzadko widywała się z Teklą, bo obie działały sobie na nerwy. Chyba były zbyt podobne do siebie. Natomiast Agnieszka, córka dużo młodsza (ale, rzecz dziwna, dużo wyższa), mieszkała wytrwale z mamą. Kursowała między obiema artystkami jak gołąb pocztowy, przynosząc wiadomości i rozkazy; a był też z niej zarazem istny gołąbek pokoju i pojednania, z wiecznie zieloną gałązką oliwną w jakże słabym i nieskutecznym dzióbku.

Mama i Tekla zgadzały się w jednym, tylko jedynym punkcie: że wszystkie wspaniałe kobiety w ich rodzinie są od pokoleń porzucane, a dzieje się tak zapewne z powodu jakiejś klątwy.

Ten przesąd, w pewnej mierze, udzielił się Agnieszce, choć przecież nie wierzyła w żadne zabobony; jednak na wszelki wypadek zachowywała dystans wobec rówieśników. I właściwie wobec całego świata. Toteż była samotna.

Ale to jej raczej nie przeszkadzało.

Nie zamierzała pielęgnować rodzinnej tradycji w żadnym aspekcie. To dlatego wołała już nie być blondynką, dlatego odmówiła kształcenia się w sztuce samoobrony i dlatego nie chciała być artystką. Cóż jednak można zdziałać wbrew genetycznemu dziedzictwu? Niewiele. Ostatecznie Aga oblała egzamin wstępny na prawo, a bez najmniejszego trudu zdała na wydział malarstwa. Ale postanowiła, że przynajmniej, dla odróżnienia, nie będzie się zbyt przejmować swoim powołaniem. Nie była nawet ambitna, jak one dwie. Chciała po prostu sobie spokojnie malować. Dla czystej przyjemności.

A tu właśnie przed stodołą odbywano spektakularne męki twórcze. Tekla mianowicie siedziała teraz za kołem garncarskim, ustawionym w pełnym słońcu (pewnie po to, by proces tworzenia był bardziej dotkliwy). Obie dłonie ułożyła na wirującej bryle gliny i w ostentacyjnym natchnieniu formowała amforę o długiej szyjce. Ale jej nie szło. Z powodu jakiegoś niedostrzegalnego błędu amfora stała się zniecka podobna do grzechotnika, który wygina łeb w kierunku południowo – wschodnim i artystka wpadła w zły humor, zaklęła, unieruchomiła koło, po czym jednym morderczym ciosem (kant dłoni) zdruzgotała pokrakę.

Zadzwoni! telefon komórkowy, wiszący na drewnianych wrotach, i Tekla warknęła:

– Odbierz!

– Ty masz bliżej – zauważyła Aga, której się nie chciało opuszczać lipowego cienia i wyłączyć na spiekotę podwórka. Siostra ze złością wytarła ręce w bikini, po czym skoczyła do telefonu, który powtarzał uparcie swój sygnał (fanfara bojowa).

Wtem rozległ się wielki krzyk i soczyste przekleństwo. A to Tekla stąpnęła na kawałek rozbitej szyby.

– No bo czemu tu chodzisz na bosaka – pospieszyła na ratunek Agnieszka. – W trawie jest pełno gruzu, pokaż, ooo! Oooo!

Ostry odłamek szkła wbił się w miękkie podbicie stopy, co wyglądało bardzo przeraźliwie. Sterczał z niej niczym płetwa grzbietowa rekina.

– Wyjmij mi to, wyjmij mi to – domagała się ranna, stojąc na jednej nodze, a drugą wyciągając przed siebie pod kątem prostym.

– Albo daj, cholera, komórkę!

Komórka ucichła, lecz zaraz znów zaczęła trąbić. Krew się łała. Adze zrobiło się ciemno przed oczami, jak zawsze, kiedy zrywała się nagle z pozycji leżącej; poczuła, że jest jej słabo, i osunęła się na zydel.

– Tak, zemdlej mi tu, jeszcze tego brakowało! – krzyknęła siostra. – Jazda z mojego stołka!

Dopiąwszy swego, siadła, wsparła bok stopy na udzie drugiej nogi i jednym stanowczym ruchem wyrwała sobie odłamek z ciała. Oj, twarda z niej była sztuka.

– Leć po apteczkę! – rozkazała.

Aga ruszyła do łazienki, porwała opatrunki i już była z powrotem, przez cały czas słysząc rozmowę siostry.

– Tak, pamiętam, oczywiście – mówiła skrzywiona z bólu Tekla, krwawiąc swobodnie na wszystkie strony, a po wyszukanim i ugrzecznionym tonie jej głosu dało się poznać, że dzwoni ktoś z klientów. – Tak, jest taki sam jak ten w galerii. Tak, i kształt, i wielkość, i kolory, wszystko takie samo. No, nieomal, bo wie pan, że w ceramice przypadek też gra rolę... W istocie rzeczy każde z moich dzieł jest unikalne... Ale tak, tak, tak, tak, z daleka oba takie same. Tak, tak, tak! Przywiozę jutro, jak obiecałam.

Skaleczona stopa była bardzo brudna, bowiem Tekla lubiła chodzić na bosaka od rana do wieczora. Zdenerwowana Aga szybko odkręciła kurek w ścianie, sięgnęła po nagrzaną wąż ogrodowy i skierowała strumień wody na krwawą i zanieczyszczoną ranę.

– Aaa! – wrzasnęła artystka, zasłaniając telefon. – Wrzątek, idiotko!!! – Po czym wróciła do uprzejmej rozmowy: – Jak to, dziś? Ach, naprawdę? Koniecznie? Będzie to dla mnie pewien kłopot, bo... aha, aha. Goście? Aha. Przyjęcie.

Aga zrobiła się czujna. I słusznie.

– Wyślę siostrę – rzekła Tekla. – Sama przyjechać nie mogę. Jak trzeba, to trzeba. Tak, wieczorem będzie go pan już miał, nawet, jak sądzę, wcześniej.

– Nawet mnie nie spytasz – bąknęła Agnieszka na stronie.

– Musisz! – Tekla wyłączyła telefon i sięgnęła po bandaż.

– W taki upał?

– To z twojej winy mam kontuzję.

– Z mojej?!

– Gdzie nie stąpniesz, tworzą się napięcia!

– Ale to ty stąpnęłaś.

– Przez ciebie! Bo ty masz w sobie fatalizm! – burzyła się Tekla. – Masz to, co lud nazywał „urocznym okiem”. Wystarczyło, że spojrzęłaś, a już mi amfora nie wyszła. Włazłam na szkło, bo nie chciałaś mi podać komórki. No, to teraz pomagaj. Trzeba jechać do miasta, a ja nie mogę. A ty i tak musisz wracać.

– Ale w mieście jest okropnie, chciałam tu posiedzieć aż do poniedziałku!

– Nie możesz. Jedziesz do bogacza z Sołacza. Mówiłam ci o nim. Nie? Zobaczył mój wielki dzban w galerii i od razu kupił. Dwa tysiące wyłożył bez mrugnięcia okiem, a mama potem żałowała, że nie powiedziała: trzy. I uważaj, kupił to dla żony, a potem pojął, że jeden dzban to za mało, powinno być do pary. Bo oni wszystko w salonie mają symetrycznie! – To mówiąc, Tekla nałożyła na ranę opatrunek z maścią jodynową, niedbale obandażowała nogę i oparła ją na skrzynce. – Powiedziałam mu, że to jedyny egzemplarz i że może trudno będzie

zrobić identyczny, a on mówi: zapłacę dwa razy tyle, tylko niech się pani postara, bo to jest druga rocznica naszego ślubu. Sama widzisz, co za okazja, spłacę najnowszy debet w banku i jeszcze mi zostanie. Cha, cha, co za frajer, sześć tysięcy za dwie skorupy! Co prawda – genialne! – Artystka dumnie wystawiła rękę i szarym od gliny palcem wskazała wewnątrz stodoły.

Aga weszła tam z ciekawością, lecz na krótko. W pracowni było piekielnie gorąco. Pod ścianami biegły proste drewniane półki, na których poustawiano wielkie ilości naczyń ceramicznych, wazonów, amfor, figur i figurynek, pater, kubków, a nawet broszek – suszących się i tych już wypalonych, i tych czekających na szkliwienie oraz tych, które już zostały wypieczone wraz ze szkliwem. Gotowy obiekt przeznaczony dla bogacza z Sołacza wyeksponowany był na wielkim stole.

Agnieszka spojrzała z szacunkiem.

To był przepiękny dzban.

W centrum mrocznej stodoły lśnił niczym klejnot – bardzo duża kulista forma z finezyjnym dzióbkiem. Z boku wykwitał cienki zawijas ucha – nienagannie wyważony, z podgiętym koniuszkiem i doskonale uzupełniał sylwetkę dzbana.

Zdolna bestia z Tekli. Świetne, wyszukane proporcje. A kolory! Te intensywne kolory! Szkliwo u podstawy było szafirowe. Wyżej barwa wtapiała się w pas głębokiej zieleni, który w najbardziej pękatym miejscu kuli rozjaśniał się do czystego turkus, by następnie stopniowo zaniknąć w ciemnej ultramarynie.

– Cudo. Jakby świecił od środka – zauważyła Aga, a jej siostra wydała z siebie zadowolone prychnięcie.

– Zapakuję go i pojedziesz – rzuciła władczo. – Zadzwoń ci po taksówkę – a co! Stać mnie teraz.

Ale jedyny miejscowy taksówkarz właśnie przy sobocie pojechał był na rybki, grzybki i grilla, a jego żona nie wiedziała, kiedy będzie miał dosyć.

Wobec tego pozostawał już tylko transport publiczny. Tekla sprawdziła w internecie: sobotni autobus odjeżdżał o trzynastej czterdzieści osiem.

– Przed trzecią będziesz w Poznaniu. Bierz taksówkę z ronda i jedź do bogacza z Sołacza. Tu masz – a co mi tam! – stówę. Klient ma gest, zapłacił z góry. Tylko ostrożnie! Patrz na te swoje maślane łapy! I myśl, co robisz! Nie wpadnij pod coś! Dostarcz paczkę i jesteś wolna. Tylko nie zwlekaj, wieczorem oni mają gości, a jak mają gości, to musi być symetrycznie.

2.

Już jechał! Już mknął! Już pędził, pędził!

Podwieszony do samego Kostrzyna, zobaczył z dala, że autobus do Poznania już czeka, a nawet – że za chwilę ruszy.

Wyskoczył jak nieprzytomny, uwolnił się od szorstkich pieszcot ciotki i w tym okrutnym skwarze pobiegł do przystanku jak przez sen. W pewnej chwili skonstatował jedynie, że zdążył i że – spocony jak dziki mustang – wpadł do autobusu w absolutnie ostatniej chwili przed jego startem.

Drzwi zatrzasnęły się za nim ze świstem, cudem nie miażdżąc mu nerek. Umknął o włos, zapłacił silnie rozdrażnionemu kierowcy za bilet i w tym samym nieomal momencie pojazd ruszył wśród drgawek – miał już swoje lata i strasznie kołysał, co stojącemu pasażerowi utrudniało nie tylko posuwanie się naprzód, lecz właściwie każdą inną możliwą czynność. Nawet tak prostą, jak stanie w miejscu.

Poczuł, że dłużej nie ustoi, gdyż na domiar złego obie ręce miał zajęte.

Więc, zziąjany, usiadł – tam, gdzie stał. W garści dźmierzył bilet, pod pachą zaś dwie książki. W lewej ręce ścisnął kurczowo pałą – czek koszyczka, wyładowanego wiśniami –

dostał je na drogę od życzliwej gospodyni. Wiśnie zaczęły się wysypywać już wtedy, gdy biegł, a teraz, kiedy usiadł z niezamierzonym rozmachem, sypnęły się znowu, choć wcale nie powinny – wprost na wyłaniające się spod czerwonej sukienki kolana pasażerki z naprzeciwka.

Były to kolana wyjątkowo kształtne, gładkie i białe; były to wytworne kolana, były to kolana z prawdziwą klasą.

– Przepraszam! – zakrzyknął i na tym poprzestał. Był bowiem bardzo skonfundowany i czuł, że palą go uszy. Odstawił koszyczek na puste siedzenie pod oknem, tamże czule ułożył swe książki, po czym odważył się spojrzeć szybkim zezem w stronę pięknych kolan, by ustalić, co dalej pocznie z wiśniami.

Ale już ich tam nie ujrzał.

Owoce znajdowały się teraz na dygoczącej podłodze autobusu. Podskakiwały i turlały się na wszystkie strony, gotowe do zdeptania przez wąskie stopy w białych sandałkach. Katastrofa!

Wyciągnął rękę.

Pasażerka przesunęła się bez słowa pod okno po swojej stronie. Przy siedzeniu stał tam spory pakiet, obwiązany czerwonym sznurkiem. Musiała więc ułożyć długie, zgrabne nogi nieco ukośnie, co dodało im nowego uroku.

Nie chciał przecież wyglądać na obleśnego satyra (nie był nim! W żadnym razie! – po prostu był wyjątkowo wrażliwy na piękno, w tym: kobiece), więc pochylił się, odwracając twarz od widoku smukłych kończyn, a oczy wbijając w dwuszeręg foteli przeciwległych – po czym sięgnął w prawo i raczej po omacku zaczął zbierać ruchliwe owoce.

Troszkę to trwało.

Spocony, czerwony, lepkimi palcami wyrzucał to, co zebrał, do śmietniczki. Kiedy się wyprostował, autobus właśnie hamował na przystanku koło przydrożnej hurtowni mebli tapicerowanych. W tych nowych okolicznościach jego poszukujące spojrzenie trafiło na jeszcze cztery dorodne wiśnie, które w najlepsze zwisały sobie parami z uszu właścicielki kolan. Wygięte rondo białego kapelusza ocieniało na ukos jej twarz, a z cienia patrzyło lśniące oko, lodowate i fascynujące.

Chciał od niego oderwać swoje oczy, lecz nie mógł. Cóż miałby z nimi zrobić, gdyby je oderwał?

Ach tak: mógłby je wlepić w podłogę. Lub też w okno.

Ale wtedy wyglądałoby na to, że umyka wzrokiem, że nie może wytrzymać tego arktycznego spojrzenia. (Nie mógł w istocie).

Na szczęście do autobusu zaczęła się wpychać gromada rozdrażnionych obywateli, wnoszono wędki, kosze, misie, wózek spacerowy, rowerek, torby oraz walizkę. Wrzeszczało dziecię. Żmudnie uiszczano należność za bilety, szukano drobnych et cetera, a obsłużeni pasażerowie, dążąc w głąb autobusu, przeciskali się i potracali wzajemnie, powiększając nieznośne gorąco i zamęt.

Wytarłszy ręce po wiśniach, z ulgą przyjął pretekst do opuszczenia powiek: w kieszeni umiejscowionej na nogawce jego krótkich a szerokich spodni zadzwonił telefon.

Miło było usłyszeć ten dźwięk po dziesięciu dniach wakacji przebytych w leśnej głuszy, poza zasięgiem sieci. Jako człowiek miasta był miłośnikiem komfortu oraz technicznych ułatwień życia.

Nagła reanimacja telefonu sprawiła, że przyjemny skądinąd okres wilegiatury w jednej chwili odpłynął na dalekie tło jego pamięci i świadomości. A wręcz – podświadomości.

– Halo? – powiedział, starając się patrzeć na własne jedynie nogi (wystające dramatycznie z nogawek i wciąż jeszcze noszące ślady biegu przez pamiętne jeżyny).

W tym momencie zdarzyło się parę rzeczy naraz: dygoczący niecierpliwie autobus znów zamknął te swoje upiorne drzwi, podskoczył i ruszył! z miejsca, telepiąc się na boki;

pasażerowie, którzy jeszcze stali, potracili równowagę, a na wolne siedzenie obok pasażerki w kapeluszu padła z plaśnięciem obfita dziewczyna w szortach, objuczona potężnym plecakiem.

– Ku...! Ale szarpło! – zakrzyknęła. – Sorki! – dodała w jego stronę, bo w istocie mocno go potrąciła, padając.

Zdjęła plecak i ustawiła go sobie na grubych brązowych kolanach, po czym zaczęła spojrzeć spod splątanej grzywy, zasłaniającej jej pół twarzy. Miał więc oto przed sobą aż czworo żeńskich kończyn dolnych, odmiennych w barwie oraz stylu, i tylko dwoje patrzących w niego oczu, a każde z nich innego koloru. Bokiem umysłu uznał, że to sytuacja zabawna i nieco absurdalna. A skądinąd – urocza. Ogarnął go nastrój z lekka niefrasobliwy, a nawet – figlarny. Świat był pełen pięknych kobiet, a jedna z nich właśnie na niego czekała!

Szarpnęło – skorygował mimo woli, łagodząc skrupulatność uśmiechem i żartobliwie kierując palec w stronę dziewczyny z plecakiem. Nigdy nie mógł się powstrzymać od korekty, kiedy słyszał lub widział jakiś rażący błąd. Książki czytał zwykle z ołówkiem w dłoni, by móc poprawiać literówki. Lubił, żeby wszystko było jak trzeba. Szczerze mówiąc, był chyba klasycznym perfekcjonistą.

– Halo? Halo? – powtarzał ciepły głos w telefonie. – To ty?

– To ty!!!! – wybuchnął uszczęśliwiony i natychmiast zapomniał o wszystkim, co go otaczało: o autobusie, o korektach, o pasażerach, a nawet o ich kolanach. – To znaczy, tak, to ja.

– Nareszcie! Komórkę miałaś wyłączoną, czy co?

– Nic, przecież wiesz, byłem na wakacjach.

– Na pustyni?

– Raczej tak. Ale już jadę do ciebie, Magdusiu, jadę! Czekaj cierpliwie. Jestem już za Kostrzynem. We Wrocławiu będę po południu. Tak się cieszę!

– Hmmm – z wahaniem powiedziała ona. – Ja właśnie w tej sprawie. Ja jestem przecież w Paryżu.

– Jak to, w Paryżu?

– Słuchaj, no nie wiem, co ci powiedzieć, no, najlepiej powiem prawdę. Mam powiedzieć prawdę?

– Tak, proszę, ona zawsze jest najlepsza – rzekł, a serce w nim zamarło w przeczuciu czegoś niedobrego.

– To wszystko przez Maryskę! Wiesz, bliźniaczka to jest bliźniaczka. Ona ciągle mi włązi na pocztę i czyta wszystkie maile.

– Moje też?

– Zwłaszcza.

– Ten ostatni... też przeczytała?

– Tak – odrzekła Magdusia, po krótkiej chwili niezręcznego milczenia dodając w końcu: – I odpisała. Trochę dla żartu, a trochę...

– Jak... jak to?

– Bo wiesz – do niej nikt nie pisze.

A więc – dotarło do niego – to nie ty pisałaś i to jest nieprawda, że na mnie czekasz? Przecież wiesz.

– Nie, właśnie nie wiem – rzekł gorzko.

– No jak to, przecież my się już dawno rozstaliśmy.

– Myślałem, że... po prostu... – zaczął i nagle zagryzł wargę. Przełknął też ślinę i szybko zamrugnął. Mężczyźni nie płaczą. Przez kobiety. No, przynajmniej ci, którzy mają choć trochę godności. No i nie przed innymi kobietami. Dwiema.

– A ja... – ciągnęła swobodnie Magdusia na tle odgłosów paryskiej ulicy – ...no cóż... właśnie tu do mnie przyjechał Patryk. Wiesz, ten, który kiedyś... no i tak dalej. Wróciliśmy do siebie.

– Wróciliście do siebie! powtórzył, usłyszał dziwny zgrzyt w głębi swej zranionej duszy i umilkł.

– Halo? – odezwał się wreszcie niepewny głosik przy jego płonącym uchu. – Jesteś? Nabrał tchu. Czy mu się zdawało, czy też rzeczywiście w tym autobusie zaczynało brakować tlenu?

Z naprzeciwka oko niebieskie przyglądało mu się badawczo. Oko piwne śmiało się do niego. A może – z niego? Jeśli tak, to raczej słusznie.

– A jestem, Magdusiu, jestem odpowiedział z nagłą mocą. Tylko przecież dla ciebie to bez znaczenia, czy jestem. Ale rozumiem to. Gratulacje dla Patryka.

I wyłączył komórkę, po czym schował ją na powrót do kieszeni.

3.

Aga poznała go od razu.

To znaczy, od razu, gdy tylko usiadł naprzeciwko niej. Przedtem, kiedy wyglądała przez okno na rozprężonym przystanku w Kostrzynie, dostrzegła najpierw pędzący tuman kurzu, a następnie hamującego z piskiem wysłużonego mercedesa vito, z którego wyskoczyła impetyczna ruda kobieta z obandażowaną nogą. I to ten właśnie bandaż przyciągnął uwagę Agnieszki. Pomyślała mianowicie, że być może jest to Dzień Urazów Kończyn Dolnych.

Potem z samochodu wylazł jakiś rozmemłany stary obdartus, a dopiero na końcu wysiadł wysoki chłopak smukły, a jednak barczysty brunet, pokryty opalenizną w kolorze czekolady.

Wzrok Agnieszki momentalnie jakoś przywarł do niego.

Brunet od razu się potknął o własną nogę i omal nie upadł, ale obdartus go podtrzymał, wręczając mu zarazem koszyk. Ruda kobieta złapała chłopca znienacka za ucho, energicznie przyciągnęła do siebie jego głowę i cmoknęła go w policzek, po czym w ułamku chwili jednocześnie wzniosła oczy do nieba, pokręciła niedowierzająco głową i dała dryblasowi kukuśnia na zapęd. A on posłusznie wystartował do biegu.

Dopiero, kiedy wpadł i obsypał jej kolana wiśniami, Aga go poznała – po uszach.

Ignacy Grzegorz Stryba!

On zawsze od nich zaczynał się rumienić.

Poza tym zmienił się nie do poznania.

Zmężniał.

Wyprzystojniał!

Urósł!

Był teraz na pewno wyższy od niej, choć w szkole, jako pryszczaty nastolatek, zwyczajnie nie dogonił jej wzrostem. Przez dwa lata gimnazjum wychowawczynie sadzała ich w jednej parze, ale kiedy Aga nagle wyrosła do metra osiemdziesiąt i stała się najwyższą w klasie, musiała się przesiąść do ostatniej ławki.

I coś się wtedy stało Ignasiowi, może dlatego, że poczuł się mniejszy? – już jej nie zagadywał, nawet jakby się zdystansował, w końcu w ogóle przestał na nią zwracać uwagę. A potem już przyszła pora na liceum i powędrowali w różne strony. Nie zmartwiło jej to specjalnie, bo strasznie był dziecinny, a ponadto – zawsze, kiedy z nim rozmawiała, musiała, chcąc nie chcąc, wpatrywać się w ten jego trądzik. Przeszkadzał jej, irytował ją, zakłócał normalny wygląd twarzy Ignasia; może niezbyt był okazały, ten trądzik, ale przecież wyrazisty. A ona była estetiką. Tak, to z pewnością było niegrzeczne, ale wbrew wszystkiemu i wbrew własnej woli – nie mogła nie patrzeć. Zwłaszcza odkąd rudy zabijaka Józek, jego o rok młodszy kuzyn, zdradził kiedyś na przerwie tonem smakosza, że Ignacy

Grzegorz wciera codziennie w swe ciało specjalną maść, że robi to przed lustrem i że na ogół słucha wtedy organowej muzyki klasycznej. Głównie Bacha.

Cóż, jak się okazuje, słusznie robił, że wcierał! Nastąpiła oczekiwana metamorfoza. Teraz wyglądał ładnie. Cerę miał gładką, rumianą i opaloną, choć trochę był – no, coś podobnego! – a to nowość!

nieogolony. Bujne, ciemne włosy z charakterystycznym loczkiem na czole właśnie puszyście musnęły jej kolano, gdy Ignacy żmudnie zbierał swoje wiśnie.

Chciało jej się śmiać.

Ignas u jej stóp!

I nawet nie wie, biedak, czyje to stopy.

Zawsze był troszkę gapa, ale oczywiście przy tym – myśliciel, człowiek wrażliwy, zdecydowanie niezwykły. Uczył się świetnie (ona gorzej...) i bardzo był ambitny. Aga. mimo wszystkich jego dziwactw i śmieszności oraz widocznych gołym okiem idiosynkrazji, nawet go lubiła. To był dżentelmen, w przeciwieństwie do całej gromady prostaków w klasie.

Autobus podskakiwał. Ignacy wciąż na ślepo obmacywał podłogę.

Aga wzięła dwie zrośnięte pary wiśni i, jak zawsze, zrobiła sobie z nich kolczyki. Kiedyś ją, tak przystrojoną, zobaczył piętnastoletni Ignas i z miejsca zacytował stosowny wiersz, co było dla niego bardzo charakterystyczne. Jaki to był wiersz? – nie pamiętała. Natomiast przypomniało jej się, że w odpowiedzi zaśpiewała mu tę ładną siarą piosenkę: „Ja nie tęsknię za nikim i nie kocham nikogo, robię to, na co tylko mam ochotę! Noszę z wiśni kolczyki, chodzę, jaką chcę drogą...”. I powiedziała mu: To o mnie.

A on wtedy wyraźnie zmarkotniał.

Ciekawe, czy teraz mnie pozna po tych wiśniach – pomyślała.

Podniósł na nią właśnie te mądre, trochę smutne czarne oczy – zobaczyła w nich aprobatę, ale i obawę. I zdawało jej się, że coś w nich zaiskrzyło. Ale nie, to nie było rozpoznanie.

Zaraz potem umknął wzrokiem. Wydobył paczkę chusteczek i zaczął sobie wycierać poplamione sokiem palce. Wycierał niezgrabnie i wycierał, z takim zaangażowaniem, jakby nie wiadomo co od tego zależało.

W Paczkowie wsiadła rubaszna dziewczyna z plecakiem i z miejsca wzięła Ignacego na celownik. Kokietowała go bez ustanku, lecz on tego zupełnie nie zauważał. Zachowywał się tak, jakby go zaszczepiono przeciwko podobnym doświadczeniom.

Gdy odebrał telefon, sytuacja się wyjaśniła. Natychmiast zajaśniał szczęściem jak żarówka. Ach, to tak. Była więc szczepionka, była. I to skuteczna. Ignacy Grzegorz Stryba był oto zakochany. Zdradza! to i mową, i miną, i każdym poruszeniem. Cały promieniował radością i oddaniem.

I właśnie, na oczach wszystkich, został odrzucony.

Co za okropność!

W autobusie (zwłaszcza gdy przystawał, a robi! to tym częściej, im bliżej był miasta) słyhać było nie tylko to, co Ignacy mówił, lecz także większość tego, co wygadywała jego niewierna rozmówczyni.

Rubaszna dziewczyna z plecakiem przysłuchiwała się temu jawnie i z największym zaangażowaniem; natomiast Aga była aż do bólu zakłopotana. Oto Ignas, niepomny faktu, że może go obserwować i słuchać jakieś pół setki znudzonych pasażerów, jak zwykle był całkowicie otwarty, a więc – bezbronny i tak bardzo się odsłaniał! Nie tylko tym, co mówił, lecz także – tym, jak się zachowywał. Nigdy nie umiał udawać, ten Ignas. Był tak bardzo ufny.

Człowiek dobrze wychowany wstałby i odszedł, żeby nie uczestniczyć w tak osobistej rozmowie. Ale w tych warunkach to było niemożliwe. Aga musiałaby wziąć swój ciężki karton z dzbanem i precyzyjnie się z nim gdzie indziej, gdy tymczasem autobus stał się

coraz bardziej i bardziej wypchany. Tak więc, usilnie patrząc w okno na znak, że nic jej to wszystko nie obchodzi, wysłuchać musiała wszystkiego.

Biedny chłopak był zbyt pochłonięty przyswajaniem trucizny, którą mu przez telefon wlewano w ucho, by w ogóle zwracać uwagę na resztę świata. Całkowicie go zaabsorbowała ta – najwyraźniej silnie dramatyczna – rozmowa. Na jego wrażliwej twarzy malowały się kolejno wszystkie doznawane uczucia i niespodziewanie Aga zaczęła odczuwać żywą przykrość razem z nim.

Skończył. Wyłączył telefon. Widziała, że był zraniony do żywego – poczerwieniał, usta mu zadrżały; marszczył brwi i w końcu gryzł wargę, żeby się opanować. A ona nagle zobaczyła – wcale nie głęboko ukrytego w tym dryblasie z zarostem – tamtego małego, grzecznego i ufego chłopca.

Przypomniała go sobie tak wyraźnie! – tego wzorowego ucznia, tego ekscentryka i erudyte, tego zamyślonego wielbiciela poezji, zmuszonego pobierać nauki pośród zwykłych miejskich łobuzów. Zawsze był przez nich lekceważony z powodu swoich dobrych manier, wysokiej inteligencji i śmiesznych dziwactw. Przez te wszystkie szkolne lata był klasowym brzydkim kaczątkiem, które boleśnie szczypała i dziobała byle gęś.

Aga rozumiała go może najlepiej, bowiem i jej się ciągle czepiali.

Nazywali go: Profesorek – i był to jeszcze najłagodniejszy z epitetów, choć w ich mniemaniu i tak wysoce obraźliwy.

Patrząc na to, jak duży teraz Ignacy reaguje na wyrządzoną mu krzywdę (a reagował właśnie tak samo, jak wtedy mały Ignasz: z tą samą szczerością i godnością...), Agnieszka odczuła poryw współczucia. Miała ochotę pogłaskać biedaka i nawet pocałować go w czoło. Albo po prostu jakoś inaczej go pocieszyć, choćby powiedzieć mu coś, co by go podniosło na duchu i dodało mu wiary w siebie. Ale od chęci do czynu droga była niezmiernie daleka; trzeba by przerwać mur własnej rezerwy, tak starannie wzniesiony. A za tym murem było przecież bezpiecznie i cicho.

Tymczasem dziewczyny z plecakiem nie hamowało nic absolutnie.

– Co, wystawiła cię? – palnęła i zwiniętą pięścią szturchnęła Ignasia w ramię. – Ale głupia. Ja bym ci tego nie zrobiła.

– Słucham? – bąknął nieuważnie, oczywiście nie słuchając, bez reszty pochłonięty przeżytym rozczarowaniem.

Aga starała się już na niego nie patrzeć, żeby go nie krępować; wzrok utkwiała w pejzażu podmiejskim. Ale jednak, od czasu do czasu, spod osłony kapelusza, błyskawicznie sprawdzała, co się z chłopcem dzieje. Najpierw widziała, że Ignasz wciąż jeszcze walczy ze łzami; potem, gdy już mężnie opanował żal, twarz jego wyraziła jakieś postanowienie, ale zarazem – tęsknotę. Wreszcie przestał mrugać! – wziął jedną ze swoich książek (Tatarkiewicz! – Dzieje sześciu pojęć) i nienaturalnie rozszerzonymi oczami wpatrywał się w jej kartki, gęsto pokreślone znaczkami oraz zapiskami. Ale jego wzrok wcale się nie przesuwiał po rządach liter. Był nieruchomy, jakby osłupiały. Czasem tak człowiek odpowiada na doznany ból, po prostu zamiera. Aga coś o tym wiedziała.

Autobus zatrzymał się w Swarzędzu i znów do jego rozpróżnionego wnętrza wpakowała się gromada nowych pasażerów, podczas gdy nikt ze starych nie wysiadł.

Nie było już czym oddychać.

Ignacy ocknął się ze stuporu, zamknął starannie książkę, wstał, zbierając swoje rzeczy, i ustąpił miejsca kobiecie z dziećmi. Tkwił teraz w przejściu, wciśnięty pomiędzy dwa grube męskie brzuchy w podkoszulkach, patrzył uparcie w okno, lecz nie miał miny kogoś, kto śledzi uważnie krajobraz. Przebywał duchem zgoła gdzie indziej.

Rubaszna z plecakiem odezwała się do niego jeszcze raz, ale ponieważ, pogrążony w smutnych rozmyśleniach, zupełnie tego nie zauważył – dała wreszcie za wygraną. Żeby się podnieść na duchu po tej porażce, zagadała coś także i do Agnieszki, lecz ona, milcząc,

uśmiechnęła się wymijająco i znów przeniosła wzrok na brudną szybę, za którą w bezlitosnym blasku słońca przepływały pomarańczowe koparki, czerwone traktory, niebieskie ciężarówki, żółte góry piachu i inne elementy europejskiej wielkiej budowy. Jedna z ciężarówek właśnie popadła w kłopoty: cofając się, wjechała w koparkę.

Być może – pomyślała Aga – mam naprawę „uroczne oko”. Powinnam wobec tego zerknąć sobie na rubaszną. Denerwuje mnie jakoś. Dlaczego ona mnie tak denerwuje?

Żałowała, że nie odezwała się do Ignasia od razu, jeszcze przed tym feralnym telefonem. Teraz było za późno. A szkoda. Mogłaby mu powiedzieć na pociechę, że naprawdę nie warto się tak przejmować, nie warto się zakochiwać, a nawet – przywiązywać.

Ludzie dziś właściwie nie umieją odpowiadać na miłość. W efekcie nieustannie powodują katastrofy uczuciowe i dramaty, zdolne innym zrujnować życie. Po co to komu?!

Tak uważała.

4.

Ojciec Ignacego znajdował się w tym właśnie czasie w pustym mieszkaniu przy ulicy Roosevelta 5, w secesyjnej kamienicy na Jeżycach.

Pachniało tu wilgotnym tynkiem, farbą emulsyjną i świeżą emalią ftalową, którą pomalowany został kaloryfer w łazience.

Brodaty, z lekka siwiejący szczupły okularnik, ubrany tylko w szorty i koszulkę, spryskany mnóstwem kropelek białej emulsji, białej emalii i takiejż zaprawy, Grzegorz Stryba stał samotny jak palec w jaśniejącym świeżością, długim a wysokim korytarzu, opróżnionym z wszystkich książek i regałów. Tkwił przy okrytym folią malarską stoliku, na którym od dziesięcioleci pokrywał się kurzem ten sam zabytkowy (lata sześćdziesiąte) aparat telefoniczny. Teściowie z uporem nie chcieli się go pozbyć, choć wszyscy członkowie rodziny mieli już oczywiście swoje komórki. Dziadek Borejko utrzymywał, że tylko przez klasyczną słuchawkę z prawdziwą membraną można coś usłyszeć, albowiem w komórkach głos jest dziwnie niewyraźny, często nie ma się zasięgu, zwłaszcza gdy się stanic koło zmywarki, a ponadto stale w nich coś piszczy i przerywa, co może być nawet skutkiem popsucia się satelity, który gdzieś, w bliżej nieokreślonych otchłaniach kosmosu, wysyła (lub nie) swoje sygnały bezprzewodowe. Nie masz jak solidny kabel z wtyczką, konkludował senior rodu. Nie masz jak najprostsze rozwiązania.

Trzeba przyznać, pomyślał Grzegorz, że taki zabytek ma w istocie swoje zalety: kiedy w remontowym bałaganie gdzieś się człowiekowi zapodzieje komórka, nie jest on bynajmniej odcięty od świata. Wystarczy pamiętać, gdzie jest wyjście kabla.

Cała ściana u nich pękła – powiedział Grzegorz do klasycznej słuchawki z prawdziwą membraną, patrząc przez szeroko rozwarte drzwi pokoju teściów na ten obraz nędzy i rozpaczy. – Głęboka rysa idzie od sufitu do podłogi. A z sufitu sypie się gruz. Sąsiad z góry ma to samo.

– I co teraz? – zmartwiła się jego żona, Gabrysia.

– Przyjdzie komisja budowlana. I zobaczymy odpowiedział bezradnie.

Rodzice żony na szczęście znajdowali się wraz z nią w bezpiecznym miejscu, czyli na wsi, u córki Patrycji. Miał rację, kiedy postanowił ich tam przewieźć na czas remontu, z całym umeblowaniem i bezcenną biblioteką. Dopieroż by teraz było pandemonium! Wolał sobie nie wyobrażać reakcji teścia na pył, zasypujący Rozmyślania Marka Aureliusza, lub na gruz, miażdżący w drobny mak gipsowe popiersie Seneki. Dziadek Borejko dostałby pewnie udaru.

– Miałeś przebłysk geniuszu z tą totalną przeprowadzką – powiedział w słuchawce głos Gabrysi, która oczywiście odgadła, co on właśnie myśli.

– Żebyś wiedziała – odparł i przyznał, że nie wie, co ma robić dalej wobec tej katastrofy. Wszystko rozgrzebane i nie wiadomo, co dalej będzie.

Żona z kolei zastanawiała się, jak ma powiedzieć rodzicom, że czeka ich przymusowy, dłuższy, niż przypuszczali, pobyt poza domem. A potem zadysponowała:

– Grzesiu, przyjedź tutaj na dziś i jutro. Co tam będziesz sam siedział i patrzył w pękniętą ścianę. Tylko smutno ci będzie. Przyjedź na kolację, jestem pewna, że nie jesz nic oprócz sałaty.

– Mam tu jeszcze mnóstwo pracy – westchnął Grzegorz i obiecał, że przyjedzie, jak tylko skończy.

„Smutno ci będzie” – powiedziała. Znała go tak dobrze! Oczywiście, że było mu smutno. Jak zawsze, gdy zostawał bez niej.

I nie dość, że bez niej, to jeszcze w opustoszałym mieszkaniu, bez jednej żywej duszy. Wszyscy wyjechali.

Ignas, który lubił spędzać lato w mieście i był tu jedyną pociechą dla ojca, został zmuszony do zmiany planów: musiał zawieźć rzeczy ciotce Idzie, pojechał do niej na wieś i przepadł tam na dobre. Szkoda. Grzegorz lubił towarzystwo swojego mądrego syna. Dobrze by im tu było we dwóch. Nawet nie musieliby dużo rozmawiać. Obaj mieli zwyczaj czytać przy jedzeniu, więc tak właśnie wyglądały ich wspólne posiłki – siadali przy dużym stole w kuchni i jedli, co tam było, pograżeni w lekturze.

Skąd Gabriela wiedziała, że dziś w lodówce jest już tylko sałata? Ignas wyjechał, a zaraz potem ona wywozła rodziców wraz z całym ich skromnym dobytkiem, więc Grzegorz nie widział powodu, by chodzić po zakupy, a już tym bardziej gotować dla siebie samego. Jak już bardzo zgłodniał, zamawiał wegetariańską pizzę. Ale oczywiście upały odbierają apetyt, więc po prostu opróżnił stopniowo lodówkę, jedząc po troszku pozostawione przez rodzinę przypadkowe serki, jogurty i kefir, a nawet koncentrat pomidorowy z sucharkami. Sałata leżała tam już parę dni i codziennie była mniej zachęcająca.

Postanowił, że wieczorem, jak już będzie mniejszy upał, pójdzie do sklepu. Trzeba zrobić zapas wody mineralnej, cytryn i warzyw.

I przydałyby się jakieś owoce, skoro już się jest tym Robinsonem na wyspie bezludnej.

Bezludnie było także na dole, pod podłogą, w suterenie kamienicy, gdzie mieściło się mieszkanie Pałysów i skąd zwykle dobiegał gwar oraz rozgardiasz, muzyka, trzaskanie drzwiami, śmiechy, okrzyki oraz stukanie i warkot przeróżnych narzędzi Józka. Teraz było tam cicho. Marek zwykle harował w szpitalu, dniami i nawet nocami, a kiedy wracał, to po prostu walił się spać. A teraz też wyjechał – na tygodniowy urlop, do Idy. Znowu szkoda. Marek był spokojnym, mądrym człowiekiem, świetnym lekarzem, a jego towarzystwo było wyjątkowo krzepiące.

Ida z kolei przepadła w lasach na dłużej. Młodsze ich dzieci były na wakacjach u Róży, a znowu starszy, Józek, pojechał na wieś, do Patrycji.

To akurat Grzegorza nie martwiło. Nie miał najlepszego kontaktu z tym chłopcem. Pomijając już fakt, że Józinek od niemowlęctwa był niezwykle małomówny, co naturalnie kontakt utrudniało, miało się jeszcze świadomość, że ten rudy łobuziak nieźle obrzydzał życie swemu kuzynowi. Cóż za ciężka próba dla subtelnego Ignasia: mieszkać pod jednym dachem z bitnym rywalem i adwersarzem! Co prawda Gabrysia uważała, że wieczne starcia między tymi dwoma więcej im przynoszą pożytku niż szkody. Na przykład fakt, że Józinek od dziecka nazywał Ignasia miągwą, działał na tego ostatniego jak ostroga na zamyślonego rumaka. Dzięki temu właśnie bodźcowi dał się Ignas na przykład nakłonić do nauki pływania, a także zrobił – on!!! Któż by uwierzył! – prawo jazdy. I tak dalej. Może Gaba miała rację, twierdząc, że to, co sobie dwaj antagoniści nawzajem dawali, nawet gdy budziło popłoch w rodzinie, było bezcenne. Rozwijali się obaj wspólnie utrzymywała Gabrysia: każdy na swój sposób, nie kosztem drugiego, lecz – dzięki drugiemu.

Tak mówiła. I to była zapewne prawda.

Ale ojciec identyfikował się z Ignasiem bardzo silnie i nie mógł tak łatwo Józkowi odpuścić. Oczywiście, nie żywił wobec rudzielca uczuć wrogich, te były mu zasadniczo obce; Grzegorz Stryba był człowiekiem melancholijnym, łagodnym i nastawionym pacyfistycznie. Nikomu źle nie życzył, a Józkowi zwłaszcza. Po prostu utrzymywał rozsądny dystans. (Nierozsądny wszelako zdaniem Gabrysi, która za Józkiem absurdalnie przepadała. Jak wszyscy zresztą, z Ignasiem włącznie).

Grzegorz miał ochotę sięgnąć znów po telefon i porozmawiać sobie jeszcze z żoną. Ale zamiast tego westchnął i poszedł do łazienki, żeby zagruntować ściany i sufit.

5.

Na pętli przy rondzie, o tej godzinie, Poznań prezentował się jak silnie zakurzona, wielka i płaska patelnia, na której smażyły się niemrawe tramwaje. Wątle drzewka wysychały w upale i bezruchu. Samochody, wraz ze swą ledwie żywą zawartością, stały w śmierdzących korkach. Pieszycy nie było widać.

Autobus zatrzymał się pod długą wiatą i otworzył z sykiem drzwi, wpuszczając do środka powietrze nieco mniej zużyte, lecz równie gorące. Wymęczeni i spoceni ludzie zaczęli się przepychać, wysiadać – lecz Ignas tego nie zauważył. Potrącany, nadal stał, patrząc szklście w okno i nie widząc, że blokuje drogę obu dziewczynom. Kiedy wreszcie rubaszna z plecakiem powstała mu tuż przed nosem – ocknął się i grzecznie usunął na bok.

Poszła sobie.

Aga sięgnęła po swoją paczkę z dzbanem. Ostrożnie uniosła ją za sznurek, podkładając pod spód rozpostartą dłoń, na wszelki wypadek. Dźwignęła, postawiła pudło bezpiecznie na siedzeniu obok, po czym prędko wstała i sięgnęła po torebkę, którą jeszcze w Nekli położyła wysoko, na półce ponad siedzeniami.

Ledwie uniosła ręce – od razu zrobiło się jej słabo. Usiadła znowu.

– Nie mdlej! – powiedziała sobie. I natychmiast zastosowała sposób zalecany przez doktora. Opuściła głowę i ręce jak najniżej, pomiędzy kolana wyciągniętych nóg. W tej pokracznej pozycji, z kapeluszem przy podłodze, siedziała przez dłuższą chwilę. Wreszcie karuzela w jej głowie zwolniła, czarne placki przed oczami zaczęły blednąć i ostatecznie zanikły.

Myślała, że wszyscy dawno wysiedli, ale nie.

– Już dobrze? – zapytał Ignacy.

Stał nad nią i przyglądał się jej w zakłopotaniu.

Kiwnęła głową, podczas gdy on jeszcze się zbliżył i pomocnie pochylił.

– Słabo mi się zrobiło – wyjaśniła.

– Domyśliłem się. Sam kiedyś tak zasłabłem. Kiedy jeszcze rosłem. Lepiej wyjdźmy.

Poczekaj, aż ona się pozbiera, po czym bez słowa chwycił ten jej wielki, ciężki karton i poszedł przodem. Wsiadł i uprzejmie podał jej rękę, która była równie gorąca, jak wszystko wokół.

Aga chwiejnie zeszła na rozprażony asfaltowy podjazd i stała, oszołomiona, oddychając jak duża ryba na mieliźnie. Znów miała tak silny zawrót głowy, że musiała uchwycić się słupka, by utrzymać równowagę.

– Tu jest chyba z pięćdziesiąt stopni – powiedział Ignaś. Schowajmy się gdzieś.

I zaprowadził ją do małej budki z lodami, po drugiej stronie linii tramwajowej.

Posadził ją przy stoliku koło wentylatora, zamówił dwie wody mineralne z lodówki i usiadł także.

– Paczka? – Rozejrzała się półprzytomnie Agnieszka.

– Jest, jest. – Nalał wody do szklanki. – Proszę.

Posłusznie wypila. Wentylator mile chłodził, a woda chłodziła jeszcze milej, bo od środka. Było lepiej.

Wtem drzwi budki, pchnięte z zewnątrz, otworzyły się, wpuszczając falę suchego gorąca oraz rubaszną dziewczynę z plecakiem.

– Heja! – powiedziała z zadowoleniem. – Tu jesteście. Ku!... jak nie zjem loda, to padnę – po czym podeszła do znużonej sprzedawczynie, kupiła kolosalny produkt w czekoladzie, zdjęła z ramion ciężki plecak i ciężko zasiadła przy jedynym tu stoliku, bezceremonialnie stawiając swe brzemię na spoczywającym obok, na podłodze, pudle Agnieszki.

Aga i Ignasz milczeli, pijąc bardzo dużo wody i co jakiś czas sennie uśmiechając się do siebie. Dziewczyna z plecakiem spojrzała na nią, potem na niego, w końcu rozerwała opakowanie swojego loda, odgryzła i złapawszy spojrzenie Agi, nagle jakoś się zadławiła. Oczy jej wyszły na wierzch, ale wreszcie przełknęła, odkaszlnęła i znów poddała ich oboje uważnym oględzinom, a następnie wyciągnęła wniosek.

– Ach, takie buty – stwierdziła tonem osoby doświadczonej i wiele rozumiejącej. – To idę.

Wzięła plecak za szelki, wstała, ruszyła, potknęła się o paczkę, po czym złapała równowagę. Już wyglądało na to, że ostatecznie zgubi loda, ale nie – powiedziała: – Heja! – I wyszła.

Ignacy zamówił jeszcze dwie butelki mineralnej, nie pytając nawet Agi o zdanie. Wypili.

Woda była jeszcze zimniejsza niż poprzednio. Wentylator obracał się monotonicznie. Sprzedawczynie, rozłożona niemal płasko na ladzie, rozwiązywała mozolnie krzyżówkę. Aga spoglądała w duże okno, za którym leniwie się przesuwiał rozprażony świat. Powłócząc nogami, przeszedł zmęczony pies – temu to dopiero musiało być gorąco! Rubaszna z plecakiem zatrzymała się pod markizą, po drugiej stronie szyby wystawowej, i zamasyżuje oblizywała swojego loda. Aga utkwiała w nim długie spojrzenie. Nagle spadł z patyka! Prosto na chodnik. Pies powrócił jednym skokiem i połknął wszystko, choć dziewczyna gwałtownie protestowała.

A tu Aga właśnie poczuła się już całkiem dobrze. Złapała oddech. Otrzeźwiała, zdjęła kapelusik i przegarnęła palcami włosy. Zakołysały się kolczyki z wiśni.

– O! – zakrzyknął nagle Ignacy, patrząc na nią ze zdumieniem.

– Co?

– Agnieszka?! Czy to naprawdę ty, czy ktoś inny? Wyglądasz na kogoś innego, ale skłaniam się ku myśli, że to ty. Tak, to ty. Ojej!

– Nareszcie mnie poznałeś. Ja cię poznałam od razu. Jeszcze w Kostrzynie.

– Nic nie powiedziałaś! A ja... rozmawiałem przy tobie z Ma... przez telefon – przestraszył się Ignacy i nagle zapłonęły mu uszy.

– Tak? Nie zwróciłam uwagi – odparła Aga spokojnie. – Było za gorąco. I taki hałas. Spojrzała na nią z wdzięcznością.

– Ale co za spotkanie! – rzekł czym prędzej. – Wsiadam do przypadkowego autobusu – a tu Agnieszka Żyra!

– Pyra, jak mnie nazywali nasi wspaniali koledzy. A w lepszych chwilach – Żyrafa.

– Niestety, pamiętam.

– A pamiętasz Bulaja? – spytała Aga.

– Czy pamiętam Bulaja! On mi się śni po nocach.

– Pamiętasz Boksera?

– Jeszcze jak! Pasma upokorzeń.

– A Bossa?

– Popatrz, to ciekawe, wszyscy nasi prześladowcy obrali pseudonimy na „B” – zauważył mimochodem Ignacy, jak zawsze biegły w tego typu zaskakujących obserwacjach. Aga kompletnie nie zauważyła tej akurat wspólnej cechy byłych kolegów, ale jego myśl

zawsze biegła innym torem niż u wszystkich i wyszukiwała niewidzialne dla zwykłych umysłów związki. – B, b, b! – powtórzył w zadumie. – „B” jak bandzior – powiedział, po czym poleciał całą serią, i to w układzie alfabetycznym: – Jak barbarzyńca, bestia, bezczelność, brud, brutal, brzydota, bydlę. O lak. Bokser był najgorszy – dodał, po czym wzdrygnął się i westchnął.

– „Deptanie dla tych stworzeń to pasmo upokorzeń”¹ – zanuciła Aga z uśmiechem.

Ignacy spojrział na nią ciepło.

– Wciąż lubisz stare piosenki?

– Wciąż. A ty? Wciąż piszesz wiersze?

Łypnął na nią czujnie i krótko, po czym odwrócił na moment wzrok. Wyglądało na to, że zastanawia się nad niełatwą odpowiedzią.

– Chyba się w końcu zniechęcę – odparł wreszcie wymijająco, lekkim tonem. – Im więcej wiem o poezji, tym gorzej mi się pisze. Zresztą, kogo dziś interesują wiersze? Nawet ty... – tu urwał nagle, po czym odchrząknął i mówił dalej: Hm. Na wakacjach spotkałem taką jedną realistkę, Dorotę, która wręcz słyszeć o poezji nie chciała. Wciąż natomiast mówiła o owadach. Oczywiście, tacy ludzie to sól ziemi, świat ich niewątpliwie potrzebuje, i to na pewno bardziej niż mnie, ale co ja mam zrobić, kiedy wolę sztukę od biologii?

– Właśnie! słyszałam, że poszedłeś na historię sztuki.

– A ty – na ASP?

– Tak. Niewiele się zmieniłeś.

– A ty całkowicie.

– Taki był mój zamiar.

– Gdzie warkocz?

– Znudził mi się. Mama nosi warkocz, siostra nosi warkocz, nawet babcia nosi warkocz. Chcę być inna. Jestem inna, właściwie. Ale chcę to jeszcze podkreślić.

– Kolor czarny! Silnie podkreśliłaś.

– Jak już, to już. Chyba mi się od razu zmieniła osobowość, słowo daję. Czuję się w każdym razie jakoś inaczej.

– Może dlatego cię nie poznałem. A przecież siedzieliśmy razem przez całe dwa lata i... i... miałem słabość do ciebie, wiesz?... – wyrwało mu się wraz z nerwowym śmiechem, po czym najwyraźniej tego pożałował i szybko dodał dla niepoznaki: – Aha! Teraz na wakacjach, na wsi, usłyszałem – wciąż jeszcze w codziennym użytku, wyobraź sobie! – takie stare słowo: feblifik. Pochodzi od francuskiego faible. Słabość.

– Aaa! Słabość. Czyli feblifik to tylko – słabostka?

– Tylko. Tylko. Albo może słowo to pochodzi od łacińskiego flebilis. Opłakany, hm. Kopaliniński podaje też to źródło – uściślił Ignas z typową dla siebie miną pedanta, wzbogaconą o równie charakterystyczny wyraz autoironii.

– Wciąż jeszcze czytasz na dobranoc Słownik wyrazów obcych?

– Już dawno przeczytałem. Teraz przed zaśnięciem przeglądam sobie słownik łacińsko – polski. A ty?

– A ja? Ja nie.

– Co czytasz na dobranoc, pytam. Zawsze lubiłaś czytać.

– Nadal lubię. A przed spaniem czytam po kawałeczku Żywoty najślawniejszych malarzy Vasariego.

– A, to starczy ci na długo.

– Cudownie ciekawe. Ale z lekka mnie peszy.

– A to dlaczego?

¹Jeremi Przybora, *Nie deptać trawników*

– No, wiesz... Przeczytałam od pierwszego razu, że dzieło doskonałe może stworzyć tylko człowiek szlachetny i pełny. Trach! No to chyba powinnam odłożyć malowanie na długie lata.

– Wręcz przeciwnie... – zaprotestował natychmiast Ignasz, ale ona ciągnęła:

– A źródła stylu, jak tam piszą, trzeba szukać w biografii i cechach charakteru twórcy, no więc...

– Co znowu ?

– ...no, cóż można dobrego powiedzieć o moim stylu, skoro nawet jeszcze nie mam biografii. Nie mówiąc o charakterze.

– Za to masz świadomość – pocieszył ją Ignasz. – A to najważniejsze. Bo od niej wszystko się zaczyna. Styl zwłaszcza. Nawiasem mówiąc, twój styl zawsze był bezbłędny.

Przypomniała sobie, że w szkole Ignasz zawsze ją pocieszał. Ilekroć miała kłopoty albo chwilę zwątpienia, on znajdował argument, który ją podnosił na duchu. Nie odpłacała mu tym samym, o nie! Przynajmniej nie zawsze. Kiedy napisał dla niej sonet, nie chciała go nawet przeczytać. Wykręciła się! – co musiało go zabołec. Być może to właśnie był ów punkt zwrotny w ich znajomości. Duży Ignacy jeszcze dziś o tym, najwyraźniej, pamięta. A ona wtedy po prostu się obawiała, że przyjmując jego wiersz – zachęci go jakoś. A nie chciała go zachęcać. Nikogo nie chciała.

– Pokażesz mi kiedyś swoje obrazy? – zapytał teraz.

Zanim pomyślała, już z niej wyskoczył protest:

– Nie!!!

Jak nożem uciął.

Ignacemu wyciągnęła się mina (jak on się wciąż bał odrzucenia! Czy to nie była i jej zła zasługa?), więc Aga, z niejasnym wyrzutem sumienia, szybko dodała, mówiąc w tym pośpiechu więcej, niżby chciała wyznać:

Nie lubię ich pokazywać. Nikomu. Jeszcze nie są gotowe. Niepodobne do tego, co naprawdę chciałam namalować! Nie to, żebym się specjalnie frustrowała, nie chcę się zgrywać na wielką artystkę i przeżywać żadnych tam twórczych męczarni – tylko, całkiem po prostu, widzę, że jestem jeszcze bardzo nieudolna. I chciałabym to pokonać.

Aha – rzekł Ignacy. – A czy przypadkiem nie o to właśnie chodzi w twórczych męczarniach?

Ale w sztuce, tak sobie myślę, doskonalenie się nie powinno być męczarnią. Powinno wymagać wysiłku, owszem, ale wciąż dawać radość i szczęście.

– Daje ci?

– Daje. Mnóstwo.

– Ale daje tylko utalentowanym. Więc sama widzisz. Co widzę, to, że moja ręka nie ma jeszcze właściwego połączenia z mózgiem.

– Z duszą – poprawił Ignasz. – To idzie z duszy, nie z mózgu. Napił się wody, uśmiechnął nagle i oznajmił z satysfakcją: I tak pamiętam, jak malowałaś w szkole. Takimi lekkimi, pewnymi liniami. Podobało mi się. Twoje obrazy są na pewno swobodne. Ale też bardzo dyskretne. I na pewno malujesz wydłużone postacie, a kolory kładziesz delikatnie i żywo, tak jak się poruszasz i mówisz. I używasz dużo bieli. Aga osłupiała.

– Skąd wiesz o bieli?! W szkole tak nie malowałam. Jeszcze nawet przed rokiem tak nie malowałam.

– Zgadłem – powiedział z miną zadowoloną. – Lubię malarstwo. I to JEST prawda, że dzieło podobne jest do twórcy, chociaż teraz to się często neguje. Jest podobne i łatwo to wykryć. Bo wiesz... wszystko jest całością.

– Znasz się na tym. Teraz będzie z ciebie fachowiec całą gębą. Może jednak kiedyś ci pokażę te obrazy. Jak już będę miała czym się pochwalić.

– Zgoda. No, już ci lepiej, prawda? Już nie jesteś taka blada. Lepiej mi, dzięki. Zimna woda pomogła. I ty. Ten autobus był koszmarny.

– Skąd ty właściwie jechałaś, też z wakacji?

– Nie, od siostry. Mieszka w Nekli i... aj! – Tu Aga zrobiła wielkie oczy. – Zagadałam się! Muszę pilnie dostarczyć tę paczkę. Na Sołacz. Wezmę taksówkę z ronda.

Ale Ignacy oznajmił, że jej nie wypuści samej na ten upał. Zadzwoił z komórki po taksówkę i zaznaczył, że potrzebny jest samochód z klimatyzacją.

– Ktoś tu zasłabł. Kobieta! – dorzucił tonem znaczącym, nagłym i tajemnym, jakby miał zamiar pilnie wieść żonę na porodówkę.

A kiedy czekali na radio taxi, zaoferował swe usługi.

– Pojadę z tobą, dobrze? Ta paczka jest ciężka. A potem cię bezpiecznie odwozę do domu. I dodał, z rozszerzonymi oczami, jak zawsze, kiedy ponosiła go wyobraźnia, że przecież Agnieszka mogłaby wręcz zemdleć na ulicy, tuż przed pędzącym tramwajem z grubym motorniczym, który ma okulary słoneczne, ale one są zatłuszczone, bo on jadł bułkę ze smalcem i teraz nic nie widzi pod słońce!

6.

Na Sołaczu było także gorąco, lecz przynajmniej zielono. Prosta aleja Wielkopolska, z dwuszeregiem ogromnych kasztanowców pomiędzy jezdniami, kończyła się pięknym, bujnym parkiem.

– Czternaście hektarów – powiadomił Agnieszkę Ignacy, pomagając jej wydobyć dzban z taksówki. Sam nie wiedział dlaczego, ale miał ochotę popisać się przed nią czymś, co było jego najmocniejszą stroną: wiedzą. – Pierwsze drzewa posadzono tu w 1907 roku. Wtedy jeszcze Poznań był twierdzą pruską, z fortyfikacjami wokół.

– Skąd ty wiesz takie rzeczy? – spytała z miłym mu podziwem.

– Cóż, to i owo samo wpada człowiekowi w oko odparł skromnie. – A Sołacz jest ciekawym miejscem. Ludzie mieszkali tu już, zanim powstał Poznań. Pierwsze ślady osadnictwa pochodzą z okresu kultury łużyckiej.

– Łużyckiej!! – zdziwiła się Agnieszka i spojrzała na Ignacego z, jak uznał, szczerym respektem.

Poczuł się bardzo dobrze.

Przeszli ulicą wzdłuż parku i skręcili w prawo, w boczne uliczki.

– W 1909 roku wieś Sołacz wcielono do miasta i zaplanowano tu kolonię willową dla profesorów i inteligencji – objaśniał dalej chętny Ignacy Grzegorz Stryba, któremu podziw zawsze dodawał wigoru, a respekt – skrzydeł. – Od tamtych czasów aż do teraz jest to oczywiście najelegantsza dzielnica Poznania. W każdym razie zjawisko „bogacza z Sołacza” jest stosunkowo nowe i dotyczy, moim zdaniem, drugiej połowy wieku dwudziestego.

W tych bocznych uliczkach ocienionych starymi drzewami, pośród starych ogrodów stały dziesiątki willi secesyjnych i tych z lat trzydziestych. Z rzadka trafiał się tandetny obiekt z epoki gierkowskiej.

O! Od tego właśnie okresu datowałbym powstanie zjawiska „bogacza z Sołacza”. Ale lata późniejsze również się w tej dziedzinie zapisały, z tym że już w lepszych materiałach budowlanych. Z kolei moda dwu ostatnich dekad to przejmowanie stylowych a zniszczonych willi i dokonywanie remontu przy użyciu najnowszych technik i produktów. Spacerowałem tędy kiedyś z Mmm... z przyjemnością, zastanawiając się, czy można by zilustrować historię dwudziestego wieku wyłącznie na przykładzie sołackiego budownictwa. Jasne, że by można. Nawet park, zaprojektowany na początku stulecia przez niemieckiego architekta, w latach pięćdziesiątych nosił imię Józefa Stalina. A z kolei wiek dwudziesty pierwszy przyniósł charakterystyczną walkę stowarzyszenia mieszkańców Sołacza z deweloperami, którzy

postanowili postawić tuż koło parku wielkie blokowisko, znaki czasu! Ciekawe, że żyjąc, nie da się uniknąć ich wytwarzania, prawda?

Tak zabawiając Agnieszkę rozmową (a nie było to łatwe w taki skwar!), ofiarny Ignacy oblewał się rześystym potem, taszcząc paczkę z dzbanem oraz koszyczek z wiśniami i dwie książki, podczas gdy Aga, wymachując torebką, poszukiwała właściwego adresu.

– To na pewno tu – powiedziała wreszcie, dostrzegając z daleka willę, która wyróżniała się symetrią. I rzeczywiście! – trafiła, na oko. Willa była odnowiona, nieskazitelnie wytynkowana i świeżo pokryta dachówką. Przed wejściem stały dwie donice z identycznymi drzewkami o koronach formowanych w kule. Nawet numer domu, wykonany z gładkich złotych cyferek, umieszczony był na słupkach po obu stronach furki.

– Ciekaw jestem, jak bardzo symetrycznie jest tam w środku zauważył z zainteresowaniem Ignaś, spoglądając na idealny ogród ponad idealnie przyciętym żywopłotem. – Może mają identyczne telewizory po obu stronach kominka. No, to już!

Nikt jednak się nie odezwał. Dom był wprost spowity ciszą – był tak cichy, że słyszeli, jak sami do niego dzwonią.

Żar lał się z nieba i nawet w cieniu było nie do wytrzymania.

– Przyszliśmy chyba za wcześnie – oceniła sytuację Aga.

– Może zapomnieli kupić drugiego szampana i pojechali do centrum handlowego – snuł przypuszczenia Ignacy. – Albo zjedli wszystkie białe lody i mają tylko czekoladowe, a w każdym pucharku muszą być po dwie kulki, czarna i biała. Albo nagle jeden z dwóch pstrągów (nie cierpię ryb!) skurczył się drastycznie w pieczeniu, względnie wypadło mu oko.

– Nie – śmiała się Aga. – Bogacze nie pieką sami pstrągów, zamawiają catering. Po co mają siedzieć w domu, pewnie pojechali nad wodę. Przyjęcie mają dopiero wieczorem.

– To co robimy?

– Przyjdę później – postanowiła. – Siądę gdzieś sobie i poczekam.

– To ja z tobą. Nad wodą.

– Nie chcę ci zabierać czasu!

– Cóż – rzekł Ignaś i spojrzał znów na ogród, lecz tym razem bez zainteresowania, a raczej po to, by Aga nie widziała wyrazu jego twarzy. – Mam go nagle pod dostatkiem.

Ale nawet nie widząc, Aga wiedziała, że na tej twarzy pojawił się smutek i wyraz przykrości.

Nic nie powiedziała.

Poszli ze swym ciężarem do parku i znaleźli tam ławkę, ściągniętą ze słonecznej alejki i ustawioną nieprzepisowo tuż nad brzegiem zielonego stawu, w gęstym cieniu. Wokół ławki leżało na piachu dużo niedopałków, butelki po piwie, a także spory szkielet wędzonej ryby, spoczywający (wśród traw, babki lancetowatej oraz koniczyny) na kawałku zatłuszczonej gazety. Ktoś tu niedawno biesiadował, a nie był sam, sądząc po ilości resztek. Sybaryci ustawili ławkę w ten sposób, by można było, siedząc i uczując, trzymać nogi w wodzie, a odpadki rzucać swobodnie na boki.

Dwie miejscowe kaczki przypłynęły natychmiast, kierując się najwyraźniej rozumem, a ewentualnie wspomnieniami, i wyhamowały znacząco przy samym brzegu, spodziewając się, że ktoś im tu zaraz rzuci bułkę. Ignacy użył patyka i rzucił im szkielet ryby.

Następnie wydobył z kieszeni chusteczkę higieniczną i chwytając przez nią butelki umieścił je w pobliskim koszu na śmieci. Po – podnosił przez chusteczkę papiery. Niedopałki zasypał, pracowicie przesuując piasek stopą, obutą w duży sandał.

Maximo cum studio² – powiedział. – Teraz mogę tu posadzić damę.

Odciągnął ławkę od wody, a w końcu wyjął z drugiej kieszeni pakiecik innych chusteczek – nawilżanych mile pachnącym płynem i dwiema z nich wytarł sobie starannie twarz oraz ręce, zaś kolejną poczęstował Agnieszkę.

– Jestem jak detektyw Monk – powiedział. – Ani kroku bez pełnego ekwipunku. Spróbuj, to bardzo odświeża.

– Co ja bym bez ciebie zrobiła. Żadnej świeżości.

– Mam swoje zalety.

I zaproponował, by pozbyli się kłopotliwego koszyczka przez zjedzenie wszystkich wiśni, względnie przez nakarmienie nimi ptactwa wodnego i ryb.

Wybrali to drugie rozwiązanie, bo wiśnie już z lekka fermentowały. Ignacy zastanawiał się głośno, co ptactwo zrobi z pestkami (miał trzy koncepcje). A Agnieszka rzuciła rybom swoje wiśniowe kolczyki. Już były niepotrzebne.

Miło było z tym Ignasem. Aga już prawie zapomniała, jak to jest siedzieć sobie beztrudnie żartować z kolegą, i to w dodatku dobrze wychowanym, życzliwym i kulturalnym. Dziwna rzecz, jak to w człowieku podnosi poziom poczucia bezpieczeństwa.

Najwyraźniej Ignacemu też było z nią dobrze. Rozparł się spokojnie na ławce, wyciągnął długie nogi, zapatrzył się wzrokiem nie – widzącym w połyskującą wodę i unoszące się na niej ptaki. Aga była ciekawa, czy myśli jego są w tej chwili przy owej niewiernej a przewrotnej Mmm..., ale nie śmiałyby oczywiście pytać. Co jej do tego? Zresztą, nie miała zamiaru przerywać błogiej ciszy. Wystarczyło, że robiły to kaczki.

– Rzeczywiście ten drugi egzemplarz jest identyczny? – zapytał nagle Ignacy.

– Skąd mam wiedzieć? – odparła. – Może jedna jest samcem.

– Pytam o dzban, a nie o kaczkę. Zresztą, obie mogą być samcami.

– Lub na odwrót.

– Na jaki znów odwrót?! Ach tak. Ale ja myślę, że to parka. Chociaż trzeba przyznać, że są – pozornie, rzecz jasna! – nie do odróżnienia. Lecz nie wnikajmy w to. Więc co z tym dzbanem?

– Tak, podobno jest identyczny. Słyszałam, jak Tekla mówiła przez telefon. Bardzo piękny dzban zresztą, spodobał mi się. Niezwykle kolory.

– A to może go zobaczymy? Lubię piękne przedmioty. Paczka nie jest jakaś bardzo ozdobna, można by tu, o, górą otworzyć i zerknąć.

– A zerknij. Tylko ostrożnie.

– Czy można zerkać nieostrożnie?

– Ja bym umiała.

– Wierzę. Jak na mnie zerknęłaś w autobusie, to struchlałem.

– Nic nie było widać.

– Ależ tu dużo węzłów gordyjskich – rzekł zdziwiony Ignacy, oglądając paczkę. – Jeden na drugim. Kto pakował?

– Tekla.

– Tak myślałem. Nie w twoim stylu te dramatyczne zasupłania. Przypuszczam, że ty byś zawiązała schludną, ale fantazyjną kokardkę. Jak już mówiłem, wszystko jest całością. A styl to człowiek, jak mawiała za młodu moja kuzynka Łusia.

– Siostra Józka? Taka mała i ruda.

– Ruda, ale urosła i właśnie jej stuknęło szesnaście lat. Jest teraz z młodszym bratem u ciotki w Oksfordzie. Szkoda, że Józek nie pojechał z nimi, to by mu dobrze zrobiło.

– A co tam u rudego?

– Cóż – rzekł Ignacy z taką miną, jakby komentował słuszny wyrok Sądu Najwyższego, a może Opatrzności. Józek nie dostał się, biedak, na medycynę. Teraz pracuje na budowie, u wuja. Przez całe wakacje.

Chyba nie udało mu się ukryć tej odrobiny niewinnej uciechy.

– Wciąż ta wasza rywalizacja... — zauważyła Agnieszka z uśmiechem.
– Ależ skąd. Jesteśmy już dorośli, prawda? – odparł pobłaźliwie Ignacy, po czym zastanowił się, wspomniawszy pewną szosę i pewną motorynkę i dorzucił: – Przeważnie.
Postawił pudło pośrodku ławki, przykucnął przed nią i daremnie próbował poluzować gruby sznurek.
Aga znalazła w torebce pilnik do paznokci.
– Masz! Potem zawiążemy na nowo. Na schludną kokardkę.
Ale w końcu sama się musiała tym zająć, bo Ignacy z pewnością miał wiele zalet, lecz nie należała do nich umiejętność piłowania mocnego sznurka malutkim pilnikiem. Jego długie dłonie o smukłych palcach nie zostały stworzone do operowania narzędziami pomyślała. Pasowało do nich jedynie pióro, i to gęsie.
Odsupłała główny węzeł, stopniowo podważając jego zacisk czubkiem pilnika, zdjęła sznurek, odkleiła taśmę, a Ignacy ostrożnie otworzył karton od góry.
Ukazał się lśniący głęboką ultramaryną otwór dzbana, który wewnątrz był poszklawiony na kolor turkusowy. Naokoło widać było już tylko mnóstwo kawałków folii bąbelkowej, starannie poupychanych dla zabezpieczenia.
– Wyjmę trochę tej folii – powiedziała Aga – A zresztą, wszystko wyjmę. Musisz zobaczyć go w całości. Ma świetne proporcje, a szkliwo położyła Tekla jak mistrzyni. Ten turkus w części środkowej jest bajeczny i aż świeci. Cudo, nie dzban.
– Raczej wazon – zauważył Ignacy, zerkając ciekawie do środka.
– Byłby może wazonem, gdyby nie miał ucha. Z uchem jest to dzban.
– Ten dzban – odparł Ignacy, zaglądając głębiej do pudła – nie ma ucha. A więc jest to wazon, jak sama przed chwilą zdecydowałaś.
– Ma ucho, ma.
– A założymy się? – powiedział Ignacy i Agnieszka, która właśnie wyjmowała największy kawał folii bąbelkowej, wydała krótki i ostry okrzyk, jak zraniona mewa.
Dzban nie miał ucha.
Zamiast niego miał dwie małe, pozbawione szkliwa plamki. A piękne ucho leżało osobno. Na najniższej warstwie folii.
– Mdleję – ostrzegła Agnieszka.
I zemdlą.

7.

Tego popołudnia na leśnych wzgórzach i w zielonych dolinkach za Kostrzynem było równie gorąco jak wszędzie, minus spaliny. Nawet osławiony swobodny polny wiatr chuchał opętanym żarem. Woda w jeziorach była ciepła. Las nie dawał ochłody. Sarny się ślaniały. Dzikie świnie leżały brzuchami do góry. Ptactwo ledwie żyło.

W skromnym, ale obszernym, dobrze izolowanym domu Pulpecji i Floriana wentylatory pracowały w niemal każdym pomieszczeniu, okna były pozastłaniane, w lodówce chłodziły się butle wody mineralnej, nieustannie podawano wspaniałe lody domowej produkcji, a mimo to liczni członkowie rodziny, miejscowi i przyjezdni, snuli się jak muchy w miodzie, przysypiali albo grymasili, zależnie od wieku.

Jędrus Rojek na przykład chciał pływać. Nudził przez cały obiad, nudził po obiedzie i wciąż słyszał, że mama nie chce wychodzić na słońce, bo już się przypiekła, a tata też jest rudy i złazi mu skóra. Czy Jędrus chce, by dostali udaru słonecznego? Obiecali mu, że pójdą z nim nad jezioro, ale dopiero pod wieczór, i nie rozumieli, że to właśnie teraz, kiedy jest tak gorąco, trzeba się wykąpać, a nie wtedy, gdy i tak zaraz się przymusowo wyląduje w wannie.

Zwrócił się do ciotki Gabrysi, która pływała jak ryba i zawsze chętnie z nim wyruszała nad wodę. Ale dziś i ona miała zwolnione obroty – i właśnie wybierała się z książką do cienia.

Poszedł po kuzyna Józka, milkliwego rudzielca o dobrym sercu, tajnego starszego kumpla – ale ten, choć nie musiał dziś pracować z wujkiem Florkiem na budowie, powiedział, że nadal jest zajęty, bo chce nasmarować rower (było to, ku zdziwieniu Jędrusia, jedno z jego ulubionych zajęć).

– Poproś mojego tatę – doradził. – On strasznie lubi pływać.

Jednakże wujek Marek był już w ogrodzie i razem z ciocią Gabrysią siedzieli w cieniu katalpy. Wujek miał ponurą minę i znów mówił o kłopotach małżeńskich z Idą. Ciocia Gabrysia wyglądała, jakby chciała czytać, a nie mogła. Może by się w tej sytuacji chętnie wyrwała nad jezioro, ale jej nie wypadało. Cóż, tego się już nie sprawdzi. Właśnie nadszedł kuzyn Józek i usiadł obok swego taty. A więc gadka o rowerze to był zwykły wykręt!

Zniechęcony powszechnie panującym marazmem oraz brakiem podstawowej wrażliwości na żywotne potrzeby dziecka, Jędrus zavrócił na pięcie i udał się do pokoju, w którym od niedawna mieszkali dziadkowie.

Mieli zaciągnięte zasłony i włączony wentylator. Oboje leżeli na tych swoich odlotowych łózkach i czytali, każde inną książkę. Oczywiście nawet nie przypuszczał, by mógł uzyskać u nich pomoc – a jednak tak się stało.

– A może – odrzekła prędko babcia, kiedy już przedłożył swą żalną skargę – pożyczylabym ci mój duży parasol? A po co? – zastanowił się Jędrus.

– Zaproponuj go rodzicom. Tym samym storpedujesz im ten wątpliwy argument o udarze. Mieli inne argumenty?

– Nie.

– To pójdą. Zobaczysz.

Jędrus przez chwilę miał wrażenie, że babcia oferuje mu tę pomoc na odczepnego, byle tylko sobie poszedł; dziadek w każdym razie, spoglądając znad książki, miał minę lekko zniecierpliwioną. Ale ostatecznie rada okazała się dobra. Ledwie wszedł z otwartym czarnym parasolem do różowego pokoju z tapetą w białe serduszka, gdzie pod nieobecność Ani i Nory sypiali jego rodzice, już udało mu się przykuć ich uwagę. Oboje naraz przestali się całować, poderwali się z poduszki, spojrzeli na niego żywo i razem zawołali: Ach, to ty!

A tata bardzo szybko dodał: A cóż to za parasol?

A kiedy im wyjaśnił, spojrzeli na siebie, wstali niechętnie z łózka i oświadczyli, że to bardzo dobry pomysł i że babcia zawsze ma pomysły bardzo dobre i praktyczne.

– Co my byśmy bez niej zrobili – dodał tata.

I grzecznie ruszyli pod wielkim parasolem nad jezioro, tylko z Jędrkiem bo nie udało im się poruszyć opornego Szymona, który właśnie pracował nad kolejnym filmikiem z serii „Przygody McKlocka” i animował klocki Lego, siedząc z tabletem na sedesie (w łazience było najchłodniej).

8.

Niebo miało najpierw głęboki kolor kobaltu, lecz w miarę jak Aga dochodziła do przytomności, zdawało się coraz bledsze, aż ostatecznie ustaliło barwę na siwoniebieską. Na tym jasnym tle wyraziście zarysowała się znajoma ciemna głowa z okazałymi uszami. Znajdowała się ona w niespodziewanym sąsiedztwie z parą stóp w białych sandałkach, które także wydały się Agnieszce znajome. Oszołomiony jej umysł zwerbalizował pierwsze rozpoznanie:

– Duże – wyszeptwała.

Skąd znała te sandały?

Aha, były jej własne. Podobnie jak stopy.

Skąd znała tę miłą głowę z dużymi uszami?

Ach, prawda. Z lat dzieciństwa.

Ignacy spokojnie sobie kontrastował na tle niebios; klęczał przed nią na obu kolanach, podczas gdy jej nogi w nowych sandałkach spoczywały równiutko na jego ramieniu.

– Co ty wyrabiasz? – zapytała słabo, unosząc głowę pełną dziwnej mgły.

– Ratuję cię, oczywiście – odparł on. – Leż, leż! Leż spokojnie. Dobrze, że tu przedtem posprzątałem, leżałaś teraz na rybie.

Aga zdała sobie w tym momencie sprawę, że w rzeczy samej leży na wznak w trawie, że Ignacy jedną ręką trzyma jej kostki, w drugiej dłoni piastuje telefon, a temu wszystkiemu przyglądają się medytacyjnie dwie nieruchome kaczki na ruchomej wodzie.

– Zemdlałam.

– Skąd wiesz? – zainteresował się Ignacy Grzegorz Stryba. Sekundę, może uściśle pytanie, bo jestem bardzo zainteresowany przebiegiem incydentu (jesteś pierwszą osobą, która zemdlała w mojej obecności). A więc: odzyskałaś przytomność, którą utraciłaś, a zarazem powróciła ci świadomość ostatniego wydarzenia, jakie pamiętasz?

– Co? – spytała tępo Aga. – Daj mi spokój, wstaję.

– Pardon, ale nie ma mowy.

– Puść moją nogę!

– Nie mogę. Musisz mieć kończyny dolne uniesione pod kątem trzydziestu stopni. I bądź zupełnie spokojna, to jest właśnie ten kąt. Nie ruszaj się, bo zmienisz nachylenie. Zresztą zaraz, sekundkę – to mówiąc, Ignacy zerknął na wyświetlacz swojego telefonu i po krótkiej a uważnej lekturze zmienił zdanie. – Aha, nogi mogę ci już oddać. Bo odzyskałaś przytomność. Natomiast od tej chwili musisz leżeć na plecach jeszcze przez pół godziny. Taka jest porada z blogu ratownika medycznego, a to chyba najlepszy z tych, które przejrzałem.

– Czytałeś sobie błogi w internecie, kiedy ja tu leżałam jak nieżywa?

– Nie wiedziałem, jak cię ratować. Ale teraz już wszystko wiem i świetnie potrafię, najlepszy dowód, że się ocknęłaś. Możesz przy mnie mdleć, kiedy zechcesz – to mówiąc, Ignacy odłożył jej nogi na trawę z taką atencją, jakby były wyjątkowym dziełem sztuki. Przy tej zmianie pozycji Aga wyraźniej poczuła ucisk pod karkiem.

– Coś tam mam?

– Butelkę. Brudną. To jest trochę obrzydliwe, wiem, ale nic innego nie miałem, wyjąłem ją z kosza. Ale owinąłem ją w te bąbelki. Kapelusz położyłem na ławce i przycisnąłem książką, na wypadek, gdyby zerwała się wichura.

– Aj!

– A co, twardo? Trudno, musisz coś mieć pod głową, tak twierdzi ten ratownik.

– Ucho!

– To za mało. To musi być solidna podpora.

– Mówię o uchu.

– Tak, słyszę. Przecież też mam uszy, cha, cha.

– Od dzbana – wyjęczała Aga, której się przypomniła przyczyna omdlenia.

– Od wazonu... zgoda, głupi dowcip. Nie denerwuj się. Tak, ucho odpadło, tak, od dzbana, ale to nie jest powód, żeby się przejmować. Przykleimy je i będzie dobrze. Nie martw się. Czuję się zobowiązany do wykonania tej naprawy, bo to ja niosłem paczkę. Choć, prawdę mówiąc, niosłem ją ostrożnie i przypuszczam, że wszystko się stało na Ratajach, kiedy rzucono na nią ten ciężki plecak.

– Chcę wstać.

– I zemdleć? Odradzam. Poleż sobie, popatrz w niebo. Jeszcze dwadzieścia osiem minut. Mogę ci poczytać. A może zacytować ci jakiś wiersz? Nie, ty nie lubisz wierszy. Jak dobrze to pamiętam! Dziwne. Ale i tak możemy tu spędzić miłe chwile, szczęśliwie padłaś w cieniu, natura jest dla nas łaskawa i nie zerwała się burza z piorunami oraz ulewą. Co ja bym w tedy musiał z tobą zrobić? Zwłaszcza w przypadku gradobicia. Przetoczyć cię pod ławkę? – zastanowił się Ignacy i – jak zawsze głodny wiedzy – już chciał szukać odpowiedzi na blogu

ratownika medycznego, gdy w torebce zadzwonił telefon Agnieszki. – Nie wstawaj! – zakrzyknął ostrzegawczo i nie podnosząc się z klęczek, wyciągnął rękę.

Podał jej dzwoniący telefon, patrząc na wyświetlacz i odczytując:

– Tekla.

– Boże! Co ja mam jej powiedzieć? – przeraziła się Agnieszka.

– Prawdę.

– Że odpadło mi ucho?

– Nie. Że nie zastałaś klientów w domu.

– Dobrze.

– Tylko spokojnie.

– Łatwo ci mówić.

– Poproś, żeby ci dała ich numer – wyszeptał konspiracyjnie Ignacy, unosząc palec i kilkakrotnie wskazując nim dzwoniący wciąż telefon.

– Ha – halo – powiedziała słabo Agnieszka, leżąc i patrząc w niebo, na którym nie było dosłownie ani jednej chmureczki. Błękit miał jednak cztery przynajmniej odcienie o subtelnej gradacji – najmocniejszy zbliżał się do bladego kobaltu. Najśłabszy – do szarawej bieli.

– Wszystko OK? Dostarczyłaś? Co powiedzieli? domagała się odpowiedzi siostra.

– Nie ma ich. Wyszli albo nie żyją.

– To idź tam znowu za godzinę.

Ignacy zrobił nakazującą minę i wypowiedział bezgłośnie: – Numer! Ich numer!

– Ich numer – powtórzyła posłusznie Aga do telefonu. – Daj mi ich numer.

– Dobra, wyślę ci. Zadzwon i się umów, faktycznie! – Tu Tekla się rozłączyła i już po chwili krótka wibracja oznajmiła przybycie wizytówki.

– Teraz sobie poradzimy – z satysfakcją oznajmił Ignacy.

Co rzekłszy, powstał z kolan, wziął z ławki Życie Chopina, otworzył książkę na pierwszej stronie i uprzejmie podał ją leżącej. Sam założył nogę na nogę, wetknął telefon w spodnie i oddał się lekturze Tatarkiewicza, kapelusz Agi przytrzymując dla pewności rozplaszczonym kciukiem.

Życie Chopina było ciężkie. W dodatku nie widziała liter pod światło. Aga się poddała. Odłożyła książkę na trawę, a Ignacy nawet tego nie zauważył, tak głęboko zapadł w lekturę.

Miała do wyboru: patrzeć, leżąc, w górę na niebiosa, w prawo na kaczkę lub na lewo, na Ignasia.

Więc patrzyła sobie na niego i nieświadomie się uśmiechała.

Jaka ciekawa, myśląca twarz. Poznała ją na pamięć, w każdym szczególe, przez te dwa lata, a przecież teraz wydała jej się nowa. Ciemne oczy przesuwają się szybko i zachłannie po linijskich testach, ciemne, długie rzęsy wyglądają jak nocne ćmy. Gdyby zadano jej namalowanie portretu kolegi, dałaby właśnie takie tło w czterech bladych odcieniach błękitu, użyłaby umbry palonej – nie czerni! do ciemnych partii włosów i twarzy i z pewnością nabiedziłaby się nad ustami. Miały żywy kolor. Ale to nie mogłyby być ani karmin, ani cynober, raczej coś z czerwonych brązów. O, dałaby róż indyjski, ale dosłownie odrobinę. W kącikach – niebieskawe drobiny cienia. Ale byłby problem: jak namalować wyraz skupienia w okolicy tych wrażliwych ust?! Trudna sztuka. A był tam, podobnie jak w lekkim ściągnięciu ciemnych brwi. Lecz brwi to fraszka. Usta byłyby najważniejsze.

Wciąż się uśmiechała, nie zdając sobie z tego sprawy.

Elektroniczne pikanie zabrzmiało z lewej nogawki Ignasiowych spodni. Przerwał lekturę, założył książkę trawką, nerwowo wyjął telefon, wyłączył w nim budzik i oznajmił, podając jej rękę:

– Pół godziny. Wstajesz.

Zawołał taksówkę, umawiając ją przed boczne wyjście z parku („Chodzi o kobietę po zemdleńiu: żeby nie musiała chodzić zbyt daleko!"). Potem wręczył jej kapelusz, zebrał książki i sięgnął po pudło z dzbanem, które starannie zakleił i obwiązał na powrót.

Aga zauważyła, że zawiązał sznurek na poczwórny węzeł gordyjski.

9.

Iduś, wiem, że jesteś teraz jakże szczęśliwie zajęta, cha, cha, ale pozwól, że na chwilkę zajmę Twą uwagę tym jednym króciutkim mailem. Jestem taka niespokojna, że muszę. Chodzi, jak się domyślasz, o Ignasia. Nie przysłał mi esemesa, że dotarł szczęśliwie do Wrocławia! A zawsze przysyła, kiedy podróżuje. Wniosek: nie dotarł szczęśliwie do Wrocławia. A telefon ma wyłączony i nie mogę tego sprawdzić. Moje pytanie: czy wsadziwszy Ignacego do autobusu, upewniłaś się, że z niego przez pomyłkę nie wysiadł? To znaczy, czy widziałaś na własne oczy, jak autobus bezpiecznie odjeżdża z moim dzieckiem na pokładzie?

(Swoją drogą, nie wiem, jak mogłaś bez lęku wpakować jednocześnie Łusią i Ziućka do jednego samolotu i potem nawet się nie spytać, czy dolecieli. Co z Ciebie za matka! Ty chyba nie masz wyobraźni).

Po raz setny żałuję, że do tej Waszej dolinki nie można telefonować. Szybko mi odpisz. Idę szykować coś dobrego na kolację, namówiłam Grzegorza, żeby tu przyjechał na dwa dni. W pokoju naszych rodziców, jak już pewnie wiesz, pękła ściana i sufit, co ojciec, trzeba mu to przyznać, wieszczył już od dawna. Wieszczył, wieszczył i wywieszczył. Teraz mówi, że to jeszcze nie wszystko, bo sytuacja jest rozwojowa i że pierwsza lepsza wichura zerwie z naszej kamienicy dach i złamie komin jak zapałkę. Ale poza tą drobną prognozą niewiele więcej powiedziano: rodzice przyjęli wiadomość o katastrofie budowlanej z właściwym sobie stoickim spokojem. Jakże go im zazdroszczę.

Całusy. Gaba

PS Pospiesz się.

10.

Sploszona Matko Ygnacego!

W istocie jestem szczęśliwie zajęta, cha, cha, ale w tej chwili ociupinkę inaczej, niż się spodziewałam. No nic, dobre i to. Ważne, że Marek jest ze mną. Nie ze mną sensu stricto³, za pozwoleniem, lecz w kuchni, gdzie obie gospodynie pokazują mi, co je boli. Najwyraźniej moje badanie nie było w pełni zadowalające, dla uzyskania kompletnej diagnozy potrzebny im jest ordynator oddziału neurologicznego. (W tym domu daje się zauważyć wieczny i nieugaszony głód opieki lekarskiej. Dorota doskonale wybrała przyszły kierunek studiów, to musi być medycyna). Mój ulubiony ordynator zgodził się potulnie, pożyczył ode mnie stetoskop i dalejże do dzieła, więc usiadłam sobie do komputera Dorotki i zobaczyłam, co tam słychać w polityce (fatalnie, nawet nie zaglądam!). Dobrze, że sprawdziłam też pocztę.

Ja nie mam wyobraźni? Ja nie mam wyobraźni?!?! Jak mogłaś mi to powiedzieć?! Oczywiście, że ją mam i rysuje mi ona, jak każdej zresztą matce, najgorsze katastroficzne warianty. Ale co to obchodzi moje dzieci, które mają wyrosnąć na ludzi odważnych?! Cierpię i milczę. A jeśli nie zadzwoniłam wtedy do Londynu, żeby zapytać, dlaczego moja Łusia mi nie przysłała esemesa, to wyłącznie dlatego, że dzięki Bogu. Twoja Róża mi przysłała esemesa, którego mogę Ci natychmiast zacytować, gdyż jest to po prostu kawałek dobrej literatury i dlatego silnie wrył mi się w pamięć, jak jakiś epigram lub wręcz haiku, i trwa tam już od przeszło dwóch tygodni:

³W ścisłym znaczeniu (łac.)

„Ciotko, dolecieliśmy, choć z trudem. Ziutek wymiotował. Miła jednak nie, Łusia uparcie czytała Prousta, Karolek miał biegunkę, ja migrenę i tylko Fryderyk spokojnie sobie spał”.

Twoja pierworodna zawsze miała talent literacki, a przy tym dar obrazowania i zwięzłego wyrażania emocji. Te zdania brzmią spżem. Epickim. Wyobraź sobie działania tej bohaterskiej istoty z migreną w głowie, uwięzionej w tym latającym pudelku blaszanym, gdzie liczba ciasno upakowanych i na ogół śpiących, a zawsze podenerwowanych współpasażerów nie pozwala kobiecie nawet porządnie huknąć na własne potomstwo. Jestem pewna, że też by chętnie zwymiotowała. Mogę ponadto potwierdzić jej celną obserwację: ja również zauważyłam, że im więcej dzieci jest w okolicy, tym spokojniej mężczyzna śpi. To musi być jakiś atawizm.

A! Popatrz tylko, udzieliło mi się! – właśnie użyłam ulubionego powiedzenia Doroty, która, jak obserwuję, nawet w wakacje przygotowuje się pilnie do przyszłego zawodu, a w tej chwili, z gipsem łożonym na stoiku, dla rozrywki czyta sobie pod orzechem nowiutki podręcznik do biologii na klasę maturalną i przez otwarte okno zadaje mi szczegółowe pytania z genetyki.

Będzie świetnym lekarzem! Szkoda, że tego nie zobaczę, a wszystko dlatego, że Ignacy Grzegorz nie sprostął moim oczekiwaniom. A w dodatku McDonalduś znów się nim bawi jak mysz kotem. Ach, co ja mówię, na odwrót.

Ale ad rem: nie dziwi mnie, że martwisz się o Ignasia – mam świadomość jego wyjątkowości. Dziwne wydarzenia, przypadki, a wręcz i (tfu – tfu!) wypadki syn Twój przyciąga do siebie w sposób wyjątkowo silny i znaczący. Powodem tego stanu rzeczy jest, po pierwsze, jego chroniczne roztargnienie, po drugie – jego siatka pojęć, która nie nakłada się na rzeczywistość w sposób z nią zbieżny. Że tak powiem. Zresztą wiesz sama: surrealiści mieliby z niego największy pożytek, mówię to bez ironii, rzecz jasna, a raczej z pewnym podziwem. Muszę kiedyś przeczytać choć parę tych jego wierszy, to i chyba będzie coś nie z tej ziemi.

Lecz uspokój się, Gabuniu, tym razem wszystko poszło według planu. Twój Pan Trąbalski został zorganizowany przeze mnie osobiście, a zaopatrzony w spyżę na drogę przez moje gospodynie (dały mu koszyk wiśni). Sprawdziłam, czy zabrał dowód osobisty (nie zabrał) i kartę Visa (była z dowodem), wsadziłam mu wszystko do kieszeni tych jego przedziwnych spodni (wierz mi, staruszek, już szorty byłyby lepsze!) i pojechaliśmy z panem Chrobotem do Kostrzyna. Było jeszcze trochę czasu, więc najpierw zajrzeliśmy do warsztatu, gdzie znajomy pana Chrobot od dłuższego już czasu naprawia moje autko. Nie naprawił go jeszcze, lecz świta nam pewna nadzieja, gdyż pan Chrobot podszeptnął mi, bym bezinteresownie ofiarowała jego koledze czteropak piwka. Za jego przyczyną rozwinęła się wreszcie naprawdę rzeczowa pogawędka na temat usterek samochodu, a że przeciągnęła się nieco (chyba się przekonuję do piwa), Ignacy zrobił się nerwowy i kazał zaraz się wieźć do autobusu. Dojechaliśmy w istocie na ostatnią chwilę. Dobiegł, wsiadł, pojechał na pewno, bo nic nie zostało na przystanku. Specjalnie sprawdzałam.

A teraz przestań się zamartwiać, że wyłączył telefon. Twoje dziecko ma dziewiętnaście lat, u licha! Znasz chłopaka, który by nie wyłączył telefonu, jadąc na randkę? Albo pamiętał o esemesie do matki? Zdaj sobie boleśnie sprawę, że jesteś w tej chwili ostatnią osobą, o której on w ogóle myśli. I to tak właśnie ma być. Chodzi o zerwanie mentalnej pępowiny i ciesz się, że trafiło Ci się typowe jej zrywanie, bo niektórzy potrzebują do tego siekiery.

A więc wyluzuj. Ignas nie zginie, już tam McDusia się o to zatroszczy, spokojna głowa. Ech, na Jowisza, szkoda, że moje zabiegi spaliły na panewce, jeśli tu w ogóle można mówić o panewce (lepiej nie, mam zaraz przed oczami anatomiczny rysunek układu kostnego i momentalnie boli mnie noga), i że nic nie zaiskrzyło pomiędzy Twoim synem a Dorotką. Mógłby się, baran jeden, lepiej postarać, wielka to strata dla rodziny, że akurat zakochała się

vi' kimś innym (to jest pewne! Obserwuję oczywiste, codziennie nowe symptomy). Ta dziewczyna to skarb i byłaby kiedyś dla Ciebie znakomitą synową. Dziś na kolację będziemy mieć jej popisowe dzieło, fantastyczny chłódnik z boćwinką – o, pardon, muszę kończyć. Jest Marek!

Rzucę się teraz na niego.

Ida

11.

Ktoś wszedł, kiedy Grzegorz malował po raz drugi sufit w łazience, stojąc na samym czubku drabiny, pod smętną, gołą żarówką.

– Hej! – powiedział w korytarzu głos męski.

– Tu jestem! – odezwał się Grzegorz z wysoka, wzbudzając rezonans w glazurze i armaturze.

Głos był, owszem, męski, ale to tylko osiemnastoletni chłopak wkroczył do dzwoniącego pustką mieszkania: Józek! Uniósł rudą głowę i spojrzał w górę niebieskimi oczami, zaświecił w uśmiechu białymi zębami, po czym oświadczył, że przysłała go ciocia Gabrysia.

– Mam wujka zabrać na kolację – dorzucił. – Nawet siłą.

– Pojadę, pojadę – uspokoił go Grzegorz. Rzeczywiście był głodny. Coraz bardziej. I tak samotny, że ucieszyła go nawet obecność mrukowatego Józka. – Już kończę, poczekaj, daj mi pięć minut.

Pobielił sufit do końca i zszedł z drabiny.

Teraz tylko kolor na ściany – i łazienka gotowa.

Pomógłbym – rzekł Józef Pałys – ale kazała się pospieszyć.

– Zobacz, co tu się dzieje – rzekł do niego wuj. Zaprowadził go naprzeciwko, do opustoszałego pokoju dziadków, gdzie Józef aż gwizdnął. – Tu jest potrzebne działanie zasadnicze, a wręcz ciężki sprzęt. W tej sytuacji dzień opóźnienia w malowaniu łazienki niczego nie zmieni. W dodatku znów odciepli wodę i nawet się nie można umyć. Jedziemy.

Ale chłopak stał jak wryty, w milczeniu, z założonymi rękami gapiąc się na żalosne rumowisko. Pokój dziadków, zwykle tak przytulny i szczelnie wypakowany książkami, był teraz całkowicie pusty. W suficie ziała dziura – spod tynku wystawała przerwana izolacja z mat trzciniowych i widać było nad nimi potężną stuletnią belkę stropową. Gruz leżał na parkiecie, pokrytym białym pyłem. Na spłowiełej ścianie, pękniętej od góry do dołu, widniały prostokątne i owalne widma w miejscach obrazków i fotografii. Tam, gdzie stały przedtem regały biblioteczne, zwisały czarne i szare woale zakurzonych pajęczyn.

– Przykro patrzeć, prawda? – zrozumiał Grzegorz Stryba. Wiele rozumiał bez słów.

– Tak – odparł małomówny syn gadatliwej Idy. I po chwili dodał wyjaśniająco: –

Wspomnienia.

Grzegorz pomyślał, że to takie dziwne: ten chłopiec mówi zawsze krótko, lecz czasem ma się wrażenie, że dał właśnie upust całemu potokowi treści. Na przykład teraz. Zwykle „tak” zostało powiedziane w taki sposób, że Grzegorzowi nagle ścisnęło się gardło. Czy sekret krył się w tonie głosu chłopca, czy w potędze emocji, które w tym rudzielcu pracowały? Bo był z całą pewnością uczuciowy, choć zarazem niezwykle opanowany.

To jest bardzo intensywna osobowość – pomyślał nagle Grzegorz i spojrzał na siostrzeńca Gabrysi z zaskoczeniem, jakby go widział po raz pierwszy.

Może tak i było. Może faktycznie widział go po raz pierwszy – w nowej wersji. Chłopcy tak szybko się zmieniają. A Józek dzisiaj naprawdę wyglądał jakoś inaczej niż zwykle. Coś całkiem nowego promieniowało z niego – od wewnątrz.

Milczeli obaj przez dłuższą chwilę.

Wreszcie chłopiec, wciąż stojąc w drzwiach pokoju dziadków, przemówił:

– A kiedy... oni już... – mruknął głosem nieco ochrypłym i od – kaszlnął. – Jak my tu bez nich będziemy... Co ja gadam! – zreflektował się nagle i umilkł na dobre.

Grzegorz odważył się klepnąć go w plecy i nic nie powiedział. Odezwał się dopiero, kiedy już zdjął strój roboczy, przebrał się i przemył twarz wodą mineralną z zapasu w lodówce. Napełnił wreszcie dwie szklanki i poczęstował chłopca.

– O tym samym tu myślałem – powiedział, popijając. – Bo ta myśl się narzuca. Kiedy odejdą... To mieszkanie będzie pełne duchów.

– Czego?!... – rzucił Józek takim tonem – ni to kpiącym, ni to zdziwionym – i z taką przy tym miną, że Grzegorz natychmiast poczuł się zobowiązany do wyjaśnień.

– Oczywiście, duchów nie ma – rzekł, ale chyba całkiem głupio, bo teraz Józek spojrzał na niego z rozbawieniem. – Niektórzy twierdzą, że je widzieli – tłumaczył Grzegorz coraz bardziej nerwowo – ale raczej chcą jakoś wyrazić to dziwne poczucie obecności swoich zmarłych. Bo takie poczucie się ma, naprawdę. I to nie jest tylko działanie wyobraźni albo pamięci. Oczywiście, to częściowo bierze się z nas samych, z intensywności naszych wspomnień, naszych uczuć związanych z bliskimi. Ale to jeszcze coś więcej. To jest jakaś tajemnicza duchowa projekcja. A raczej może: więź. Kiedy umarł mój ojciec, nie tylko go stale pamiętałem, ale w dodatku miałem wrażenie – i mam właściwie nawet teraz – że jest ze mną nadal. Mogę go nie wspominać, nie myślę o nim nawet – a to poczucie i tak trwa.

Józek łypnął na niego niebieskim okiem – chyba nawet z odcieniem wyrozumiałości. Nic nie powiedział. Ale Grzegorz nagle pomyślał, że chyba wie, jak czuje się zwykle jego syn przy tym swoim krzepkim, niewzruszonym kuzynie: jak histeryczny, rozgadany i rozpoetyzowany pięknoduch oraz neurotyk. To mężczyźni nie służy, to mężczyznę frustruje. I dziwić się potem, że taki łagodny pacyfista jak Ignasz wali niewzruszonego kuzyna garnkiem prosto w nos!

– Ech, trudno to określić – wyjaśnił czym prędzej, stropiony, starając się zmienić ton na mniej rzewny. – Trudno się o tym mówi. Ale wierz mi, kiedyś sam tego doświadczysz.

– Wiem – zgodził się niespodziewanie rudzielec i opuścił głowę.

– Strasznie bolesne – wyznał Grzegorz od serca i mówił dalej, mówił znów więcej, niżby chciał. – I okazuje się nagle, że każdy człowiek jest niezastąpiony. Nawet najmniej ważny, najskromniejszy, najbardziej cichy. Po każdym tworzy się wyrwa, mniejsza lub większa. Tyle miliardów ludzi, popatrz! I wszyscy niezastąpieni. I po każdym zostaje coś nieuchwytnego, ale dziwnie realnego, coś, co należy ponieść dalej.

– Zobowiązanie – zrozumiał chłopiec.

– Twoja babcia zawsze mówi po prostu: „Wszystko jest po coś”.

– Bo jest.

– Więc może nawet – ciągnął Grzegorz nerwowo – może nawet i śmierć nie jest strasliwym marnotrawstwem, chociaż doprawdy trudno mi to przyznać. Z pewnością sens każdego mijającego życia mierzy się tym, ile ono dobroci po sobie pozostawia. Nawet nie miłości, bo przecież nie wszyscy umieją ją dawać, z różnych powodów. Zwyklej dobroci. Zwykłego dobra. I jeszcze – tego zobowiązania. A nasze poczucie straty wynika może i stąd, że nie jesteśmy pewni, czy damy radę ponieść to wszystko dalej.

– Czemu nie – rzekł Józef Pałys lakonicznie i jednym zdecydowanym haustem dopił do końca wodę, jakby mówił: no, jedziemy!

Ale Grzegorz nie mógł skończyć.

– Siedzę tu sam, maluję, odnawiam, ale wciąż myślę o przeszłości. Przypomniałem sobie na przykład, jak mnie tu Gabrysia zaprosiła na Wigilię. W dziewięćdziesiątym pierwszym. A twoja mama przyprowadziła Marka. Nie wyglądał wtedy na twój ojca!

Zupełnie niespodziewanie Józek się miło zaśmiał.

W drugie święto miał się odbyć ich ślub. To było spotkanie najwyższej rangi, Ida zaprosiła przyszłą teściową! – rozgadał się Grzegorz, rad, że skłonił milczka do takiej

sympatycznej reakcji. A dla mnie to była pierwsza wizyta w roli, jak oni mówili, absztyfikanta. Byliśmy obaj maksymalnie stremowani, ale nasze dziewczyny nic a nic. I miały rację, bo jaki to był w końcu miły, swobodny wieczór! Ich rodzice byli wspaniali. Wiesz, nawet gdybyśmy się im nie spodobali, Marek i ja, nie mielibyśmy szans tego odczuć. Ale się spodobaliśmy. Nie dlatego że byliśmy wyjątkowi. To twoi dziadkowie są wyjątkowi. Są mianowicie wielkoduszni.

– Fakt.

– I to dlatego Gabrysia... Gabrysia jest taka...

Przerwał, bo go zatkało.

Józek chrząknął, spojrzął w bok, po czym zaszurał nogami.

A gdybym tak wtedy nie przyszedł? – zastanawiał się dalej Grzegorz, a mówił teraz znacznie ciszej. – A miałem, miałem takie momenty wahania. Tak jakbym musiał wyjść ze swojej pustelni w jakąś zawieruchę. I jakbym stał jedną nogą na progu i jeszcze mógł się cofnąć. I wiesz, chciałem się cofnąć do tego znanego punktu, gdzie byłem sam, nieszczęśliwy, ale bezpieczny. Ale wtedy zadzwoniła Gabrysia. I już musiałem się odważyć. Na szczęście! Gdybym nie zrobił tego kroku naprzód, wszystko byłoby inaczej. Całe moje życie byłoby inne. Jakie szczęście miałem, że się odważyłem.

– Fakt – powiedział Józek. Jego twarz była jak zwykle spokojna i nie wyrażała żadnych emocji. Ale nagle objął wuja przez plecy, gestem ni to koleżeńskim, ni to opiekuńczym.

– To – powiedział, wskazując na rysę — się naprawi. Pomogę. Z sufitu zleciał tylko tynk. Belki całe. Będzie dobrze – po czym krzepiąco klepnął Grzegorza w łopatkę i zapytał: – Jedziemy?

12.

Agnieszka mieszkała niedaleko, za ulicą Jeżycką, w niedużym starym domku z pelargoniami w oknach i z bujnym ogrodem na zapleczu. Parterowy ten budynek pokryty był papą i wyglądał na tanią produkcję własną z lat powojennych. Przed domkiem biegła wąska brukowana uliczka, a tuż po jej drugiej stronie wznosił się trawiasty nasyp ze starym wiaduktem. Wysoko po torach właśnie przejeżdżał zwolna pociąg ekspresowy. Powietrze pachniało smołą, rozgrzany żelastwem, piołunem i kwiatami.

Ignacy nigdy tu nie był.

Mieszkał w Poznaniu przez całe życie, lecz ograniczał się do starannego zwiedzania zabytków. Natomiast jego konkretny i ekspansywny z natury kuzyn Józef Pałys znał każdą ulicę swojego miasta, każdy zaułek, każdy skrót, przejazd czy zakamarek, wszystkie znaki zakazu i ograniczenia postoju. Najpierw kręcił się po mieście na piechotę, potem jeździł wszędzie na rowerze, a potem już używał samochodu ojca. Na pewno trafił i w tę okolicę starych Jeżyc.

Jakoś miło było pomyśleć, że przechadzając się po tej okolicy, Józek nigdy nie spotkał tu Agnieszki. Jeszcze by dla niego straciła głowę. Ten rudy milczek miał w sobie ostatnio jakąś sekretną siłę, dzięki której świat kobiecy wyraźnie lgnął do niego, robiąc słodkie i zarazem maślane oczy. Fakt, że Józef Pałys nie zwracał na to większej uwagi, powodował tylko u świata kobiecego wzmożenie wspomnianej tendencji. W zetknięciu z osobnikiem, na jakiego wyrósł dawny Józinek, delikatna Agnieszka mogłaby nawet doznać złamania serca. Ignacy nie życzył jej tego cierpienia, o nie, była naprawdę dobrą koleżanką, co potwierdzało się dosłownie chwila po chwili, w sposób coraz bardziej niewzruszony.

Upała się płacić za taksówkę, ale miała tylko całe sto złotych, więc musiała je schować, bo taksówkarz ani myślał w taki upał lecieć do sklepu po drobne. Należność (niedużą) uścił Ignacy, a Agnieszka poczuła się bardzo nie w porządku, czemu dała wyraz, zapraszając go w rewanżu do swego domu, na lody.

Tylko nic nie mówmy mamie o uchu – ostrzegła. – Bo może być nieprzyjemnie. Ona ostatnio... no, wpada w takie... krótkie wybuchy furii, i to o byle co.

Ignacy natychmiast poczuł, że ogarnia go niepewność, bo o ile generalnie podziwiał i cenił przedstawicielki świata kobiecego, to równie generalnie wolał, by były one spokojne, delikatne i pełne tajemniczego uroku, a nie agresywne, trywialne i przykre. Nawet całkiem sympatyczna zamaszystość realistki Doroty, świeżo poznanej na wsi i wciąż przyjemnie żywej w jego pamięci, budziła w nim obawę.

Właściwie miałyby ochotę się taktownie wycofać, bo nie przepadał za krótkimi wybuchami furii. To właśnie ta krótkość wzmaga, co oczywiste, ich intensywność. Sam kiedyś popadł w krótki wybuch furii i dlatego przyłożył Józinkowi w nos, aż się sangwiczny kuzyn, he, he, he, zalał krwią – więc może tym większym niesmakiem napawała go perspektywa ujrzenia czegoś podobnego w wykonaniu kobiety, i to zapewne niemłodej.

Jednakże rej terować nie wypadało: był odpowiedzialny za renowację dzbanka.

Agnieszka wyjęła klucz, otworzyła po cichu – weszli. I od razu uderzyła ich cisza i pustka. Nikogo nie było w domu. Aga sprawdziła to jeszcze: obezła nieduże pomieszczenia domowe oraz pracownię matki. Ignasz zajął tam również, przez ramię Agi (lubił oglądać pracownic malarzy). Także i tu było pusto i cicho. Pachniało werniksem i terpentyną. Wszędzie stały lub wisiały dziwne obrazy, przedstawiające postacie ludzkie o idiotycznych kukiełkowatych głowach i kończynach jak połamane patyki. Wszystkie twarze miały ostry, przykry wyraz złośliwości, pogardy lub szyderstwa. Barwy obrazów były brudnawe: dominował głuchy kolor brązowy, a także czarny i biały. Łatwo było uwierzyć w krótkie wybuchy furii nawiedzające artystkę, która w taki oto sposób widziała ludzi, miała potrzebę to namalować, lecz niestety, niezbyt dobrze to potrafiła. W istocie mogło ją to prowadzić do silnej frustracji.

Agnieszka złapała jego zaskoczone spojrzenie, zrozumiała je ale nic nie powiedziała, tylko pospiesznie zamknęła za sobą drzwi pracowni i poprowadziła go korytarzykiem parę kroków dalej: w przybudówce z werandą mieścił się jej niewielki pokój. Był biały i cichy, jakby uśpiony. Gruba lniana zasłona chroniła go od słońca. Agnieszka ją odsunęła, otworzyła szeroko okno – i natychmiast wtargnęła przez nie fala światła i upału, a wewnątrz wypełniło się całą pełnią zapachów i dźwięków: rozgrzana zieleń, tymianek, mięta, macierzanka, lilie, floksy, pelargonie i nasturcje, szum starych drzew.

Wpadła też osa, lecz Ignacy był świeżo po owadoterapii u Doroty, a więc nie podniósł alarmu i wrzawy.

Ostrożnie ustawili paczkę z dzbanem na stoliku i poszli kolejno do malutkiej łazienki, myć ręce et cetera, na co (jak zgodnie i z koleżeńską swobodą przyznali), po tak długim spacerze oraz wypiciu dużych ilości wody mineralnej, był już doprawdy wielki czas. Potem Aga udała się do przyległej kuchni („Nie wchodź tu. bo bałagan!” – krzyknęła), gdzie zaparzyła herbatę i wydobyła z zamrażarki lody, co dało się poznać po serii szurgających, szorstkich, znajomych dźwięków, wskazujących, że lodówkę należałoby czym prędzej rozmrozić.

Ignacy tymczasem oglądał romantyczny, szalony, bujny ogród za oknem, a potem – ten kontrastowo spokojny pokój z pustą sztalugą i kolorową paletą. W kącie stały zamalowane blejtramy, skromnie ustawione płótnami do ściany. Z sufitu zwisały równiutko pęki suszonych roślin. Słoje, poustawiane na półce rządkiem, jak w spiżarni, zawierały suszone płatki kwiatów, a obok stały tajemnicze naczynka i buteleczki z enigmatycznymi nalepkami. Przez pewien czas Ignacy w skupieniu doceniał wyjątkowy zapach samotnej ciemnoczerwonej róży, stojącej we flakonie pośrodku roboczego stołu; zauważył, że był starannie przygotowany do pracy – pełno na nim było bloków, arkuszy, pędzli, ołówków i pojemników w różnych kolorach. Wyglądało to niesłychanie zachęcająco.

Pomyślał, że ten pokój jest uroczy.

Zdał sobie też w tej chwili sprawę, że świetnie – radośnie i swobodnie! – czuje się z Agnieszką. Jak zawsze. Jakby żadne lata nie minęły. *Veterrimus homini optimus amiicus est*⁴. Jest tak, jakby znów siedzieli w jednej ławce i dodawali sobie nawzajem odwagi lub zaśmiewali się razem z byle czego. W istocie, zawsze nadawali na tych samych falach, rozumieli swoje żarty w lot; a czasem wystarczyło, że tylko szybko spojrzeli na siebie, zamiast komentować jakieś wydarzenie. I już było różniej. Była istnym światłem jego lat szkolnych. Szkoda, że wszystko popsuł, próbując pójść o pół kroku dalej. Lubiła go, to prawda – ale nie tak. Nie TAK. Zwłaszcza od kiedy go przerosła (trudno się doprawdy dziwić, że zaczęła patrzeć na niego inaczej, skoro patrzała z góry!). Pisanie dla niej lirycznego sonetu było zdecydowanie niestosowne. Popełnił błąd.

Jeden z wielu.

Posmutniał, wspomniawszy Magdusię: swoje najnowsze, bolesne rozczarowanie. I dla niej przecież napisał sonet. Jakże daremnie.

Cóż, koniec z błędami. A także z sonetami. Koniec. Nareszcie! Jak dobrze i miło, że od pierwszej chwili odnaleźli z Agnieszką dawny, kumplowski modus procedendi⁵! Niczego więcej już mu nie trzeba. Życie znów miało dla niego uśmiechnięte oblicze. I tego trzeba się trzymać. Ta trzeźwa i praktyczna Dorota miała sto procent racji, namawiając go po przyjacielsku, by nie dramatyzował w sprawie Magdusi i nie obnosił się z żalobą po tym rozstaniu. To nadal jest dobra rada. Dramat należy głęboko schować, a nawet – pochować, ponieważ przeszkadza żyć normalnie.

Żeby oderwać od niego obolałą myśl, odwiedził regał, wypchany apetycznymi książkami. Zapoznał się z tytułami; zyskały jego aprobatę. Znalazł nawet, z miłym zaskoczeniem, Świat starożytny T.R. Glovera. Tak jest: Biblioteka Wiedzy, tom 33, Trzaska, Evert i Michalski, Warszawa. Kiedyś osobiście kupił tę międzywojenną rzadkość w antykwariacie i podarował Agnieszcze w charakterze szkolnego prezentu mikołajkowego o określonym limicie finansowym (trzydzieści złotych). Książka kosztowała doprawdy grosze, mógł być dołożyć jeszcze jakiś dziewczęcy drobiazg, ale się trochę obawiał, co powie Bulaj. Więc nie kupił nawet misiaczka lub maskotki, lub, dajmy na to, jakiegoś różowego pamiątniczka zamykanego na złoty kluczyk, i ostatecznie pożałował, bo Agnieszka po odpakowaniu prezentu zrobiła nieprzeniknioną minę i przez chwilę miał wrażenie, że nie tego oczekiwała. Ale oto, proszę, minęły lata, maskotka dawno znalazłaby się w koszu na śmieci, a Świat starożytny stoi na półce, służy. Agnieszka jest więc raczej nietypową przedstawicielką świata kobiecego.

Tę samą książkę – w takim samym wydaniu! – miał dziadek, a zachował ją jeszcze z czasów studenckich. Babcia opowiadała chętnie, jak to kiedyś przy księżycu, czerwcową nocą, dziadek uwodził ją, szepcząc jej w tańcu do uszka analizę przyczyn upadku cesarstwa rzymskiego. A cytował właśnie T.R. Glovera. Wnuki uwielbiały tę opowieść.

Cóż, zapewne w tym antykwariacie, odwiedzionym przed mikołajkową imprezą, odezwała się w Ignasiu podświadomość; w każdym razie ta właśnie książka wydała mu się idealnym prezentem dla dziewczyny, do której czuł słabość. To jest, słabostkę.

Zerknął na stronę tytułową. Tak jest, była tu jego dedykacja, nakreślona jakże jeszcze niewyrobnym charakterem pisma. „Dla Agnieszki – ze szczególnym poleceniem strony 317 – Ignacy Grzegorz Stryba. 6 grudnia 2008”.

I co też tam było, na tej stronie? Już nie pamiętał, więc zajrzał – i znalazł żółtą karteczkę, którą nie on przykleił (nie miał tego zwyczaju). O! Imperium rzymskie. Zamęt wieku trzeciego. A oto jego własny wykrzyknik ołówkowy, postawiony (a tak, to miał w zwyczaju!) przy drugim akapicie. Znajdujemy więc barbarzyńców u bram cesarstwa, wojska barbarzyńskie trzymające przy nich straż, mizerne postacie na tronie, triumfującą biurokrację

4Najstarszy przyjaciel jest najlepszy (łac.)

5Sposób postępowania (łac.)

oraz ludność upadającą liczebnie i na duchu. I ludzie pytają się, dlaczego upadło imperium rzymskie! Raczej dlaczego jeszcze trwało ?

Ach, tak. Pamiętał, jak go autor zachwycił tą krótką diagnozą. Wyobraził go sobie wtedy jako ironicznego i pełnego swady profesora w todze, porywającego swym wykładem młodych słuchaczy – i pomyślał, że sam by chętnie został kimś takim.

Uśmiechnął się i odstawił książkę na półkę, po czym starannie wyrównał szereg grzbietów i zwiedzał dalej.

Przystanął nagle tuż przed tapczanem z białą narzutą i odtąd już tylko wpatrywał się w wiszący powyżej niewielki obraz bez ram, oprawiony jedynie w passe-partout z czarnego, jakby aksamitnego kartonu.

Obraz był ciemnoszary, jak późny zmierzch albo jak wczesna noc. W prawym górnym rogu jego tło rozjaśniało się półkolistą, stopniowo, do barwy popielatej – i tam właśnie znajdował się cieniutki, biały półksiężyc. A poniżej rosły trzy drzewa, ciemnoszare i czarne. Miały grube, gładkie pnie i konary oraz cienkie, cieńsze i całkiem cieniutkie gałązki, na których widniało zaledwie kilkanaście ostatnich, żółtawych listków – jedyny żywy kolor na tym obrazie. Listki zostały namalowane tak finezyjnie, liczne odcienie żółci dobrano z takim rozmysłem, że lśniły, każdy po swojemu, w zależności od tego, jak ustawione były wobec półksiężyca. Tym samym ukazywały sposób, w jaki jego odbite, niewidoczne światło rozprasza się coraz dalszymi kręgami.

A na cienkich gałązkach siedziały ptaki – kilka drobnych, ciemnych ciałek na tle szarego nieba – i czarne punkty ich oczu białymi iskierkami także odbijały blask, ponieważ wszystkie ptaki wpatrywały się w księżyc.

Ignacy poczuł nagle, jak zachwył rusza potopem z jego serca, poprzez gardło i krtań (które zacisnęły się pod tym wpływem, blokując mu oddychanie) do oczu (które zasnuły się łzami).

To był taki piękny, prawdziwie piękny obraz!

To oczywiście, że malowała go Agnieszka: był jak ona delikatny, tajemniczy i niezwykły. Był pełen namysłu, dyskrecji i uroku. Był niesłychanie w jej stylu. Jednakże, jak się właśnie okazało, był to styl znacznie lepszy, niż sobie Ignacy wyobraził. A jeszcze się wymądrzał nawet na ten temat, w lodziarni na Ratajach. O nieba!

Poczuł, że jest idiotą i zadufkiem.

Weszła Agnieszka, niosąc tacę, i zatrzymała się na progu.

Odwrócił się i spojrzął na nią pokornie.

– Co?...?! – spytała, zrozumiała i przeniosła wzrok na obrazek. – To stare – wyjaśniła, ale była zadowolona. – Sprzed roku. Teraz maluję inaczej. Powiesiłam, bo go lubię.

– Światło! – odkorkował się Ignacy. – Przecież ono tu wszędzie jest, chociaż go nie namalowałaś. Stworzyłaś jego obecność!

– Widzisz to! – ucieszyła się Aga.

Wskazał obraz i znów stracił mowę. Więc tylko machał równomiernie ręką, co wyglądało, jakby używał pompy.

– Mistyczne – wyrzekł wreszcie i uszy mu zapłonęły. Powiedziałaś bez słów o czymś, czego nie widać. Namalowałaś odbicia odbić.

Przypomniał sobie znowu realistyczną Dorotę – nawet ona podziwiała wizerunki księżyca w kroplach rosy.

– Dziewczyny! – wymknęło mu się. – Może one po prostu widzą więcej?

– To pewne – zaśmiała się Agnieszka.

Ale Ignacy się nie uśmiechnął, bowiem siłą rzeczy, wbrew postanowieniom (co za obsesja!), pomyśleć musiał znów w tej chwili o tej jednej dziewczynie, która, jak się świeżo okazało, widziała mniej. Urok wyobraźni! On nie tylko zawężył horyzonty i pozbawia życie urody; on potrafi czasem być miażdżący w skutkach. Ale to przecież nie była wina Magdusi,

że nie miała wyobraźni! Czy więc była w ogóle bez winy, skoro nie mogła sobie przedstawić, co on czuje?...!?

Cóż, być może. Nie chciał już o tym myśleć. Więc dlaczego myślał? Czy tak już zawsze będzie?

Posmutniał.

Agnieszka przyjrzała mu się, nie komentując jego nagłej zadumy, po czym powiedziała lekko:

– Siadajmy. Lody z czekoladą, a potem dobra, mocna herbata. A potem się wykąpię i jak już się całkiem postawię na nogi, to się zajmę uchem.

– Ja ci przykleję to ucho – powiedział nieuważnie Ignacy.

– Lepiej nie.

– Dobrze, sama sobie przykleisz. Kąp się. kąp, to ci ureguluje krążenie. Woda ma być – pamiętaj! – chłodna, ale nie zimna. Aha, tylko nie zemdlej pod prysznicem i nie zablokuj ciałem drzwi, bo co ja wtedy zrobię?!

Sięgnął po pucharek, nabrał dużo lodów z czekoladowym sosem, ale zupełnie o nich zapomniał, zastygł z łyżeczką przed ustami, bo znów spojrzał na obraz i zagapił się jak lunatyk, mając świadomość, że teraz półksiężycy są dwa, bo odbijają się w jego źrenicach. I myślał o tym, jak cicho jest w tym pięknym miejscu i że w ogrodzie słychać nie tylko wróble, ale i kosy. I że jest jasne, dlaczego ptaki pojawiły się na obrazie Agnieszki, i oczywiście jest, dlaczego panuje na nim taki spokój. Ale wtedy nagle tuż za oknem przejechał kolejny pociąg i wszystko od razu się zatrzęsło. Ignacy też.

Tymczasem Aga jadła lody, myśląc o swoich przyziemnych kłopotach. Zastanawiała się mianowicie, gdzie jest mama i czy już dziś, nie czekając niedzieli, pojechała nad pobliskie jezioro Rusałka, jak to planowała, czy też udręcza się w taki upał na treningu, czy też może siedzi w ogrodzie u sąsiadki, narzekając i pijąc jej niebezpieczne koktajle na bazie whisky.

Aga nie słyszała odgłosów przejeżdżającego pociągu, bo całkiem do nich przywykła. Natomiast Ignacy aż podskoczył i sos czekoladowy kapnął mu z łyżeczki prościutko na podolek, gdzie zabrudził koszulkę centralnie, dużą plamą o bardzo organicznym kolorze.

– Oj! – powiedział bezradnie.

Aga kazała mu prędko się rozebrać (posłuchał bez szemrania) i poszła do łazienki. Tam przepłukała brunatny kleks zimną wodą i potraktowała go skutecznym odplamiaczem, a następnie rozwiesiła koszulkę na sznurku za oknem.

Kiedy wróciła do pokoju, Ignacy, w samych tylko spodniach, swobodny i mile zadomowiony, pochylał opalone plecy nad jej stołem.

Masz tu jakieś niezwykle farby – zauważył z ciekawością. Po – skrobał paznokciem zawartość porcelanowego pojemniczka, roztał, powąchał, po czym obejrzał arkusze z próbami kolorów i nie mógł się nadziwić ich przejrzystej lekkości.

Sama robię barwniki – pochwaliła się Agnieszka. – Jak dawni mistrzowie.

I otworzyła boczne oszklone drzwi pokoju. Zobaczył – na pachnącej, nagrzananej werandzie z koślawą ławeczką – kosze, wiadra i pudła pełne kolorowych kwiatów oskubanych z łodyżek.

– Z tego je robisz?! – zrozumiał.

Tak, na przykład ta czerwień jest z pelargonii – piękna i głęboka, co?

– Mogę coś namalować?

Pewnie. Tu masz papier, a tu pędzle. A ja idę się kąpać.

13.

Kąpała się bardzo długo i z całą pewnością nie zemdlała. Słychać było, jak nuci sobie pod prysznicem, jak chlapie, chlupie, stuka i podzwania. Ignacy z namaszczeniem namalował – nie wiadomo dlaczego wielkie czerwone jabłko i przekonawszy się po raz kolejny w życiu,

że niestety, malarstwo może go interesować wyłącznie teoretycznie, podarł swe dzieło i ukrył je na dnie kosza na śmieci.

Następnie spożył rozmiękle lody, wypił herbatę i poszedł znów oglądać obrazek z półksiężycem, tym razem szczegółowo.

Przykłęknął na tapczanie i z bliska obejrzał tło. To była czarna farba wodna delikatnie i umiejętnie rozmyta – albo rozpylona! – na ciemnoszarym papierze ale tak, że nie sięgała prawego górnego rogu. Półksiężyc w tym szarym kącie został namalowany jednym bezbłędnym muśnięciem cienkiego pędzla, białą, gęstą temperą.

Jaką pewną ręką!

Gałązki też zostały wyciągnięte pędzelkiem – precyzyjne jak na japońskim rysunku.

Właśnie przyglądał się tym pięknie uproszczonym sylwetkom ptaków, kiedy trzasnęły drzwi wejściowe i w korytarzu rozległy się kroki. Ignacy poderwał się, spłoszony, odwrócił niezgrabnie, upadł bokiem na tapczan – i spotkał się ze wzrokiem starszawej blondynki, niebędącej w jego ulubionym typie.

Stała w drzwiach, potargana, czerwona na twarzy, z ustami półotwartymi w zaskoczeniu. Ubrana była w legginsy i podkoszulek, odsłaniający umięśnione ramiona. Chwiała się lekko na rozstawionych, masywnych nogach, zaś rękami ujmowała się pod boki.

Zamarł z przerażenia, widząc wyraz tych oczu, przekrwionych jak u smoka. Tak, to była furia.

– Cssso tu robisz?! – padło pytanie, zadane ostrym głosem, lecz z nieostrą wymową.

– Czekam... – zaczął i zmusił się do uprzejmego powstania, choć nogi pod nim drżały – ...na Agnieszkę.

– Jjja ci poczekam! – eksplodowała kobieta. Poczzerwieniała jeszcze bardziej, porwała stojącą obok składaną sztalugę plenerową – trzy drewniane kołki z metalowymi kolcami – i ruszyła z nią do ataku, jakby rzuciła się z bagnetem na brzuch wroga.

Ignacy uskoczył jak torreador i przewrócił metalową lampę. Padła z hukiem.

Napastniczka runęła za nim, wymachując orężem, ale ostatecznie tylko grzmotnęła go tymi kijami w łopatkę, mocno a boleśnie, po czym znów je wzniosła, lecz tu się zachwiała, źle wycelowała i z rozmachu strąciła z półki duży słoć, pełen różanych płatków.

W tym momencie wyskoczyła panicznie z łazienki mokra i przerażona Agnieszka, owinięta jedynie dużym ręcznikiem kąpielowym. Myślała, że Ignacy stłukł dzban Tekli.

– Mamo?! – powiedziała, nie rozumiejąc, o co chodzi, gdyż akurat w tym momencie pogoń ustała. Ignacy opadł bez sił na pierwsze lepsze krzesło, bo nogi pod nim się trzęsły.

– Aaa! – Kobieta spojrzała na córkę ze zgrozą. – Aaa!

– Mamo, ach, to ty. Myślałam, że jesteś nad Rusałką – mitygująco powiedziała Aga, ale jej matka odebrała to zdanie najzupełniej niewłaściwie.

– Wwwwidzę! – wyrzekła posuwicie, mierząc ją oskarżycielskim wzrokiem. – Jjjuż ja ci dam rrusałkę! – I ruszyła ze sztalugą w stronę córki.

Ignacy skoczył przez pokój i zasłonił Agnieszkę własną gołą, bohaterską piersią.

– O, nie, nie, nie. Nie. Proszę raczej mnie uderzyć – zaproponował pojednawczo. Po czym, jakby to był konieczny warunek ewentualnej egzekucji, przedstawił się z lekkim ukłonem: – Ignacy Grzegorz Stryba. Nie złodziej, nie satyr. Kolega z gimnazjum.

– Zzzwariował? – zastanowiła się na głos kobieta i łypnęła białkami.

– Nie, nie, jestem najzupełniej normalny – pospieszył z zapewnieniem Ignaś. – Przeważnie. Proszę się uspokoić. Nic złego się nie dzieje.

– To zzzależy... – wycedziła, przechylając głowę i lokując na nim swe spojrzenie, jakby sobie ustawiała ostrość – ...od punktu wwwidzenia. – I odrzuciwszy oręż, z rozmachu wymierzyła Ignacemu cios w szczękę, tak mocny, że aż mu głowa zadzwoniła i poleciała w bok.

– Mamo!!! – krzyknęła Agnieszka i wybuchnęła płaczem.

– Wwynoś się!

Wskazano mu drzwi gestem imperatywnym, a zszokowany Ignacy, wychowany pośród silnych indywidualności kobiecych i nawykły do posłuszeństwa, od razu wyszedł, z dłonią na obolałym policzku.

Znalazłszy się na pustej, na szczęście, ulicy, przystanął i stwierdził, że krwawi mu warga. W uszach mu nadal dzwoniło. W ustach miał słony smak. Cały się trząsł ze wzburzenia i miał lekki zawrót głowy. Czuł się ohydnie. Żeby ochłonać, oparł się gołymi plecami o drzwi i usłyszał przez nie ciąg dalszy wielkiej awantury.

– Znów piłaś! – wołała w głębi domku Agnieszka, płacząc. – Mamo, mammo, coś ty zrobiła! Obraziłaś go! Uderzyłaś!

– Nnnależy mu się!

– Nieprawda! Nieprawda!

– Nnnie wierz mu!

– Dlaczego?! To tylko kolega!

– Nie kłammmi tu! Mmmamoczy i wwwidzzzę! – wypowiedziała się w wysokiej tonacji matka, dodając równie głośno i równie niewyraźnie, że też kiedyś niestety była młoda. W tym momencie nadjechał pociąg towarowy i w znacznym stopniu zagłuszył fonię, więc do Ignasia dotarły tylko fragmenty nieprzerwanej, nieskładnej tyrady, pełnej ciężkich oskarżeń i grubych wyrazów potępienia. Wiedział, że nie powinien tego słuchać, Agnieszka nie chciałaby tego. Lecz zarazem – rzecz dziwna – włączyła mu się odpowiedzialność: miał pewność, że nie może tak biednej dziewczyny zostawić. Słyszał jej płacz i krótkie, urywane zdania. Tłumaczyła się i tłumaczyła, ale nagle tyrada zamarła, gdzieś w budynku trzasnęły drzwi i wszystko ucichło.

Ignacy wszedł natychmiast.

Na palcach.

Aga stała w swoim pokoju, jedną ręką zakrywała oczy, a drugą przytrzymywała rącznik.

– To ja – powiedział cicho i obejrzał się z trwogą za siebie, po czym zamknął drzwi. – Nie płacz.

Ale ona płakała, cicho i beznadziejnie.

– No, już przestań, co? – rzekł, usiłując zajrzeć jej w twarz. – Ja dostałem prawym sierpowym, a nie płacząc.

– Ale to nie twoja mama! – wyszlochała.

Na szczęście – pomyślał Ignacy, ale tego nie powiedział. Przez jego duszę przemknęła wizja ciepłego uśmiechu pośród piegów. Miał też takie ulotne wrażenie, jakby dłoń matki dotknęła krzepiąco jego ramienia i – jak zwykle – zaraz się dyskretnie wycofała.

To mu jakoś dodało otuchy.

– Jak się zaraz nie uspokoisz, to też zacznę płakać – oznajmił półżartem. – Już jestem bliski łez. Umyj twarz, ubierz się, weź wazon... to jest, dzban, i pójdziemy do mnie, i z tego całego świata spróbujemy naprawić przynajmniej ucho. Bogacz z Sołacza czeka, spragniony symetrii.

Okazało się, że tym razem obrał dobrą strategię. Agnieszka przestała szlochać. Spojrzała na niego mokrymi oczami – prosto w oczy. Usta jej zadrżały. Potem, nadal bez słowa, poszła umyć twarz zimną wodą i wróciła ubrana w świeżą białą sukienkę. Bez słowa podała mu jego koszulkę, wzięła swoją torebkę. W końcu dobyte z szuflady tubkę kleju, wręczyła ją Ignacemu, a sama złapała za karton.

Ignacy, również bez słowa, dokonał niezbędnej zamiany.

Zamknęła i zasłoniła okno. Wyszli po cichu, mijając drzwi pracowni, za którymi teraz słyhać było jakieś łomoty.

I zatrzasnęli za sobą drzwi, po czym Agnieszka przekręciła klucz.

14.

Zmorzony nagle przez Morfeusza w trakcie błogiej lektury, dziadek Borejko spał samotnie i słodko, nawet nieświadom tego, że słońce się przesunęło i że teraz przedwieczorny już upał wlewa się do pokoju przez otwarte okno, przesłonięte dzikim winem. Cicho szumiął elektryczny wiatraczek, lekko falowała zasłona, a na piersi seniora rodu łagodnie się unosił i opadał Seneka w oryginale, prowizorycznie założony plastikową łyżeczką do leków. (Ignacy Borejko lubił wiernie powracać do ukochanych a sprawdzonych lektur).

Po przeciwnej stronie korytarza, w obszernej, wygodnej kuchni Patrycji, było odrobinę chłodniej: okno wychodziło na północ, przesłonięte było wielką kępą olch i leszczyn, a w dodatku pracowały tu aż dwa wentylatory.

Przy długim stole (był prawie tak duży i wygodny jak ten stary, przy Roosevelta, a rozmawiało się przy nim równie dobrze!) siedziały trzy kobiety z książkami, pijąc przestudzoną herbatę ze świeżej mięty. Dwie siostry (najmłodsza oraz najstarsza z czterech) chwilowo nie czytały, tylko gawędziły sobie leniwie – obie jasnowłose, obie pogodne, jedna pełna i pulchna, druga szczupła i wysportowana. Ich matka – drobna okularnica z. rozwianą siwą fryzurą – pilnie czytała, wspierając książkę na cukiernicze, a podbródek na zwiniętej dłoni; zdawała się nieobecna duchem, co oczywiście było tylko pozorem. Wszystko słyszała.

Na kolację będzie coś z Ellery'ego Queena – zapowiedziała właśnie Gabriela.

Skrzydełko czy nóżka? – dowcipnie spytała Patrycja, słusznie zwana Pulpecją. Ona miała przed sobą Pannę z mokrą głową, która od lat była jej ratunkiem w dni upalne.

Nie nóżka, nie skrzydełko, nie comberek, całkiem coś innego – Gabriela popukała znacząco w swoją książkę. – Znalazłam to tutaj.

Patrycja od czasów dzieciństwa nie ufała zdolnościom kulinarnym najstarszej siostry, a natomiast bardzo doceniała swoje.

– Uważaj, bo nawet to ci przywrze do patelni. Zawsze ci wszystko przywiera.

– Tego się nie smaży, to jest sałatka – czysto literacka. Ale najzupełniej prawdziwa. Rozkoszna niespodzianka dla uważnych czytelników. Przepadam za takimi figielkami ukrytymi w książkach, a Ellery jest w tym dobry.

– Ten Ellery stał się twoją obsesją – mruknęła Milla Borejko, nie przerywając pilnej lektury.

– Obsesją? Jeszcze nie, ale może już jestem blisko. To klasyka, potęga w historii powieści kryminalnej, mistrzostwo świata. Nie tłumaczono go u nas, poza jedną powieścią. Muszę, tak jak postanowiłam, przeczytać w oryginale wszystkie jego książki...

– Ja też bym chciała wypełnić swój plan czytelniczy, a czasu przed sobą mam znacznie mniej – zauważyła na stronie mama Borejko.

– ...jego książki – to znaczy i c li książki – ciągnęła Gabrysia z zapalem. – Kuzynów z Brooklynu. Manfred Lee i Frederick Dan – nay. Czyli Manny i Danny. Pomysły fabularne Danny'ego, który miał świetny łeb do intrygi, oblekał w słowa Manny, który był genialnym pisarzem, lecz z konieczności finansowej cały swój geniusz oddał powieści kryminalnej. A gotową książkę podpisywali tym wspólnym pseudonimem.

– Wiemy przecież wszyscy, wiemy – bąknęła mama. – Od miesiąca nie mówisz o niczym innym.

– Myślę, że to Manfred wymyślił! sobie tę sałatkę, zjadał się nią, a przepis wpakował do pisanej właśnie powieści, choć nie ma on żadnego znaczenia dla przebiegu akcji.

Widocznie miał potrzebę uszczęśliwić ludzkość tym swoim wynalazkiem. A może chciał zrobić kawał Danny'emu. Posłuchajcie, co tu kucharz dołączył do puń – czyka z tuszki...

– Do czego? – parsknęła śmiechem Pulpecja.

– No przecież mówię: do tuńczyka z puszki, tylko mi się od tego skwaru plęzyk jące... siekana cebula, zielona papryka, seler, mnóstwo majonezu, sok z połowy cytryny, świeżo zmielony pieprz i szczypta soli, kleks sosu Worcester, pół łyżeczki ostrej musztardy, szczypta oregano i sproszkowany tymianek.

– Puńczyk na taki upał? – zwał się Pulpecja. – Zanurzony w mnóstwie majonezu i cebuli? To się nie sprawdzi.

– Cha, cha, już się sprawdziło. Zajrzyj do tej swojej wielkiej lodówki.

Pani domu zajrzała do tej swojej wielkiej lodówki. Było tam jak zwykle mnóstwo pyszności oraz barwnych frykasów i bujnych zapasów, bowiem Pulpa prowadziła dom otwarty, gości miała właściwie stale i żyła się w artystycznej twórczości kulinarnej. Sałatka z niepozorną szarawą paćką posypaną listkami oregano i tymianku nie wzbudziła jej entuzjazmu.

Gabrysia podała jej nieco tej paćki na kanapce z chleba żytniego (jak nakazywał Manny), posmarowanego grubo masłem. Sałatka była zimna, chrupiąca i miała znakomity, wyrazisty, skomplikowany smak.

– Pyszna – zdziwiła się Patrycja.

A widzisz! Troszkę zmieniłam. Dodałam zioła świeże, a nie suszone, i wrzuciłam kosteczki ogórka konserwowego, bo nie ma papryki. I pasuje, jeszcze jak.

– Gabuniu, zanotuj mi przepis, ja go sobie wcielę do receptariusza. To jest segregator i mam w nim wzorowy porządek, moja droga, nie tak, jak ty w tym twoim obszarpanym zeszytku. Jak ją nazwiesz? Lubię mieć wszystko ponazywane.

– „Sałatka Manfreda Lee”?

– Nie masz dowodu, że sam ją wymyślił. Może stworzyła ją żona? – wysunęła przypuszczenie Pulpecja. – Żony, choć niepracujące zawodowo, zajmujące się kuchnią, dziećmi, gospodarstwem, finansami, sadem, końmi...

– Manfred nie miał koni.

– Tu nie chodzi o konie... takie żony mają częstokroć mnóstwo inwencji, nawet kulinarnej. Spójrz na mnie i na mój repertuar.

– Manfredowa niech się schowa – przyznała Gabriela. – Dobrze, więc może The Origin of Evil – to jest tytuł tej powieści.

– A idźże!

– To może „Sałatka Priama”?

– Priama? A to dlaczego, co król Priam ma do sałatki?

– Nie król, tylko Mr. Roger Priam, sparaliżowany milioner. To on został otruty tą sałatką. Morderca zwyczajnie dodał do niej arseniku.

– Tfu, to już lepiej sama ją nazwę. „Sałatka Moleslaw”!

– Coleslaw chyba. Ale taka już jest.

– Moleslaw. Takiej jeszcze nie ma. Moleslaw to nick z internetu. Dziewczyna, która lubi moje przepisy kulinarne.

– Dobrze, już ci piszę – powiedziała Gabriela, sięgając po długopis i kartkę. Wtem uniosła głowę, jakby ktoś ją zawołał i znieruchomiała.

– Co? – zdziwiła się Pulpa.

– Nie, nic.

– Nie wiesz, ile dać arseniku? – mruknęła mama Borejko znad książki i zakreśliła coś w tekście ołówkiem.

– Nagle pomyślałam o Ignasiu. Dlaczego się nie odzywa?

– Bo dojechał do Magdusi? – odpowiedziała Patrycja filuternie.

– Chciałabym wiedzieć, czy wszystko w porządku – wyznała Gabriela.

– No, nie! Za gorąco jest, żeby tego znów słuchała! – Matka karcąco spojrzała na nią znad okularów. – To nie jest chłopak, który narozrabia, ledwie spuścisz go z oka. Zresztą na

korektę już i tak za późno. Co włożyłaś do tej skarbonki, to tam jest, i właśnie ten kapitał zostanie w razie czego uruchomiony. Teraz to jest dojrzały organizm z wąsami i musi sobie radzić sam.

– Wiemy, wiemy – zapewniła ją Pulpecja. – Tyle razy to mówiłaś, mamuś.

– Chyba nie dość – odrzekła Mila Borejko nieco cierpko. Twoja siostra już jest babcią, a wciąż ma lęki młodej matki.

– Nie jest jeszcze pewne, czy on poradzi sobie w życiu... – nie poddawała się niemłoda matka Ignacego.

– To się nauczy, zaadaptuje. Nie jest, dzięki Bogu, ograniczony, a wręcz przeciwnie.

– Jest tylko dobry.

– To dobrze.

– Łatwowierny...

– To się zawiedzie. Wielkie mecyje.

– Tak naprawdę – wyznała Gabriela – zawsze obawiam się nie tyle jakiegoś wypadku...

– A skąd – wtrąciła Pulpecja – wypadków to ty się obawiasz przede wszystkim.

Zwłaszcza krwawych.

– ...tylko właśnie tego, że zaufa, a zostanie oszukany, zdradzony albo skrzywdzony.

Kto wie, czy nie właśnie przez Magdusię...

To się da przeżyć, prawda? Ty swoje przeżyłaś.

– Ano, tak – przyznała Gabriela spokojnie. – I chciałabym, żeby tego uniknąć.

– Może on też powinien tego doświadczyć.

– Bo każdy musi? – spytała Gabriela i w tej właśnie chwili przybył na kolację głodny Szymon Rojek, poważny trzynastolatek o szarych oczach swego ojca i rudej czuprynie swojej matki, i powiedział dość głośno, że też by się napił herbaty miętowej. Miał ze sobą swój tablet, a w uszach słuchawki. Babcia kazała mu je wyjąć, dodając, że icst to warunek konieczny, jeśli zamierza przy stole komunikować się z rodziną jak człowiek cywilizowany.

Wydawała się dzisiaj nieco rozdrażniona.

– Skończyłem trzydziesty siódmy odcinek – obwieścił Szymon już ciszej, gdyż posłusznie wyjął słuchawki. – McKlocek na wakacjach. Dobrałem idealny podkład muzyczny. W finale następuje karambol na autostradzie i podkreśliłem to takim ostrym rockiem. Pokazać?

– Może później... – odpowiedziały wszystkie trzy kobiety naraz, a Gabriela dodała:

– Właśnie rozmawialiśmy.

– Tak? – zdziwił się szczerze Szymon. – A o czym?

– O puńcyku – rzekła Patrycja.

– A!

– O życiu – powiedziała Babi.

– A. Trochę banalne.

– Zapewne – przyznała. – Ja właśnie tłumaczyłam, że błędy i pomyłki, jakie w życiu popełniamy, są ważną częścią naszego doświadczenia. To może nie jest odkrywca myśl...

– Nie rzekł Szymon.

– Co masz na myśli?

– Że to nie jest odkrywca myśl.

– Może nie musi być odkrywca, skoro jest słuszna – odpaliła babcia. Popatrz, Thomas Merton, sławny pisarz, mędrzec, zakonnik, mistrz kontemplacji, też wyklada to w raczej zwyczajnych słowach: „Człowiek, który umie na dobre obracać swoje porażki, jest większy niż ten, co na złe używa swego powodzenia”.

– Czy ja tego nie wiem? – zdziwiła się Patrycja. – Przecież osobiście nam to wpajałaś, i to lata temu.

– Bo już lata temu czytałam Mertona. Teraz sobie tylko przypominam.

– Wpajałaś nawet wtedy, kiedy jeszcze go nie czytałaś. Ja myślę, że i bez Mertona wie to nawet analfabeta, w nawet najbardziej zapadłym kącie.

– Która popełniła błąd – dodał współczująco Szymon. – W tym zapadłym kącie – wyjaśnił.

– Zawsze dobrze jest czytać coś a propos – oświadczyła babcia Borejko.

– Babi, czy to możliwe, że wszystko, co czytamy, jest a propos? – chciał wiedzieć Szymon. – Często mi się to zdarza.

– A mnie się to zdarza więcej niż często. Proszę: córka się zamartwia, a ja mam gotową odpowiedź z ust autorytetu.

– Sama jesteś autorytet – powiedziała Gabriela. – Nie żartuję pogłaskała rękę matki. – A zamartwiam się, bo... chciałabym po prostu, żeby był szczęśliwy.

– A co to właściwie znaczy?

– Żeby nie cierpiał.

– Ależ zawsze jakoś cierpimy. Ty chcesz tylko jednego: żeby on umiał kochać – niesamolubnie.

– O, on potrafi.

– To o resztę możesz być całkowicie spokojna ucieła Melania Borejko. – Chłopak, który umie kochać niesamolubnie, to jest, że tak powiem, towar rozchwytywany na rynku matrymonialnym. A teraz obejrzyjmy sobie wszyscy filmik Szymona.

– Super! – ożywił się jej wnuk. – Ale bądź szczerą. Babi, jak zawsze.

– Nie omieszkam.

– Kiedyś się złościłem, jak robiłaś te swoje uwagi. Ale potem zobaczyłem, że masz rację. Na ogół.

– Czyli jesteś już twórcą, który umie dobrze przyjmować krytykę! – uznała babcia.

– Tak? A co to znaczy: dobrze przyjmować krytykę? Robić tak, jak ty chcesz?

– A skąd. Dobrze przyjmować krytykę to znaczy: nie złościć się. I oczywiście nadal spokojnie robić swoje. Tak jak ty chcesz.

– Aha.

– Jeśli w tej krytyce się nie mylę, będziesz to wiedział. Jeśli się mylę – tym bardziej będziesz wiedział. Jeśli krytyka jest życzliwa i szczerą, weź ją pod rozwagę, może w czymś się przyda. Jeśli jest głupia lub wroga, gwizdź na nią. W każdym zaś wypadku rób tak, jak uważasz. Bo to jest twoje dzieło i nikt poza tobą nie ma nic do gadania.

– OK. To uwaga, włączam.

– Włączaj. Ale potem już poproszę o spokój, żadnych tabletek, żadnych tuńczyków, a już zwłaszcza żadnego majonezu, bo wracam do Mertona.

15.

Grzegorz przyjechał z Józką akurat na siódmą, tak jak Gabriela prosiła, i ucieszyła się, widząc, w jak doskonałej są komitywie.

Rozmawiali jeszcze przez pewien czas, kiedy samochód Floriana stał już przed gankiem. Wreszcie wysiedli, jeszcze gadali (ściśle mówiąc, to Grześ gadał, a Józek uważnie słuchał) i, ramię w ramię, przyjaźnie ruszyli do domu. Dopiero na ganku Józek się opamiętał i zawrócił, żeby odprowadzić samochód wuja do garażu.

Grzegorz był uśmiechnięty, ale blady i zmęczony. Szybko podeszła i objęła go mocno.

Pocałował ją i uściskał. I tak długo ją przytulał, że musiała go wreszcie wyprowadzić z tego ganku, zwłaszcza że od strony lasu nadchodziły właśnie trzy wykąpane Rojki pod czarnym parasolem. Czas był na kolację! Dziadek obudził się już pół godziny temu, wziął letnią kąpiel i przybył do kuchni, szukając żony. A ponieważ ją znalazł, już nie wychodził, tylko usiadł omdlewająco za stołem i wykrzyknął:

– Wody!

*Tak wołał nasz bohater, kochającej żony
pocałunku nie przyjął i nieletnich dzieci,
tylko wzrok utkwiał w ziemię, pomny, natchniony
światłem idących stuleci – dorzucił i spojrzął wyczekująco,⁶
a kochająca żona odgadła jak zwykle natychmiast:*

– Horacy.

Zapachniało świeżo posiekanym szczypiorkiem: Patrycja nakrywała już do kolacji. Szczękały talerze. Przez szeroko otwarte okno napływał ledwie wyczuwalny pierwszy wieczorny chłód. Poruszyły się liście drzew przed oknem. Psy się ożywiły i zaczęły poszczekiwać w okolicy stajni. Z głębi podwórza nadciągnął zmęczony pracą Florek i wszedł pod prysznic, wołając, że marzy o lodach.

Gabriela sięgnęła do lodówki po sałatkę z puńczyka – i w tym momencie zadzwonił jej telefon. Ignas!

Porwała komórkę z kredensu.

– Dojechałeś szczęśliwie? – spytała natychmiast, choć przecież, skoro dzwonił, odpowiedź była oczywista.

Ale on odrzekł tonem nieco rozkojarzonym:

– Eee... nie, nie dojechałem, nie. Jestem w domu.

Czułam! – pomyślała Gabriela. I zapytała oczywiście:

– Coś się stało?

Ignas nie odpowiedział od razu, dopiero po namyśle, jakby musiał dobrze wyważyć odpowiedź:

– W zasadzie tak. Ale nie będę się w to zagłębiał. Nie przejmuj się.

I cóż Magdusia? – spytała Gabriela po chwili milczenia.

– Nie mówmy o tym – głos mu drgnął.

– Dobrze.

– Ale, mam, dzwonię w innej sprawie. W autobusie spotkałem koleżankę. To jest Agnieszka Żyra, pamiętasz ją?

– Agnieszka Żyra – powtórzyła Gabriela. – Tak, pamiętam. – I rzeczywiście zaraz ujrzała w pamięci wysoką, wiotką i niezręczną nastolatkę o garbatym nosku i bardzo jasnych oczach, wpadającą na perkusję i tłukącą napotkane filiżanki. Widziała ją kiedyś na baliku szkolnym. Zdaje się, że Ignas miał do niej słabość. Siedziałeś z nią w jednej ławce, prawda?

– Tak.

– Taka spokojna dziewczynka.

– Jest na pierwszym roku ASP, wyobraź sobie. Pięknie maluje dodał żarliwie. – Byłem u niej i widziałem. Więc jest tak, mam: ona jest teraz u nas w domu, a ja wyszedłem po zakupy, bo nic nie ma do jedzenia. Nie chciałem, żeby słyszała, więc teraz dzwonię, z ulicy. Chodzi o to, czy ona mogłaby ewentualnie u nas przenocować?

– A... dlaczego?

– Miała awanturę w domu, i to bardzo grubego kalibru – rzekł Ignas z wielkim przejęciem. – Przypadkiem w to wdepnąłem. Teraz musimy razem załatwić pewną ważną sprawę. A potem jeszcze jej nie mówiłem, ale wiesz... to jest osoba bardzo delikatna, ona zemdłała. ona nie powinna dziś tam wracać. Ani może nawet jutro. Więc pomyślałem, że zapytam ciebie. Tata jest tam u was?

– Właśnie przyjechał. Z Józkiem.

– Aha. To dobrze. To czy mógłbym ją zainstalować w waszym pokoju? Mój tapczan jest za twardy, a zresztą tu wszędzie jest ten zapach kaloryfera, no i w ogóle jest raczej nieprzytulnie, z tym gruzem et cetera. Nawet nie wiem, czyby się dobrze czuła w moim

⁶Pieśni, przełożył Ludwik Hieronim Morstin

pokoju, u niej w pracowni jest zupełnie inaczej. Malowniczo. A ona jest bardzo zdenerwowana, płacze i tak dalej. Więc najlepiej będzie jej u was.

– Tak sądzisz? – powiedziała słabo Gabriela.

– Nie masz nic przeciwko temu? – upewnił się Ignasz.

Gabriela zastanowiła się głęboko – przede wszystkim nad tym, czy w ogóle może mieć cokolwiek przeciwko decyzjom dorosłego syna; następnie nad tym, co właściwie czuje i dlaczego to są uczucia tak mieszane; a potem nad tym, co ma powiedzieć; wreszcie wspomniała teorię o skarbonce i ostatecznie odrzekła ze zwięzłością godną matki Grakchów:

– Nie mam.

– Dzięki – rzekł Ignasz z ożywieniem. – Wiedziałem, ale wolałem zapytać. Swoją drogą, muszę coś zrobić z tym moim pokojem. Strasznie jest bezosobowy, jak biuro, taki oschły jakiś.

– Ale to chyba nie dziś? Słuchaj, czysta pościel jest w szafce. A tę naszą wrzucić może do pralki?

– Nie ma wody. Ale późno wieczorem mają włączyć, sąsiadka mówiła.

– To przez jakiś czas będzie brązowa. Nie wrzucaj.

– Mamo?

– Co takiego?

– Dobrze, że nie pijesz. Wręcz świetnie, mamo. Moje uznanie. Nie masz pojęcia, co alkohol robi z kobietą w średnim wieku. Co za degradacja!

– Doprawdy!

– Tak. Naprawdę mi się z tobą udało. Dobrze wybrałem!

Gabriela parsknęła oczywiście śmiechem, powiedziała mu, że jak wybierał, to ona nie była jeszcze w aż. tak średnim wieku, i tak się skończyła ta rozmowa, bowiem Ignasz doszedł właśnie do sklepu 24 h, gdzie zamierzał zrobić porządne zakupy na dwa do trzech dni.

16.

Kiedy Ignacy wrócił, a minęło zaledwie pół godziny, zobaczył ze zdumieniem, że Agnieszka bynajmniej nie płacze, a już zwłaszcza nie mdleje. Przebrana w kuchenny kitelek babci, uwijała się w łazience: za pomocą wałka osadzonego na wysięgniku pomalowała już wszystkie ściany na zielono – starannie i dokładnie.

– Wyjątkowo ładny, świeży odcień – powiedziała. – Mocny, odważny. Jak młode liście winogron. Ktoś tu ma oko.

– Tata – wyjaśnił Ignasz.

– Nie będzie chyba miał za złe, że pomalowałam za niego? Ja naprawdę porządnie maluję, sam zobacz. Zresztą, to było zupełnie łatwe, już wszystko jest oklejone taśmą, więc nawet nie musiałam wchodzić na drabinę. Farby ledwie starczyło, ale dałam radę. Za grzejnikiem, gdzie nie widać, zostawiłam biały kolor.

– Jak wróci, to się zdziwi.

– A może nie powinnam się do tego brać? Właściwie, mogłam przynajmniej zapytać. Ale wiesz...

– Wiem.

– Tak – powiedziała Agnieszka, przyglądając mu się z namysłem. – Wiem, że wiesz. Nie ma jak praca.

– Na stres.

– Na wszystko. No i chciałam też coś zrobić dla ciebie. Jakoś podziękować. Bo ja wiem? – przeprosić. Tak, muszę cię porządnie przeprosić. Za mamę.

– Nie ma potrzeby. Nie przeprasza się za kogoś. Zresztą, ja rozumiem i nie mam... w zasadzie... żalu. Źle coś zrozumiała.

– Właśnie, zupełnie źle. Prawda?

– Nie była sobą – pocieszająco rzekł Ignas i bardzo się zdziwił odpowiedzią Agnieszki.

– Była – odparła markotnie.

Ignacy odstawił torby z zakupami (bo do tej pory tego zrobić nie zdołał i właśnie zaczęły go boleć ręce w stawach barkowych), po czym usiadł przy dużym kuchennym stole, na swoim ulubionym miejscu. Spojrzał uważnie na Agę, która właśnie z największą starannością myła ręce.

– To właśnie takie sceny miałaś na myśli, mówiąc o krótkich atakach furii?

– Uhm – odparła, kryjąc przed nim twarz i bezlitośnie szorując palce szczotką. – Ostatnio się zdarzają. I w końcu to właśnie ty musiałeś oberwać...

– Nie martw się tym. Twoja mama nie spodziewała się w domu nikogo, weszła i nabrała podejrzeń.

– Jak jej to w ogóle mogło przyjść do głowy? – zastanawiała się Aga. – To znaczy, oczywiście, były przesłanki. Ale fałszywe.

– Cóż, nie wszystkie – uściślił Ignacy. – Naprawdę byłaś goła, a ja, w pewnym sensie, co najmniej podejrzany.

– Jak to? — Podniosła głowę i teraz patrzyła na niego niedowierzająco.

– Półnagi jak młody Adonis leżałem na twoim tapczanie.

– Naprawdę?

– Niestety tak. Spoczywałem wdzięcznie na biodrze, w klasycznej pozie amorka, z podgiętymi nóżkami. Zupełnie niechcący. Jak oglądałem z bliska ten obrazek, to klęczałem, a kiedy twoja mama nadciągnęła, to tak się wystraszyłem, że padłem jak mucha. Na lewy boczek.

Agnieszka wyprostowała się, oczy jej się rozszerzyły – i nagle wybuchnęła śmiechem, a Ignacy natychmiast jej zawtórował, głównie z radości, że przestała się martwić. I tak się śmiali jak wariaci, jak dawniej, jak zawsze – aż im łzy pociekły z oczu i zabolowały ich brzuchy.

To też była bardzo dobra terapia i Aga skończyła już ze złym nastrojem, w każdym razie przynajmniej na czas kolacji. Pomogła Ignacemu rozładować torby, po czym zrobiła wspaniałe kolorowe kanapki z żółtym serem, papryką i ogórkiem i zjedli je z wielkim smakiem, zagryzając pachnącymi pomidorami. Następnie zagraли w dubeltowego scrabble'a i Ignas oczywiście wygrał. Był bowiem scrabble'owym potworem.

A potem zobaczyli, że dochodzi ósma, i dopiero wtedy przypomnieli sobie o uchu.

– Co za niedopatrzenie! – rzekł Ignacy. – Nawet klej błyskawiczny potrzebuje trochę czasu. Wszystko bowiem jest inne, niż się wydaje. Dzwonimy szybko do bogacza, powiemy, że przyjdziemy za dwie godziny, jak się ochłodzi.

Dość długo nikt nie odbierał telefonu, wreszcie odezwał się roześmiany głos męski. W tle słychać było muzykę, dzwonienie szkła, gwar i brzękanie sztućców.

– Dobry wieczór – powiedziała Agnieszka. – Ja w sprawie tego dzbana z pracowni „Tekla w Nekli”. Przepraszam, że dopiero teraz. Byliśmy u państwa wcześniej, ale nikogo nie zastaliśmy.

Zdziwiła się, bo głos nagle umilkł.

Spojrzała na Ignasia. Uniósł brwi, po czym przysunął głowę do telefonu.

Sekundę – powiedział rozmówca innym tonem, cicho i sekretnie. – Za momencik.

Gwar w tle ucichł, jakby ktoś odgrodził się od niego drzwiami.

– Już jestem – odezwał się znowu. – Tak, wiem, to ja zamawiałem drugi dzban... no więc... naprawdę nie ma z tym pośpiechu.

– Jak to? – zdziwiła się Aga. – Mówiono nam, że koniecznie na dziś wieczorem...

– Nie, nie, to nie musi być dzisiaj. Absolutnie nie musi. Zupełnie nie musi. Może być jutro.

Ignacy podskoczył i wzniósł w górę triumfalne kciuki.

– Jest pan pewien? – Aga nie dowierzała.
– Tak, tak, spokojnie. Ten dzban miał być prezentem, do kompletu, ale, no cóż... mamy już właśnie gości, nic się nie stanie, jak przyniesiecie go jutro. Albo najlepiej – w poniedziałek. Tak. w poniedziałek. Ale po południu.

Ignacy odsunął się i pokiwał głową.

– Dobrze, w poniedziałek – powtórzyła Aga, a zakończywszy rozmowę, przechyliła głowę w bok i powiedziała do Ignasia: – To jest jakieś dziwne.

– Ale dla nas korzystne. Bierzmy się za ucho. Jeszcze nie wiemy, czy się nam powiedzie.

– Jak się powiedzie, to zadzwonię do Tekli. Niech się nie denerwuje.

Wysprzątała stół kuchenny i zabrali się do dzieła.

– Patrz – powiedziała Aga, ostrożnie stawiając dzban pośrodku blatu. Chyba w pośpiechu źle je Tekla docisnęła przed wsadzeniem do pieca. A może był jakiś błąd w wyważeniu. Dobrze, że jest całe. Odpadło tak łatwo, że nic poza tym się nie uszkodziło. I powierzchnia tych plamek bez szkliwa jest równa. Powinno się udać, nie będzie nawet śladu po sklejeniu.

Posmarowała klejem minutowym obie plamki, a zaraz potem – oba końce pięknego ucha, po czym przyłożyła je do dzbana. Poleciała Ignasiowi, by przez chwilę je przyciskał. Sama musiała czym prędzej wytrzeć palce, bo też jej się posmarowały i istniała obawa, że zaraz się skleją na dobre z dzbanem albo że będzie miała płetwy zamiast dłoni. Ignas zauważył, że to byłoby nawet praktyczne, a Aga dodała, że praktyczne to by było dopiero wtedy, gdyby się zatroszczyła także o palce stóp, i znów się śmiali, przy czym Ignas półgębkiem, żeby się nie trząść i nie obruszyć sklejenia.

– Moja mama mówi, że możesz spać w ich pokoju – powiedział, wciąż z ręką wspartą na łokciu, dociskając ucho do dzbana. – Dzwoniłem do niej, jest na wsi. Więc gdybyś nie chciała wracać do domu, zostań sobie. Będzie ci wygodnie. Pokój rodziców jest trochę na uboczu, ma osobne wejście z korytarza.

– Już chyba puść to ucho – zdecydowała Agnieszka.

Puścił.

– Trzyma się! – rzekł, ucieszony.

– A pewnie. Zobacz! – Nic nie widać, że skleione.

– A słyszałaś, co mówiłem o spaniu?

– A tak. Dziękuję. Ale gdybym nie chciała wracać do mamy, mogę pojechać z powrotem do Nekli.

– Autobusem? Żebyś znowu zemdląła? Beze mnie? A poza tym nie warto ci wyjeżdżać. W poniedziałek trzeba odnieść dzban.

– Racja. Wobec tego wrócę do mamy. Wiesz, ja raczej nie sypiam poza domem. Chyba że u siostry.

– Uhm. A nie będzie kolejnej awantury?

– Nie martw się tym.

– Martwię się tym.

– Ona mi nie zrobi krzywdy, nigdy. Przecież to mama.

– Wiesz... alkohol zmienia ludzi. A dzisiaj może być szczególnie. bo dzisiaj zostałaś przyłapaną sam na sam z młodym Adonisem! – co rzekłszy, ujął się dumnie pod boki i zrobił, jak mu się zdawało, minę greckiego posągu.

Agnieszka spojrzała na młodego Adonisa kpiąco, ale tak przy tym mile, że aż się uśmiechnęła.

W tejże chwili – dziwna koincydencja! – zadzwoniła jego komórka. Na wyświetlaczu ukazał się numer Magdusi.

Ignacy natychmiast pobierał w okolicy ust, a następnie się zaczerwienił. poczynając od uszu. Wstał, usiadł i zaraz znów wstał, wciąż wpatrując się w wyświetlacz.

– Przepraszam na chwilę – powiedział nieszczęśliwym głosem, po czym wyszedł z kuchni na korytarz, a z niego do pokoju po prawej. Zamknął za sobą drzwi.

Aga siedziała bez ruchu.

Wrócił niebawem, blady, patrząc nadal w komórkę. Właśnie ją wyłączał.

Czy to tylko złudzenie, czy naprawdę miał łzy w oczach? W każdym razie były bardzo błyszczące.

Żeby go nie zawstydzić, wzięła swój telefon, podeszła do okna i patrząc na ulicę Roosevelta (w połowie zacienioną, a w połowie tonącą w bocznym, niskim, złotym – brzoskwińowym świetle zachodu), zadzwoniła do Tekli. Długo jej opowiadała o decyzji klienta, a kiedy się wreszcie odwróciła, Ignas był już opanowany, siedział przy stole i z zainteresowaniem zaglądał do wnętrza dzban.

– Czy wiesz, że tu jest w środku napisane „Tekla w Nekli”? Na denku. Jak ona to robi? Maluje literki od góry takim długim, długim pędzlem? A może najpierw robi denko, pisze na nim i dopiero potem dokleja resztę?

– Ależ skąd. No popatrz, nawet nie wiedziałam, że tam jest jakiś napis – to mówią. Aga podeszła i pochyliła się nad dużym stołem, żeby to sprawdzić, a Ignas, jak zawsze uczynny, przysunął jej bliżej dzban.

I właśnie wtedy ucho odpadło.

17.

Tym razem miało pecha: padając, pękło w poprzek na dwie nierówne części i Aga się po prostu załamała.

– To już koniec – ogłosiła. – Pękło zygzakiem. Tego się nie da skleić bez śladu. Tekla mnie pozre żywcem.

– Poddajesz się? – chciał wiedzieć Ignacy.

– Tak.

– To teraz moja kolej.

I zadzwonił do Józefa.

Nie od razu. To nie była łatwa decyzja. Mieszkając pod jednym dachem i widując się po kilka razy dziennie, dwaj antagoniści nie mieli w zasadzie potrzeby kontaktowania się przez telefon. Ignacy nie zdobył nawet doświadczenia w takich zaocznych rozmowach z kuzynem. Poza tym musiał się najpierw zastanowić, jakich słów użyć, by rudzielec zbyt szybko nie zrozumiał, że ktoś tu się odwołuje do niego jak do ostatniej deski ratunku. Na pewno by triumfował. Z drugiej strony, gdyby mu powiedzieć, że w tarapaty popadł nie 011, Ignacy Grzegorz Stryba (miągwa et cetera), tylko mdlejąca kobieta w potrzebie, można by chyba liczyć na drobny rezonans elementu rycerskiego w osobowości kuzyna. Oczywiście, nie będzie to łatwa rozmowa – zdał sobie sprawę Ignas. Będzie musiał użyć całej dyplomacji, jaką obdarzyła go natura.

Nabrał tchu i tym sposobem uruchomił w sobie posiadaną zdolność dyplomatyczną. Dobrze! Tylko stopniowo, stopniowo. Zwłaszcza że Agnieszka słucha.

Wybrał kontakt: „Józef”.

Sygnał. Tylko jeden i już.

– Co widzę? – odezwał się w telefonie drwiący głos kuzyna. Jakiś wypadek?

– Tak – musiał przyznać zbity z pantałyku Ignacy, natychmiast gubiąc wątek przygotowanego expose.

– Na szosie? – padło niewinne pytanie.

Ignacemu krew uderzyła do głowy. Agnieszka spojrzała na niego ze zdziwieniem, bo aż stęknął.

– Poleż sobie – polecił rudy. – Zjem tylko kolację i przyjadę.
 Ignacy ze świstem wypuścił powietrze, czując się jak samowar z Tuły.
 – Jestem w domu! Milcz i słuchaj! – powiedział tonem grobowym.
 O dziwo, kuzyn zamilkł, a potem nagle spytał nieco niespokojnym głosem:
 – Stało się coś?
 – Gdzie masz ten dobry klej do ceramiki? – zażądał odpowiedzi Ignacy Grzegorz Stryba, definitywnie porzucając dyplomatyczny protokół.
 – He? – zdumiał się Józek.
 – Ten w dwóch fiolkach, co to się go miesza i dopiero można go sobie smarować.
 – A co sobie chcesz smarować? – ubawił się kuzyn.
 – A co ci do tego? Ceramikę, ot, choćby i muszlę klozetową – odpowiedział Ignacy swobodnie, puszczając oko do Agnieszki i ujmując się nonszalancko pod bok. – To musi być ten mocny, najmocniejszy klej, zapomniałem nazwy, jakaś chemiczna, no ten, co śmierdzi myszą.
 – Koniecznie myszą? Może lepiej wyszoruj? – rzucił pomysł
 – Józek.
 – Co mam wyszorować?
 – Muszlę. Straci pierwotny zapach.
 – Nie osuwaj się przypadkiem w koprołalię⁷, tu przecież nie chodzi o muszlę, muszla była żartobliwym przykładem...
 – Ach, żartobliwym.
 – Tak jest... mającym podkreślić moją potrzebę...
 – Potrzebę?
 – ...sklejenia czegoś naprawdę ważnego, naprawdę mocno.
 – To co sobie w końcu będziesz sklejał?
 – Chcesz w kubek? – Ignacy zdecydował się na użycie broni przeciwnika. – Mów szybko, gdzie trzymasz klej, bo ja tu nie mam czasu. Sytuacja jest poważna, ktoś ma kłopoty. Kobieta.
 – Aha – mruknął Józef, pokonany. – No, dobra. W tej szafce nad komputerem, środkowa półka, blaszane pudełko po herbacie. Tylko mi nie narób bałaganu.
 Poszli tam zaraz. Klucze od mieszkania Pałysów wisiały zawsze w babcinej szafce kuchennej, bo – jak wyjaśnił Ignacy Agnieszce – poza sezonem letnim wszystko tu wyglądało inaczej, nie było tak pusto. W obu mieszkaniach – w suterenie i na wysokim parterze kamienicy życie kłębiło się zazwyczaj i roiło, rodzina żyła w symbiozie, wspomagając się wzajemnie, pilnując na zmianę dziatwy, pomagając seniorom, wymieniając się posiłkami, zakupami, usługami, lekami, ciuchami et cetera.
 Teraz mieszkanie Pałysów było ciche i zdawało się dziwnie zaniedbane. Po prostu – zbyt długo nie było tu ciotki Idy z jej zamięłowaniem do aseptyki i higienicznej perfekcji. Biblioteka pokrywała się kurzem. W korytarzu leżały stare dętki od Józkowego roweru wyścigowego, jak też klucze francuskie i olejarki. W żółto – pomarańczowej, zwykle tak czystej kuchni zlew pełen był różnorodnych kubków po kawie i pojedynczych talerzyków ze śladami musztardy o różnym stopniu zaschnięcia. Dawał się wyraźnie odczuć brak kobiecej twardej ręki. Wujek Marek nie miał czasu sprzątać.
 W pokoju Józka za to był porządek, oczywiście swoisty. Wszystko tu było na swoim miejscu, tak żeby w każdej chwili można po to sięgnąć. Pudełka, puszki, słoiki i słoiczki zawierały gwoździe, śrubki i mutry, klucze imbusy i wkrety, a na planszy z dziurkami wisiały pięknie wyeksponowane narzędzia. W szafce nad komputerem był podobny, funkcjonalny ład. Za to na podłodze leżały w kłębach spodnie i skarpetki, jakieś wydruki, gazeta, buty,

⁷Koprolalia (od greckiego słowa kópros kał) obsesyjne, niepohamowane używanie wyrazów sprośnych, wulgarnie nieprzyzwoitych (Władysław Kopaliński, Słownik wyrazów obcych)

niekoniecznie od pary, oraz, nie wiadomo dlaczego przy tej pogodzie, zimowy skafander z kapturem.

Ignacy, który w swoim pokoju zachowywał pedantyczny ład i porządek, nawet przez chwilę pozazdrościł kuzynowi tej swobody, ale też zdał sobie natychmiast sprawę, że on sam nie mógłby tak żyć. Cmoknął z dezaprobatą i mruknął z przyganą:

– Ech, rudy, rudy.

A Agnieszka na to:

– Nie cmokaj, przecież go kochasz.

A Ignacy aż zamarł ze zdziwienia, wydobywając upragniony klej z puszki po herbacie, bo zdał sobie sprawę, że ona ma rację.

18.

– Ja tam pojedę i też zobaczę – zapowiedział mąż Pulpecji, Florek. Zwalisty, sympatyczny i opalony na kolor miedzi, z czołem białym począwszy od linii, gdzie przy pracy osłaniała je czapka, wysłuchał wspólnego sprawozdania Grzegorza i Józka. – Komisji możecie się nie doczekać, a naprawy tym bardziej. Na pewno wam powiedzą, że nie mają pieniędzy. Jeżeli tylko belki stropowe są zdrowe i całe...

– Są – rzekł Józek, jedząc ze smakiem sałatkę z puńczyka.

– Kiedyś ludzie umieli budować! Przecież ta kamienica ma ponad sto lat – i się trzyma. A trzymałaby się jeszcze lepiej, gdyby o nią dbano jak należy. No, to dobrze. Trzeba tylko sprawdzić u sąsiadów z góry, czy na przykład nie zalewają wam sufitu. Jeśli nie i jeśli cała katastrofa jest z winy tych zewnętrznych wstrząsów, to poczekamy. Kiedyś muszą skończyć tę Kaponierę. Wtedy wkroczymy, zamurujemy, zagipsujemy i sprawa załatwiona. Nie ma co biadolić.

– Lubię mieć zięciów! – wypowiedział się entuzjastycznie dziadek Borejko.

– Tak, tato, jesteśmy pożyteczni – zgodził się z nim Florian. – Co nie każdemu i nie od razu rzuca się w oczy. Najpierw się nam okazuje najdalej posuniętą nieufność, serwuje się nam czarną polewkę, bije się nas butelką po głowie, ale z upływem lat nasze zalety przemagają słuszną ojcowską troskę i zaczynają lśnić jak, nie przymierzając, brylanty.

– Mój drogi, kajałem się za ten śmigus – dyngus ze sto razy, już mi odpuść.

– Żartowałem, tato. Wiem, że tata mnie kocha.

– Żebyś tylko jeszcze nie czytywał horrorów.

– Tatku, daj mu spokój – wtrąciła Pulpecja, podając ojcu półmisek pachnący szczypiorkiem. – Lepiej niech czyta Kinga i rozładowuje swoje mordercze instynkty, niżby miał się, taki nierozładowany, rzucać na teścia z butelką.

– Jak perfidnie to ujęłaś, moje dziecko.

– Spróbuj pomidorów, pyszności. Nasze własne.

– A lody dziś jakie będą? – spytał dziadek Borejko z żywą ciekawością.

Dowiedział się, że wiśniowe, i z zadowoleniem poświęcił żwawą uwagę sałatce Molesław.

W kuchni smacznie pachniało, na stole było obficie i kolorowo i nareszcie lekki przeciąg przepędzał gorące powietrze. Rodzina siedziała, jadła, cieszyła się sobą, patrzyła sobie w oczy, żartowała, cytowała, przekomarzała się i sporadycznie odbierała telefony.

Najpierw – Józek, do którego zadzwonił Ignacy. Rudy się zdziwił. przeprosił i skwapliwie odebrał, po czym, o dziwo, wstał od stołu, porzucając jedzenie, i poszedł sobie rozmawiać na korytarz. Po niedługim czasie wrócił przyjemnie rozbawiony, z sytą miną osoby, która właśnie powiedziała coś bardzo dowcipnego.

Potem przyszła kolej na Gabriele, która, wzbogacając pomidory bazylią i oliwą, z zapałem rozmawiała z mężem o Ignasiu.

– ...on mówi, że ona miała w domu dużą awanturę i zemdlą. Biedna dziewczynka, podobno płacze i boi się wracać... – relacjonowała właśnie mężowi najnowsze wydarzenia, gdy na kredensie odezwała się jej komórka.

Dzwoniła Laura!

– Tygrysek?! – zakrzyknęła uradowana Gabrysia. – Już wróciliście? Naprawdę? Jutro? Do nas?

– Na obiad! – zawołała Patrycja, machając rękami. Koniecznie!

– Pulpa mówi, że na obiad. Pulpa, oni nie chcą na obiad.

– Dlaczego?! – obraziła się Patrycja.

– Przyjadą po obiedzie na lody cioci, aha, brak apetytu, aha powtórzyła Gabrysia, co słyszała. – Dobrze. Ale powiedz, co się stało, że wróciliście prędzej? Nic? Coś? Ojej. Tak? Powiesz mi? Aha. Ale nic złego, prawda? Dobrze, to cieszę się na was i do jutra.

Jeszcze nie skończyła rozmawiać, gdy zadzwonił telefon w kieszeni Szymona.

Chłopiec spojrzął, powstał od stołu i wypadł na dwór, zamykając za sobą drzwi. Mimo tych środków ostrożności doskonale słychać było jego słowa, albowiem stanął pod otwartym oknem.

– Hejka, Aśka – rozległo się niegłośnie przywitanie, a Jędrus zrobił wielkie oczy. – No, na wsi jestem, u ciotki. No, nudy. No, gorąco. U ciebie też? No. No. No.

– Niebogaty ma ten słowniczek – zauważył dziadek na stronie. – Oj, niebogaty.

Natalia prychnęła, dotknięta w swej dumie polonistki.

– Mylisz się, tatusiu. Chyba wszyscy potwierdzą, że nasi chłopcy mówią pięknie, mają bogate słownictwo i szeroki zasób pojęć. W szkole też zbierają za to pochwały.

– Zbieramy! Oj, zbieramy – potwierdził Jędrus, też poniekąd urażony.

– Komentowałem tylko tę jego wypowiedź do telefonu – bronił się dziadek.

– To mimikra – wyjaśniła Natalia.

– Mimikra?! –

– Jak u kameleona? – chciał wiedzieć Jędrus.

– Szymek usiłuje się wtopić w otoczenie.

– O, bogowie! – rzekł dziadek i przewrócił oczami. – Ależ nie w każde warto, doprawdy.

– No – mówił właśnie Szymon głosem celowo pogrubionym, przechadzając się pod oknem. – No nie mów. No. No. No.

– Chłopak ma ciężko, tato, trzeba sobie z tego zdać sprawę – wtrącił się w obronie syna Robert, dotąd milczący, gdy tylko zobaczył minę teścia.

– Ale zamierzacie przecież wychować go na inteligenta, prawda? Cóż z niego będzie za inteligent, jeśli nie potrafi zachować własnej twarzy? Jeśli nie potrafi mówić własnym głosem?

– Mam dykteryjkę na ten temat – wtrącił Florian. – Mieliśmy wiosną gościa.

Przyjechał obejrzyć konie, co się wiąże z faktem, że pochodzi z historycznego rodu, ale mniejsza z tym. Bardzo skromny, mądry, koło pięćdziesiątki, facet z klasą. Wykłada na uniwersytecie, no, już nie powiem, na którym. Pięknie i ciekawie mówi. Przegadaliśmy sporo czasu i przyznam, że mi zaimponował. I kiedyś z czystej ciekawości zajrzałem na stronę jego wydziału, żeby zobaczyć opinie studentów. I co? – wyrażna, powszechna niechęć. Przyznają, owszem, że uczy świetnie, ocenia sprawiedliwie, pomaga jak może. Ale ma wadę, której nie da się wytrzymać: jest „zbyt ugrzeczniejszy”. On nawet sobie nie zaklnie! A tym samym jest jakiś dziwny, obcy. Czują się przy nim nieswojo.

– A cóż za smutna obserwacja, Florianie – rzekł dziadek. – Poświadczam oto, że kiedy ja byłem uczniem i studentem, podziwialiśmy lepszych od siebie, obieraliśmy sobie mistrzów i staraliśmy się naśladować zarówno ich maniery, jak i sposób rozumowania. O kimś, kto

ustawiał sobie wektor w stronę przeciwną, mawiało się, że popadł w złe towarzystwo lub że zszedł na złą drogę. I to on mógł się liczyć z dezaprobatą otoczenia – uwierzycie? Tak było.

W tym punkcie perory dziadka powrócił do kuchni Szymon z miną całkowicie obojętną i nic nie mówiąc, jakby zdolność konwersacyjna musiała mu dopiero odrosnąć po krótkim kontakcie z rodziną, zasiadł przy stole, koncentrując się chwilowo na pomidorach.

– Ciekaw jestem, bo mi to umknęło – prawil dziadek – w którym momencie dziejów sytuacja się tak generalnie odwróciła. Przypisuję to wzrostowi masy tych, którzy uparcie schodzili na złą drogę. Schodzili, schodzili, coraz ich było więcej i oto niepostrzeżenie szala się przechyliła w drugą stronę. Teraz ci, którzy są na dobrej drodze, muszą się liczyć z falą potępienia, muszą się tłumaczyć, dlaczego jeszcze na niej trwają, przeszkadzając swym przykładem tym, którzy chcieliby swobodnie staczać się w dół.

– Staczanie się jest łatwe, a do tego stało się modne – zauważył Florian. – Kto się nie stacza, ten uchodzi za hipokrytę. A to znaczy w efekcie, że ludzie, którzy nie mogą sobie poradzić ze sobą, piętnują tych, którzy sobie poradzili.

– A zauważcie – wtrącił się Robrojek – jak media pilnie pracują nad tym, by ludzie uwierzyli, że dobrze jest być głupim, aroganckim, wulgarnym i niewykształconym. I ludzie wierzą, bo wtedy jest się po prostu kimś przeciętnym, a więc żyje się bezpiecznie.

– Ja nie chcę tak żyć – oznajmił Szymon.

– Przecież wiem, synu.

– Czasem tylko muszę trochę poudawać.

– A właściwie – wtrącił się Jędrus a propos – co to jest za Aśka?!

– No właśnie! – dorzuciła Patrycja.

Ale Szymon tylko wzruszył ramionami.

– Eee tam – dał najkrótszą recenzję.

19.

Misternie poskładane, klejone żmudnie przez czas dłuższy, zrekonstruowane udatnie ucho tkwiło nareszcie na właściwym miejscu i promieniowało urodą oraz niewzruszoną pewnością. Miejsca sklejenia były absolutnie niewidoczne, który to efekt osiągnięto dopiero za trzecim podejściem.

– Rzeczywiście, śmierdzi myszą.

– Mówiłem. Ale klej – jak cement!

– Ten zapach nas zdradzi.

– Wiem, co zrobimy! zakrzyknął Ignacy. – Stanę blisko dzbana i odpowiednim wyrazem twarzy będę sugerował, że to jest mój zapach.

– Odpowiednim, czyli jakim? – śmiała się Aga.

Ignacy pokazał, jaki wyraz twarzy ma mysz, która sugeruje, że to jest jej zapach.

– Powinieneś stale tak wyglądać! – orzekła, chichocząc, Agnieszka. – Ale udawać nie musisz. Ty naprawdę pachniesz myszą.

Ignacy, który dotąd był w szampańskim humorze, bowiem czuł, że jest dobrym kolegą niewzruszająco zabawnym, swobodnym, dowcipnym i interesującym, a w dodatku użytecznym, teraz zaniepokoił się i zaczął obwąchiwać swoje ręce.

– Chyba szybko muszę się umyć. Na szczęście jest już woda.

– Nie wodą przecież, nie wodą, bo cały skamieniejesz. Mam w domu rozpuszczalnik. Odprowadź mnie, to ci jeszcze rozkleję te nieszczęsne paluszki.

– Jak to?

– Muszę już wracać.

– Agnieszka.

– Muszę. Już późno.

– To nie jest dobry pomysł. Przynajmniej najpierw zadzwoń i zobacz, jaka tam jest atmosfera. Inaczej cię nie odprowadzę za żadne skarby świata. Nie lubię, jak mnie biją. – Specjalnie użył tego silnego argumentu, by ją nakłonić do zastanowienia.

– No, dobrze, niech ci będzie – uległa.

I zadzwoniła.

– Mamo? To ja – powiedziała po dłuższym oczekiwaniu i odruchowo spojrzała w bok, jakby kępowała ją obecność kogoś, kto się przysłuchuje.

Ignacy taktownie ją opuścił i poszedł do łazienki, gdzie pod nieregularnym strumieniem brązowej wody szorował sobie palce pumeksem i szorował, i szorował, aż stał skamieniały klej wraz z naskórkiem. Trochę to trwało, bo — żeby się nie nudzić przy znużającym zajęciu oraz nie zwracać uwagi na fundamentalną obrzydliwość tej wody – zaczął sobie w myśli anagramować słowo „Myszeidos” (odymisz, odmiesz, semiozy, między, odysei, deizmy...). Wreszcie wytarł ręce i powrócił do kuchni, gdzie dla pewności raz jeszcze opłukał dłonie nad zlewem, tym razem czystą wodą mineralną z butelki.

Spojrzał w końcu na Agnieszkę i znalazł ją dziwnie zmienioną: bardzo czerwona na twarzy, z oczami pełnymi łez, z zagryzionymi ustami, z rękami zaciśniętymi na telefonie, siedziała całkowicie nieruchomo i wpatrywała się w nieokreśloną przestrzeń przed sobą. Albo może w lodówkę.

Od razu wiedział, że coś się stało. Ale chyba bał się zapytać, bo coś mu mówiło, że może nastąpić wybuch. Kobiety, ech! jakże są przepełnione emocjami!

Usiadł więc spokojnie przy stole, naprzeciwko niej, zaplótł czyste dłonie i postarał się wmanewrować swą życzliwie koleżeńską twarz w jej pole widzenia, co po jakimś czasie przyniosło skutek: zauważyła go.

Uśmiechnął się, uniósł na krótko brwi i nadal nic nie mówił, bo spodziewał się, że ona wkrótce przerwie milczenie. I rzeczywiście.

– „Poszłaś z nim, to możesz nie wracać – zacytowała drżącym głosem. – Nie pokazuj mi się na oczy”.

I nagle zakryła twarz łokciem, płacząc żałośnie jak małe dziecko.

Ignacy tak osłupiał, słysząc te nieprawdopodobne cytaty, że musiała minąć dłuższa chwila, by zdolny był jakoś zareagować. Jednakże... Co się robi, kiedy dziewczyna tak płacze?

– Nie płacz – powiedział.

Nie, to zupełnie nie pomagało. Przeciwnie. Zapłakała jeszcze żałośniej i jeszcze gwałtowniej.

Im dłużej on siedział bez ruchu, tym bardziej ona płakała. Gdy tylko dotarła do niego ta prosta zależność, powstał i usiadł na ławie obok Agnieszki. Objął ją i zaczął pocieszająco, rytmicznie poklepywać jej szczupłe ramię swą dłonią dobrego kolegi.

W porywie kolejnego szlochu odwróciła się i padła mu czołem na mostek, gdzie pozostała, wstrząsana płaczem, przez dłuższą chwilę, lejąc strumienie łez na jego koszulkę.

Ignacy niezmiennie, wiernie poklepywał.

Ona nagle przestała płakać; wyprostowała się i rzekła oficjalnie:

– Przepraszam.

Wstała i poszła do łazienki, gdzie odkręciła kurek nad umywalką, co dało się poznać po kilku hydraulicznych, dogłębnych bulgotach, który to dźwięk, jak się już Ignacy przekonał, poprzedzał wystrzelenie z kranu serii nieapetycznych, brunatnych strzyknień. Przypominało mu to dojenie chorej krowy. O ile w ogóle mógł sobie wyobrazić taki proceder. Ohyda.

Pospieszył do lodówki, wydobyl półtoralitrową butlę mineralnej (została już tylko ta gazowana) i cicho zapukawszy jej zakrętką w drzwi, dostarczył ją Agnieszce.

To był dobry pomysł. Po kwadransie wychynęła z łazienki uspokojona, orzeźwiona, ubrana w czarny szlafrok mamy, i spokojnie oświadczyła, że oszczędnie gospodarując zasobami, zdołała się tą wodą gazowaną umyć po kawałku – cała, z wyjątkiem zębów, bo przecież nie ma ze sobą szczoteczki.

– Chyba, że ty masz jakąś w zapasie – dodała pytająco.

Ignacy miał.

– Mamy wielkie zapasy takich utensyliów – zapewnił, ruszając żwawo do szatki w łazience. – Tu ciągle ktoś niespodziewanie nocuje.

Podał jej opakowanie z nową szczoteczką i nową butelkę wody mineralnej.

– Jeśli podtrzymujesz zaproszenie – usłyszał w odpowiedzi – to ja tu jednak zostanę do jutra.

Skinął głową i powiedział, żeby chwilę zaczekała. I podczas gdy ona zajadłe i długo szorowała swoje nieskazitelne zęby, pomknął do pokoju rodziców, otworzył szeroko okno, wpuszczając wieczorne powietrze (niestety, gorące), zmienił pościel i ułożył na kołdrze nową koszulę mamy, znaną szczęśliwie w bieliźniarce.

– Wszystko gotowe! – oznajmił krzepiąco, wkraczając do kuchni, gdzie Agnieszka, ciasno owinięta szlafrokiem i wyprostowana, siedziała znów przy stole, z twarzą czystą i jakby ściągniętą, z turkusowymi oczami, z czarnymi włosami szesany z białego czoła, z czerwonym kitelkiem przerzuconym, jak muleta, przez ramię i ze szczoteczką sterczącą z dłoni jak sztylet pikadora. Wyglądała odrobinę groźnie.

– Bardzo dziękuję — powiedziała z rezerwą. – Mam nadzieję, że to nie jest wielki kłopot.

– Ależ skąd – odrzekł uprzejmie i raczej z daleka. – Żaden, jak już mówiłem. Chodźmy.

Wyszli na korytarz, gdzie Ignacy uznał za stosowne pokazać jej swój pokój, balkonowy. Uchylił do niego drzwi (nieznacznie) i zapewnił:

– Ja będę spał tutaj.

A potem, minawszy pokój dziadków, zaprowadził ją długim korytarzem ku wyjściu. Po prawej, w dołączonym do mieszkania byłym pokoju sąsiadki, mieszkali jego rodzice.

Już się ściemniało, więc zapalił światło i miłe wewnątrz uśmiechnęło się do nich wszystkim książkami, obrazami, rzeźbami, kolorowymi poduszkami i tkaninami.

– Jak tu ładnie! – zawołała Agnieszka. A Ignacy irracjonalnie się ucieszył.

Było jeszcze wcześniej, dochodziła dopiero dziesiąta, więc pomyślał, że Agnieszka zechce poczytać przed spaniem. Z tą myślą oprowadził ją pokrótce po wielkiej bibliotece rodziców, pokazując zwłaszcza dział z ulubionymi powieściami mamy. Zamknął okno dla bezpieczeństwa, a następnie otworzył szeroko oba lufciki, a kiedy się odwrócił, zobaczył, że Aga wybrała Krystynę córkę Lavransa, tom pierwszy, i że stoi z książką w ręce, czekając, aż on wyjdzie.

– Dobranoc. Spij spokojnie – powiedział więc – i niczym się nie martw. Jak mówią w baśniach: noc przynosi dobrą radę. Coś w tym musi być. Baśnie są bowiem mądrością narodów, że użyję tej powszechnie znanej formuły. Dobranoc.

– Dobranoc i dziękuję – odrzekła poważnie, bez uśmiechu.

– Dobranoc... – rzekł, ociągając się w progu.

– Dobranoc.

Ignacy powiedział jeszcze raz „dobranoc”, no bo co miał powiedzieć, cicho zamknął za sobą drzwi i udał się do swojego pokoju, gdzie otworzył i natychmiast zatrzasnął okno, gdyż mimo gorąca wciąż pracowano przy budowie parkingu podziemnego i choć ustała praca ciężkiego sprzętu, teraz niósł się po okolicy mechaniczny terkot i dzwonienie metalu, a powietrze miało zapach pyłu cementowego, jakiegoś gazu i rozpalonego żelaza.

Włączy! komputer i odruchowo otworzył pocztę.

A tam już czeka! na niego mail od Magdusi. (Albo od jej bliźniaczki?)
Cześć, Ignacy – pisała. – Telefon masz wyłączony, więc piszę. Jakoś mi głupio. Poczulałam, że mi Cię żal, tak jakoś niesprawiedliwie Cię potraktowałam. To znaczy, żeby nie to ostatnie wydarzenie, to nie byłoby tak jakoś głupio. Mam nadzieję, że się na mnie nie gniewasz. Przecież jakoś na pewno się jeszcze zobaczymy, no nie?

Napisz coś.

M.

Więc napisał coś:

Sęk w tym, Mario czy Magdaleno,

Że nie wiem, która z Was to pisze.

Ale wiesz co, Mario lub Magdaleno?

Już mnie to wcale nie obchodzi.

Pozdrawiam Was obie – bez żalu, Mario, Magdaleno

Trochę tylko Wami rozczarowany –

Ignacy Grzegorz Stryba.

Pomyślał sobie: z tego mógłby być wiersz.

I coś go skłoniło, żeby kliknąć w „Moje dokumenty”, gdzie przechowywał ów sonet sprzed lat (pod niezłym tytułem „Obok”) – ten, którym wzgardziła Agnieszka. Szkoda. Szkoda. To był bardzo dobry sonet, perfekcyjny formalnie, z dużym ładunkiem lirycznym... Być może najlepszy z tych, które w ogóle napisał. Jakoś nigdy nie mógł się zdobyć na to, by go wyrzucić, wręcz przeciwnie, przerobił go za jakiś czas, żeby się nie zmarnował, a adresatką utworu uczynił Magdusię. Ale potem się zawstydził i zrezygnował z tego pomysłu, i napisał dla Magdusi sonet całkiem nowy, pod tytułem „Oczy” (skądinąd słaby, sztucznie deklaracyjny, choć warsztatowo całkowicie poprawny; ciekawe, dlaczego był taki słaby?).

Ech, młodość!

Ależ był wtedy głupi!

20.

Matowy księżyc pojawił się niepostrzeżenie tuż ponad ciemnym lasem, olbrzymi i ciepłozółty, prawie rudy, na niebie fiołkowym, ale wszyscy byli tak zmordowani całodziennym upałem, że tylko Babi (która miała zwyczaj często spoglądać w niebo) zauważyła to cudo. Wyszła właśnie przed dom, żeby trochę pogawędzić z psami (bardzo ją lubiły, choć zupełnie nie słuchały jej poleceń), i stanęła jak wryta, zapatrzyła się. Było jeszcze jasno, ale już zapadał zmierzch i błogi spokój spływał na ziemię, a ogród oddawał powietrzu ciepło, wraz z aromatami ziół i kwiatów. Trajkotały świerszcze. Słysząc też było rozkoszny szum i pluskanie; słodko i świeżo pachniała zwilżana ziemia to Patrycja podlewała swoje omdlałe róże i floksy, gapiąc się przy tym nieruchomo na księżyc.

Ten wielki złoty krąg był tak piękny, że Babi aż się zawstydziła: ogląda go tak samolubnie, bez męża! Poszła po niego.

Ale on właśnie rozmawiał z Florianem na ganku; popijali zimne piwo!

Z twoim nadciśnieniem?! – chciała zawołać, zaalarmowana, lecz wobec tego bajecznego księżycy wydało jej się to niestosowne. Zresztą, w ogóle było niestosowne. Nie znosił piwa. Skoro teraz je pije, to znaczy, że chce w pełni dotrzymać towarzystwa zięciowi, którego najwyraźniej coraz bardziej lubi i szanuje. Jak to dobrze!

Ona sama doceniła Floriana – „Baltone” – od razu, już pierwszego wieczoru przed laty, w Dzień Dziecka roku dziewięćdziesiątego drugiego, kiedy to zakochana po uszy Pulpecja przyprowadziła go na Roosevelta. Córki śmiały się zawsze, że ojciec ocenia ludzi na podstawie budowy ich czoła, natomiast mama – po oczach. I właściwie miały rację, a z pewnością – jeśli chodzi o nią. Mimo woli, odruchowo, najpierw patrzyła ludziom w oczy. Przez oczy łączą się dusze. Spojrzenie mówi wszystko. A Florian miał oczy uczciwe.

Rozpoznała to natychmiast i nie bała się oddać mu Pulpecji na zawsze. I naprawdę się nie zawiodła. Oto on, solidny, pracowity, mądry człowiek o wielkim sercu; oto szczęśliwa, zapracowana i zadowolona z życia Patrycja, matka dwóch córek. Oto ich gościnny, radosny dom, pełen kwiatów, zwierząt i ludzi, dom, w którym każdy dobrze się czuje. Dom miłości.

Czy mogła przypuszczać, oceniając tamtego wieczoru szalonego dryblasa z rozwichrzonym bukietem kalin, że na starość zamieszka pod jego dachem, przygarnięta gościnnie, serdecznie i naturalnie, bez namysłu, wraz z mężem, książkami i całym majdanem? I to na długo. A może już...

– O czym myślisz, Babi? — spytał cicho ktoś z obszaru cienia pod lipą.

Odwróciła głowę i ujrzała Józinka. Ach, nie, Józefa! – wciąż w duszy używała tamtego zdrobnienia. Ale on już tego nie lubił i nawet do niego już nie pasowało, bo niepostrzeżenie, ot tak, z dnia na dzień, stał się mężczyzną. Duży, barczysty i mocny, siedział spokojnie przy ogrodowym stole i chyba się jej przyglądał od dłuższej chwili.

– Myślę o miłości – odpowiedziała bez zastanowienia.

– Jak każdy – mruknął.

– Czyżby! – Podeszła bliżej, a wnuk wstał i przysunął jej krzeselko.

– Posiedź sobie ze mną. Babi.

– Księżyc taki piękny, widziałeś?

– Tak.

– Co za wieczór! I jak pachną te lilie! A więc myślałeś o miłości?

– Pełno jej wszędzie.

– To wpływ księżycy, pamiętaj.

– Nie, nie. Zawsze jej pełno. Wszędzie. Ale dopiero teraz to widzę.

– A dlaczego dopiero teraz?

Spojrzał na nią przez zmierzch i uśmiechnął się szelmowsko.

– Przecież wiesz.

– No, wszystkiego nie wiem, mój ty wnuczku małomówny. Zauważyłam tylko, że twój niebieski wyrób znikł.

Józek aż głowę poderwał.

– Jak...?...!

– Obserwacja, wyławianie przesłanek, logika, wreszcie wnioski. A mam oko do szczegółów, he, he. Zamykanie się w szopie, wiórki, trzy pudełka, każde kolejne bliższe perfekcji, niebieskie obwódki przy pewnych paznokciach. Zaginięcie jedwabnej chusteczki dziadka. Nieudane podejścia do pakowania, pocięty papier ozdobny i wymiętoszone wstążeczki walające się po kątach. I tak dalej. Już wręczyłeś?

– Korale. Ona już je nosi.

– To coś znaczy, prawda?

– Tak! – odpowiedział krótko, ale bardzo gwałtownie, z wielką siłą.

– Dobrze! Już myślałam, że ci nigdy nie przejdzie tamto, no wiesz.

– Z Trollą – uśmiechnął się. – To było dziecinne.

– Ale prawdziwe.

– To jest dopiero prawdziwe. Teraz czekam. Na odpowiedź od niej? Jak ma na imię?

– Dorotka. Polubisz ją.

– Już ją lubię. Za to, co masz w głosie, kiedy o niej mówisz. A ona polubi ciebie. –

Zrobił przerwę i dodał zniżonym głosem: – Jak ja.

Babcia wyciągnęła rękę i pogłaskała go po szorstkiej, poczciwej, rudej łepetynie. Nic nie powiedziała, bo bała się, że głos ją zdradzi albo że jednak będzie musiała uronić te dwie łązy wzruszenia, które tak głupio, sentymentalnie, nie wiadomo skąd, przebiły się przez jej spokój, jej ironię, jej opanowanie i jej najgłębszą niechęć do egzaltacji.

I już myślała, że zdołała je powstrzymać, gdy oto na żwirku ścieżki rozległo się człapanie i Ignacy Borejko zamajaczył w niebieskawym półmroku, wołając już z daleka:
– Milu? Szukałem cię. Musisz to zobaczyć! Co za księżyc!

11 sierpnia, niedziela

1.

Przynajmniej w niedzielę rano na Jeźycach nie budowano parkingu podziemnego. Upał trwał niezmiennie, tak jakby wcale nie było nocy. Słysząc było tylko jęklive zawodzenie tramwajów i świąteczne, radosne dzwony kościołów.

Poza tym w mieszkaniu Ignasia panowała cisza. Agnieszka, która obudziła się z nagłą, jak od ukłucia, z ostrym, przykrym wspomnieniem wczorajszej awantury', od razu wiedziała, gdzie jest. ale nie miała pojęcia, która to godzina. Jakby znalazła się na jakiejś wyspie poza czasem! Ładny stary zegar nie chodził. Niczego nie można było wywnioskować z temperatury, stale bardzo wysokiej, ani też z położenia słońca: wielkie okna tego bocznego pokoju wychodziły na uliczkę pomiędzy szarymi ścianami kamienic.

Czytała do późnej nocy, bo Krystyna ją zachwyciła i porwała. Zasnęła nad książką, przy zapalonym świetle. Śnił się jej rycerz Erlend w szafirowej szacie i długim czarnym płaszczu, lecz – śmieszne! – okazało się, że miał domalowaną głowę Ignasia, taką właśnie, jaką sobie wyobraziła w parku, włącznie z różem indyjskim na ustach. Stała ta hybryda na zielonym wzgórzu i mieczem wskazywała kamienne ruiny. Dziwny sen!

Zgasiła teraz lampkę nocną i natknęła się na swój telefon. A! Dochodzi ósma.

Wciąż leżąc w tym wygodnym łóżku, rozejrzała się wokół z ciekawością i przyjemnością. Strasznie jej się tu podobało.

To był bardzo duży. pewnie i czterdziestometrowy pokój. Na wysokim suficie widniały sztukaterie, a regały z książkami ustawiono tak, że wydzielały osobny kącik do pracy – dwa biurka z dwiema lampami, dwa krzesła obrotowe i dwa komputery. W części, gdzie stało podwójne łóżko, wisiał wielki obraz, podpisany: Żeromski. Przedstawiał krajobraz wypełniony wielkim mnóstwem zboża i chociaż nie był on jakoś odkrywco ani nawet biegle namalowany, to przecież jego barwy – swobodnie kładzione ugry, brązy i żółcie oraz tu i ówdzie błysk bieli cynkowej – znakomicie współgrały z beżem jesionowych mebli, piaskowego sztruksu na kanapie, z wesołą gromadą poduszek o kolorach maków i słoneczników, a także z rudymi zasłonami na oknach.

Agnieszka wstała i z ciekawością obejrzała grupę rodzinnych fotografii, zawieszonych na ścianie, a oprawionych w żółte i pomarańczowe ramki. Ach! Mały Ignaś. Jaki uroczy. Wielkie ciemne oczy, już wtedy myślące i mądre. Tu też on, w ramionach mamy. Jaka kochająca jest jej twarz! Tu znowu ona. Przytula swoje dziecko, jej twarz jest schowana, ale widać rękę, i ta ręka jest pełna wyrazu, troskliwa, serdeczna, mocna, ale o delikatnym i uważnym dotyku. O, a tu już Ignaś w garniturze, w dłoni świadectwo, na twarzy słuszną dumą. Jaki miły...

Zebrała swoje rzeczy i wymknęła się w koszuli na długi, dzwoniący pustką korytarz, wysoki co najmniej na trzy metry. Wędrując nim aż do końca, odszukała dużą, ale przytulną kuchnię. Polubiła ją już wczoraj, od pierwszego wejrzenia. Była skromnie, lecz przemyślnie urządzona, kolorowa i pełna wdzięku. Miała zasłonki w wesołą kratkę, wysokie, pełne światła okna z czerwonymi pelargoniami i dużo ładnych fajansów, szafirowych w białe groszki, ustawionych w starym kredensie. Pośrodku stał ogromny stół na ciężkich nogach, z blatem wyszorowanym do białości i z gromadą krzesel oraz szeroką ławą pod ścianą. A nad ławą wisiała tablica z dziesiątkami przypiętych papierków, napisów, zapisków, zdjęć i pamiątek. U szczytu tego zbioru wyeksponowano poźółkły ze starości świstek z wypisanym hasłem: „Kto mlaszcze, dostanie w paszczę”. Był tu też sfatygowany i spłowiały wydruk USG, z profilem dzidziusia, a na samym wierzchu przypięto zdjęcie ślicznej panny młodej z ciemnym warkoczem, w wieńcu z białych róż. Pan młody na drugim planie – przystojny jak

lichu! – miał wydęte policzki, jakby mówił: „Ufff, nareszcie”, a zza jego ramienia wзираł bardzo zadowolony, miły chłopiec z oczami w słupek: Ignas w garniturze i krawacie, ocierający chusteczką pot z czoła.

Z okolic lodówki wchodziło się do łazienki (swoją drogą, to dziwny pomysł, ale mieszkanie najwyraźniej przebudowano), pięknie teraz zielonej. Na szczęście była już woda, hura, i to przezroczysta!

Aga wlała pod prysznic, umyła głowę, użyła znalezionej w szafce suszarki. Odkryła tam też proszek, więc wrzuciła do pralki kłęb pościeli, którą Ignas wczoraj wcisnął do kosza, oraz swoją koszulę. Nie lubiła bałaganu, ponieważ był brzydki.

A potem wróciła do kuchni i pozmywała wczorajsze talerze oraz nieco wyszczerbione, stare błękitne kubki.

Gdzie on jest? Jeszcze śpi?

Wyszła znów na korytarz, by posłuchać pod drzwiami jego pokoju. I nagle, tuż za nią, przeraźliwie zadzwonił telefon, stojący na stoliku, pośrodku pustych, rezonujących przestrzeni.

Szybko podniosła słuchawkę.

– Ignasiu, znów masz wyłączoną komórkę... – z wyrzutem rzekł natychmiast głos kobiety, zanim zdołała się odezwać.

– O, przepraszam, tu Agnieszka Żyra.

– A! Dzień dobry! – powiedział miło głos. – A tu – mama Ignacego. Co się dzieje z tym typkiem, czy aby nie wypadł przez okno lub nie zasnął w wannie?

– W wannie go nie ma – odrzekła Aga, uśmiechając się do mamy Ignacego. – To jedno wiem na pewno. Nie widziałam typka od wczoraj, ale zaraz go poszukam. Proszę pani, przy okazji – dziękuję za zgodę. Za gościnę. Bardzo mi się tu podoba.

– Ignas mówił, że zemdląłeś wczoraj, pewnie od upału. A dziś dobrze się czujesz?

– Zupełnie dobrze, dziękuję.

– A dał ci coś do jedzenia? Oprócz sałaty?

– Sałatę wyrzuciłam, bo już była brązowa.

– Dobrze zrobiłaś.

– Zjedliśmy dużo kanapek z żółtym serem. Wszystko w porządku. Zaraz go poszukam, sekundę. Może jest w swoim pokoju.

Odłożyła słuchawkę na stolik i zapukała ostrożnie do wiadomych drzwi.

Ignacy się nie odezwał, więc ostrożnie nacisnęła dużą, wygodną mosiężną klamkę i zajrzała przez szparę.

Ale biuro!

Światło dnia wpadało przez wielkie okna, przesłonięte pionowymi pasami białych żaluzji. Lampa na wielkim biurku świeciła w najlepsze. Ignacy, wciąż w stroju dziennym, spał słodko z twarzą ułożoną bokiem przed komputerem, z jedną ręką opartą na książce, a drugą – opuszczoną do ziemi.

Zamknęła cicho drzwi i wróciła do telefonu.

– Typek śpi na klawiaturze – doniosła ze śmiechem. – Chyba siedział po nocy. Zresztą ja też do późna czytałam. Było tak gorąco i taki hałas na budowie, że nie mogłam zasnąć. Czytałam pani książkę, podpisaną: Gabriela Borejko.

– Tak? – ucieszyła się mama Ignacego. – A można wiedzieć jaką?

– Krystynę córkę Lavransa.

– Coś podobnego! A dlaczego akurat Krystynę?

– Była taka apetycznie wyczytana.

– Ach! – powiedziała ze zrozumieniem pani Gabriela. – Tak, to zawsze kusi. I jak ci się spodobała?

– Strasznie mnie wciągnęła. Właściwie, skończyłabym w nocy tom pierwszy, ale w końcu zasnęłam. Chyba pójdę czytać dalej. Czy może mam typka obudzić?

– A niech sobie śpi na klawiaturze. Mogę to przecież powiedzieć i tobie. Moja siostra – Patrycja – wydaje tu dzisiaj wielki i wspaniały obiad niedzielny. I zaprasza was, i ja także zapraszam serdecznie, bo samym żółtym serem się nie najecie.

– Ja... dziękuję, ale chyba powinnam wracać do...

– Nie wracaj... – szybko rzucił głos w telefonie. I po chwili: ...skoro nie musisz. A obiad w niedzielę, na wsi, w dzień słoneczny, z lodami własnej roboty – to będzie coś wyjątkowego. Ruszajcie autobusem do Kostrzyna i stamtąd zadzwońcie, Józek po was podjedzie. Autobusem przynajmniej będzie bezpiecznie. Zawsze się tak o Ignasia niepokoję, wiem, że niepotrzebnie...

– Niepotrzebnie – przytaknęła Agnieszka. – Zdziwiłam się wczoraj, bo w szkole on był inny. Ale teraz wydorósł.

– Tak – odparła mama Ignasia i westchnęła. – Ale to nie znaczy, że nie mam czym się martwić. No, do zobaczenia. Obiad o pierwszej. Czyli niedługo trzeba będzie go obudzić, autobus macie za kwadrans dwunasta.

– Dobrze. Proszę się nie martwić, poradzimy sobie – odpowiedziała Agnieszka.

2.

– Powiedziała: my! – zameldowała Gabriela matce, odkładając komórkę do koszyka z renklodami.

– Oho – mruknęła Babi.

– Właśnie. „Proszę się nie martwić, poradzimy sobie”, powiedziała.

– Aaa! Smakowite. Być może jej to wyszło prosto z podświadomości. A znaczy: „Zostaw go już w spokoju, teraz ja się nim zajmę”. – Ma rację dziewczyna.

Siedziały obie przy stole pod lipą, w jej gęstym cieniu szukając ochłody przed porannym słońcem. Jadły lody wiśniowe, których Patrycja zrobiła ostatnio bardzo dużo i nalegała, by sięgać po nie przede wszystkim (bo ona musi mieć miejsce w zamrażarce na mrożoną dynię w kostkach). Gabriela miała na sobie tylko cienką sukienkę bez ramion i cała była jasnobrażowa w piegi, a jej krótkie włosy zbiegały od słońca jak słoma po żniwach. Babi kryła mądrą, pomarszczoną twarz pod słomkowym kapeluszem i wachlowała się złożoną gazetą, spoglądając z niesmakiem na jej krzyczące tytuły.

Przed nimi dom Florków stał w pełnym słońcu, promieniejąc bielą i spokojną prostotą, otulony w zielen i kwiaty. Wokół omdlewał w upale ogród Pulpecji, trawa wysychała, róże powieszały główki, floksy się ślaniały, i tylko słoneczniki wyglądały na w pełni zadowolone. Brzęczały pszczoły, a osy i szerszenie uwijały się przy pobliskiej śliwie renklodzie.

A może ja za dużo tych swoich poleceń jej przekazałam – Gabriela wciąż przeżywała rozmowę telefoniczną.

Zawsze ci mówię – przypomniawszy jej matka – że czas już skończyć z tą nadopiekuńczością.

Mamusi, nie jestem nadopiekuńcza. Tylko opiekuńcza.

– Ale to już też jest nie na miejscu. Chcesz, żeby twój syn znalazł własną drogę, to się wycofaj.

– Chcę, chcę! Żeby nie był już taki samotny. On, taki kochający, nie ma szczęścia, jakie to niesprawiedliwe. Mamo, mamo, popatrz, jakie to smutne. Serce mi się kraje, kiedy to widzę. A Magda znowu się nim zabawiła, mam wrażenie.

– No, kiedy tylko Ignas to zrozumie, zareaguje odpowiednio. Na pewno. Wreszcie będzie z nią spokój, i dobrze. A co tam ta Agnieszka?

Jest bardzo miła, bystra, uprzejma. Przez całą noc, powiada, czytała moją książkę.

– Co ty powiesz!

- Zgadnij którą.
- Po twojej minie sądząc, to musiał być co najmniej Ellery.
- Krystynę]
- Coś ty!?
- Żebyś wiedziała. Naszą Krystynę!
- No, no, no. To będzie miało swoje skutki. Krystyna jest potężna.
- Tak, coś ważnego w człowieku porusza. I to do głębi.
- Sumienie. No i jak to jest napisane! Co za moc! Pamiętam, jak przy pierwszej lekturze gryzłam palce z wrażenia, chciałam wołać: uważaj, dziewczyno, co ty robisz, nie idź tam!
- Albo: tylko nie oddawaj Jofridzie swoich kluczy! – dodała Gabriela. – Ale ona oddała. Jakie to było symboliczne. Popatrz, Krystyna zawsze, przy całej swojej szlachetności i naturalności, popełniała tylko takie błędy, które były tragicznie nieodwracalne.
- Niszczyły ją jako kobietę, ale ją budowały jako człowieka.
- Bezsprzecznie.
- I co, przyjadą?
- Tak.
- Kto przyjedzie? – włączył się do rozmowy Józek, który właśnie, zgrzany jak gotowana malina, wrócił na rowerze z kościoła i zahamował pod lipą. Natychmiast wypił duszkiem butelkę wody.
- Ignasz z dziewczyną. Agnieszka Żyra. Spotkał ją w autobusie.
- Pamiętam ją. Niezła.
- Pod jakim względem, ty wnuku mruku? Wypowiedz się.
- A co się będę wypowiadał.
- Chociaż słówko... – upraszała babcia.
- Nogi.
- Myślałabym, że w dziewczynie daje się też dostrzec coś innego, na przykład charakter, usposobienie... Jaka ona jest?
- Miągwa – dał spokojną diagnozę Józef Pałys, znawca charakterów. – Ale w porządku. W sam raz dla niego.

3.

Pod oknem, ulicą Roosevelta, przejechało pogotowie na sygnale.

Ignacy się obudził.

Nie słyszał sygnału, przynajmniej świadomie. Ale wciąż miał przed oczami duszy swojej to, co mu się świeżo przyśniło: mysz z wielkim uchem, wciąż i wciąż opadającym. Spocona mysz, która wydawała z siebie falujące wycie. Co za ohydny sen.

Dwadzieścia po dziesiątej. Uff, ależ był spocony. Nie mył się od wczoraj, zasnął przy pisaniu. Ubranie lepiło się do niego na całej powierzchni organizmu i piekły go otarte pumeksem palce. W pokoju było duszno, bo nie otworzył na noc okna. Czuł się wyjątkowo nieprzyjemnie – dopóki nie wspomniał, że przecież ma gościa, i to płci żeńskiej! To mu dodało wigoru. Wstał.

Pierwsze kroki skierował do kuchni, by sprawdzić, czy przypadkiem ucho nie odpadło. Ale nie, klej rudego był rzeczywiście najlepszy: wszystko w porządku, dzban tkwił niewzruszenie w centrum stołu, pysznił się barwami, śmierział myszą i wyglądał wspaniale. No, niech się wietrzy. Obok widniały na talerzu świeżo przygotowane, wielkie, apetyczne kanapki (bez masła, tak jak lubił) i pachniała bazylią na sałatce z pomidorów malinowych.

Aga pewnie już jadła, ale zrobiła śniadanie także i dla niego – jak miło! – po czym udała się zapewne do pokoju rodziców. Jak najśluszniej, pomyślał, okna kuchni wychodzą na wschód, tu jest najgoręcej.

Zamknął się cicho w łazience w celach wiadomych, umył zęby, wskoczył pod prysznic, doprowadził się do ładu i oskrobał swój skromny zarościk. Użył wody po goleniu, przywdział czyste gatki, czyste spodnie i czystą koszulkę, a wszystko w dużym tempie. Kiedy już był ładnie pachnący, uczesany i gotów do pokazania się eleganckiej kobiecie, poszedł jej szukać.

Na wprost kuchni były drzwi do pokoju dziadków. Zamknięte! Coś się za nimi poruszało. Zajrzał.

A to co?! Cały gruz został zapakowany do worków na śmieci. Schludnie powiązane na kokardki, stały teraz pośrodku czystciutkiej, zamiecionej i chyba umytej podłogi! Okna były otwarte, w powietrzu wciąż jeszcze unosiły się resztki pyłu.

– Nie mogłam na to patrzeć – wyjaśniła mu Agnieszka, która, zgrzana i potargana jak nieboskie stworzenie, uwijała się w ostatnim kącie pokoju, z mopem w dłoni. Miała na sobie zakurzony, czerwony kitelek babci (nieco kusy na jej wysokiej sylwetce), spod którego w pięknym stylu wystawały smukłe, boscie nogi. Wyglądała jak sprzątaczkę, ale taka młoda i ponętna. – Jestem, jak ci wiadomo, estetiką – dorzuciła rezolutnie. – Widok chaosu i zniszczenia, a już zwłaszcza betonowego pyłu, niesłuchanie mnie przygnębia, musiałam coś z tym zrobić. Szybko, zjedz śniadanie, trzeba się spieszyć.

– Spieszyć? A do czego? – spytał, nie nadążając za tym kalejdoskopem wrażeń.

– Dzwoniła twoja mama. Jesteśmy zaproszeni na obiad do Patrycji. Ty jedz, a ja się znów wykąpię i znów przebiorę. Autobus mamy za kwadrans dwunasta. Twoja mama prosi, żebyśmy zadzwonili, jak już będziemy w Kostrzynie, to Józek nas odbierze. Pośpiesz się!

– Ależ nie ma mowy o autobusie! – sprzeciwił się natychmiast Ignacy. – Wezmę samochód ojca, przynajmniej nie zemdlejesz. Dzwonić po Józka, też coś!

Aż się otrząsnął. Jeszcze tego mu brakowało! Co za pomysł! Pojadą tym upiornym autobusem. Aga zasłabnie, a jak tylko wysiądą w Kostrzynie, Józef Pałys będzie na miejscu, gotów do ratowania zemdlonej. Z tym swoim uśmiezkiem weźmie ją na ręce, złoży na przednim siedzeniu, a potem będzie szpanował za kierownicą i udawał rajdowca; ona będzie zachwycona, bo on będzie brał zakręty z piskiem opon i z kamienną twarzą, podczas gdy zapomniany pasażer (bo kimże innym mógłby być Ignacy w takim trio?) będzie musiał siedzieć z tyłu, także mentalnie zepchnięty na margines! A może jeszcze na szosie kostrzyńskiej przekłęty Józwa (kto wie, to do niego podobne!) zacznie głośno wspominać pewną przygodę z motorynką pozbawioną paliwa! O nie. O nie!

Szczerze mówiąc, Ignacy w ogóle nie był zachwycony takim niespodziewanym zaproszeniem na obiad. Co mamie przyszło do głowy? W tym gronie żytych żartownisiów Agnieszka może się poczuć nieswojo, jest taka delikatna. A przebywanie z rudym przy jednym stole będzie jak towarzyszenie bombie zegarowej w jej nieubłaganym tykaniu. Trzeba będzie siedzieć, gawędzić dla niepoznaki, drzeć wewnętrznie i tylko czekać, aż coś odpali.

A powiedzmy, że ni z tego, ni z owego, wpadnie rodzinie do głowy, żeby z Agnieszką zagrać w Dixit albo Carcassonne. Zwłaszcza Babi lubiła urządzać takie seanse. Obserwując sposób, w jaki uczestnicy podchodzili do rozgrywki, w jaki przyjmowali zwycięstwo lub porażkę, miała zwyczaj wysnuwać wnioski o ogólniejszym charakterze. Tak podpadła jej Magdusia: prezentowała bowiem monotematyczne skojarzenia przy grze w Dixit oraz niewinnie oszukiwała w Carcassonne, zdradzając przy tym pewną naiwną łapczywość; babcia od razu spojrzała na nią z uwagą. W drugiej z tych gier zachwycił ją kiedyś Florian, człowiek czynu: okazał wybitną umiejętność strategicznego myślenia oraz zmysł organizacyjny, grał wesoło, z energią i zapałem, pokonał wszystkich w wielkim stylu, ale potem nie chciało mu się czekać, aż podliczą jego pola, łąki, zamki, inne tam zdobycze i klasztoriki. Machnął na swoje punkty ręką i zaraz chciał znowu grać.

Ale co teraz będzie z Agnieszką? Dlaczego nagle ona, którą tak łatwo było pokonać w scrabble'a, ma być poddawana takim sprawdzianom?! A może ona w ogóle nie lubi gier, co?!

Najchętniej spóźniłby się na ten rodzinny obiad, ale nic z tego. Zanim zjadł śniadanie, Agnieszka już była gotowa – na nowo umyta wraz z głową, wysuszona, uczesana i ubrana w swoją kusą sukienkę. Wyjęła już pościel z pralki, wrzuciła do niej kitelek babci i szlafrok mamy, po czym równiutko rozwiesiła na suszarce to, co już wyprała. Na swoją elegancką, lśniącą główkę założyła ten wytworny kapelusz, wsunęła stopy w białe sandałki, na ramieniu powiesiła sobie małą czerwoną torebkę i oświadczyła, że jest gotowa.

Ignacy przyglądał się jej refleksyjnie zza stołu, wsparty na łokciu, z wolna skubiąc żółty ser.

Cóż, klamka zapadła. Ona najwyraźniej miała ochotę na ten wyjazd. Dobrze, trudno, ale nie będą się spieszyć. Po drodze jest sporo rzeczy do obejrzenia. Na przykład słynny szlak wielkopolskich kościołów drewnianych. Pojadą przez Kicin.

Wziął papiery i kluczyki od golfa z szuflady ojca. Pozamykali wszystkie okna. Po czym jednak (na wypadek, dajmy na to, włamania) zostawili przy dzbanie kartkę z przestroją: „NIE DOTYKAĆ! ŚWIEŻO SKLEJONY!”. I wyszli. Agnieszka zatrzasnęła drzwi, zamknęła je na wszystkie spusty, a klucze oddała Ignacemu.

– Tylko nie zgub – powiedziała.

– A, to lepiej ty je schowaj – rzekł nieuważnie, pochłonięty układaniem w głowie planu wyprawy (po Kicinie – Wierzenica!), i poszli na parking po samochód taty.

4.

Jechali sobie przez rozpalone miasto i towarzyszyły im kościelne dzwony. Pierwsze usłyszane po opuszczeniu mieszkania zaprosiły ich do Dominikanów, a gdy już wyszli po mszy, upał radykalnie wzrósł.

Zaczynało się robić nieźnośnie. Kwiaty mdlały. Trawniki żółkły. Fontanny ledwie ciurkały, ludność się snuła bezsilnie i nawiedzały ją myśli ponure.

W samochodzie było oczywiście znacznie goręcej niż na zewnątrz, więc pootwierali wszystkie okna i tak, w przeciagu niedającym ochłody, ruszyli odważnie w kierunku Puszczy.

Po pewnym czasie Agnieszka zdała sobie sprawę, że czuje się w tym pojeździe inaczej niż zwykle. Nie bardzo wiedziała dlaczego. Samochody nie były jej pasją, traktowała je tylko tak, jak na to zasługiwały: środki do celu, żwawe maszynki na czterech gumowych kółkach. Żadnych emocji. Nawet niespecjalnie rozróżniała ich rodzaje, marki oraz możliwości, nie mogła też dopatrzeć się w nich piękna, choć zawsze była świadoma ich różnorodnych kolorów oraz odcieni. Zrobiła w liceum prawo jazdy, jak chyba wszyscy w klasie, ale ponieważ nie miała okazji do praktyki, jej umiejętność prowadzenia auta wkrótce została zarzucona bez żalu. Zazwyczaj po prostu wsiadała i ufnie pozwalała się wieźć, nie interesując się poczynaniami kierowcy i zakładając z góry, że przecież wie on z grubsza, co ma robić, skoro zdołał uzyskać prawo jazdy.

Ale dzisiaj było inaczej. Siedząc obok Ignacego, wyczuwała płynące od niego wibracje napięcia. Przyjrzała mu się. W milczeniu, ze sztywnym karkiem, pochylony w przód, z wzrokiem to wbitym czujnie przed siebie, to znów panicznie rozlatanym na boki, młody kierowca wiódł pojazd przez miasto tak ostrożnie, jakby miał do czynienia z potężną, cudem okiełznaną bestią o kapryśnym charakterze, która w każdej chwili może się wyrwać spod kontroli, popaść w szaleństwo i z rykiem skoczyć ku najbliższej przepaści. A znów chwilami – i to było znacznie gorsze – Ignas całkowicie się odprężył i popadał w krótkie a głębokie zamyślenia, które kończyły się nagłym trąbieniem mijającego ich samochodu lub wściekłym dzwonieniem tramwaju, spod którego właśnie cudem umknęli.

Ale umykali, trzeba przyznać, skutecznie. Miał więc refleks! Hura. Jakiś. Uff.

Spojrzała na jego ręce, teraz znów kurczowo zaciśnięte na kierownicy. O, proszę, kierownica też do nich nie pasowała. Pasowało gęsie pióro i – a jakże! – miecz. Erlend, choć

taki męski, też by się denerwował, prowadząc samochód. To pewne. W gruncie rzeczy Erlend był bardzo wrażliwy, pomyślała. Jak każdy interesujący mężczyzna.

Wreszcie opuścili groźne obszary miejskie i znaleźli się na drodze pustej a prostej, wiodącej przez nizinne pola, z widokami leśnymi w oddali. Ignacy się odprężył. Dziwnie dobrze orientował się w terenie za miastem, najwyraźniej był tu już nieraz. Jechali równo a niespiesznie, osłaniany po bokach wielkimi drzewami, które dawały błogosławiony cień. Tu już – tak blisko Poznania! – zaczynała się Puszcza Zielonka. Z rzadka mijali osady i pojedyncze domy, wokół rozciągały się wielkie łąki, płowe pola i ciemne lasy. Dojechali do Kicina, gdzie Ignacy oznajmił tonem stanowczym i obiecującym zarazem, że historyczna ta osada znana jest co najmniej od roku 1316. Kościół stoi na dawnym grodzisku, które kazała wznieść królowa Jadwiga.

I już chciał skręcać ochoczo w kierunku wzgórza, na którym pośród wielkich drzew widniał czubek drewnianej wieży ze złotą kulą i krzyżem!

– Ależ nie mamy czasu! przypomniała mu Agnieszka. – Nie wypada się spóźnić na obiad proszony. Jedźmy dalej.

Na te słowa Ignacy odpowiedział niecierpliwym westchnieniem i zaznaczył, że doprawdy nic się nie stanie, jeśli się odrobinę spóźni. Przyhamował na zakręcie drogi, po czym powiadomił Agnieszkę tonem kuszącym, że dużo straci, omijając ten kościółek. Młody Jan Kochanowski – dodał ni z tego, ni z owego – w dowód uznania za swoją twórczość otrzymał od króla tytuł prepozyta. Zarządzał więc majątkiem, składającym się z klucza sześciu wsi w Wielkopolsce; Kicin był najważniejszą z nich.

– Nie wiadomo, czy poeta przyjechał tu kiedykolwiek – ciągnął Ignacy – ale z całą pewnością był w Kicinie proboszczem.

– Co ty opowiadasz?! – nie uwierzyła Agnieszka. – Kochanowski proboszczem? I to tutaj? To niemożliwe.

– A jednak, cha, cha, cha! Był wtedy klerykiem. Dopiero po dziesięciu latach zdecydował się na świecką drogę życia. Naprawdę niczego nie zmyśliłem, by cię zabawić w podróży. Gdybym chciał coś zmyślać, żeby cię zabawić w podróży, Agnieszko, to raczej nie byłyby to fakty z młodości Kochanowskiego.

– Nie? No, no. A co też byś zmyślał?

– Musiałbym pomyśleć. No więc faktem jest, że Kochanowski władał tą parafią. Nie bezpośrednio, tylko – opłacając wikariuszy. Popatrz, dzięki królowi miał za co żyć, kiedy pisał. A właśnie wtedy przekładał Psalterz Dawidów.

– Niesłychane.

– Prawda? Mam dreszcze, kiedy o tym myślę. A myślę, co byłoby z polszczyzną, gdyby Kochanowski nie miał za co żyć. Gdyby się poddał i nie pisał. Co by było, gdyby nie malował Matejko. Gdyby Wyspiański był leniuchem. Wiesz, wystarczy spojrzeć wstecz, żeby nagle zrozumieć działanie przeznaczenia. I to, że często właśnie ludzie kultury je kształtują. Sami nawet nie do końca zdając sobie z tego sprawę, że są w jakimś sensie narzędziami. Myślącymi narzędziami.

– Niezwykła historia, naprawdę. I piękne miejsce.

– Będzie jeszcze sporo takich skarbów po drodze. W całej Wielkopolsce jest ponad trzysta drewnianych zabytkowych świątyń. A każda to w dodatku i małe muzeum, i archiwum, i miejsce historyczne. Postanowiłem wszystkie zobaczyć. Poświęcę na to kolejne wakacje, może do tego czasu tata nie będzie się bał dać mi samochodu na dłużej.

– A boi się?

– Nieważne, Agnieszko. Nie zaprzataj tym sobie głowy. Spójrz raczej, jak pełny jest ten wachlarz niespodzianek, które ci zapewniam. Nawet sobie nie wyobrażasz, co cię czeka!

– Ale my chcemy zdążyć na obiad!

– Nie musisz mi tego stale przypominać.

– Tak się po prostu nie robi.

– Oj, wiele razy spóźniałem się na obiad i nie było problemu. Zawsze znalazł się jakiś ochłap i resztką zimnej zupy. Żartuję, bądź spokojna, ciotka Patrycja daje jeść dobrze i dużo.

– Tu nie chodzi przecież o to, czy starczy dla nas jedzenia, tylko o to, żeby nie okazać nieuprzejmości.

– Ależ. to tylko rodzina!

– Twoja. Ja tam będę po raz pierwszy. Pierwsze wrażenie na pierwszej wizycie, rozumiesz.

– Nie rozumiem – rzekł Ignacy, ruszając już bez żadnych napięć pustą drogą i prowadząc golfa prosto w pachnący las sosnowy. – Nie wywarłem najlepszego wrażenia podczas mojej pierwszej wizyty w twoim domu. Wywarłem możliwie najgorsze. I żyję. Tylko trochę bolą mnie plecy. Dobre wrażenie nie jest istotne w naszym przypadku, nie jesteśmy przecież parą, która szykuje się do zaręczyn, która za wszelką cenę chce zachwycić przyszłych teściów. Odpręż się. Czyja nie mogę przywieźć na obiad koleżanki bez tego, żeby się musiała starać o pierwsze wrażenie?

– Uprzejmość moja – odparła Agnieszka z uporem – jest bezinteresowna. Więc. jeśli pozwolisz, będę się starała nie spóźnić, niezależnie od tego, czy jesteśmy parą, czy nie.

– No, przecież naprawdę nie jesteśmy!

– Jesteś strasznie drobiazgowy – zwróciła mu uwagę. – Przestań się kłócić i dodaj gazu.

– Mogę dodać, a mogę nie dodać – powiedział hardo Ignacy i zwolnił. Po kwadransie dojeżdżali niespiesznie do kościoła w Wierzenicy.

– Musisz tu coś zobaczyć! – zakrzyknęła, przystając w cieniu wielkich drzew, otwierając drzwi i wyłączając silnik. – Chodź! Dosłownie na sekundę! To jest tak niezwykle... Agnieszka spojrzała na zegar w samochodzie.

– Pięć minut! – zapowiedziała surowo.

– Dobrze, odliczaj.

Wysiadł i otworzył przed nią drzwiczki. Proszę, proszę, jaki umiał być stanowczy!

– Idziemy! – zarządził. – Musisz to zobaczyć! Rzeźbiarskie dzieło Teofila Lenartowicza. Tego od Złotego kubka. Zostawię wóz otwarty, niech się wietrzy.

– Coś ty, zamknij porządnie, chcesz, żeby ci go ukradli? Tylko okien nie zamykaj. Zrobił, jak kazała. Szybko sięgnął przez okno do stacyjki i wziął kluczyki.

– Wracamy natychmiast – rzekł, zamykając wóz. – Pięć minut z zegarkiem w ręce. A raczej na ręce. A raczej z komórką. W ręce. Czy zauważyłaś, że już mało kto nosi zegarek na ręce? Uważaj. Streszczam się. Rok 1849. Poeta zostaje zmuszony do emigracji. Zaczyna zarabiać na życie we Florencji, jako rzeźbiarz... – strzelał Ignacy krótkimi komunikatami, jednocześnie wiodąc Agnieszkę ku drewnianemu kościołowi. – Uczy się od florenckich mistrzów. Zyskuje sławę. Na Zachodzie. W Polsce oczywiście nie. Filozof, hrabia August Cieszkowski – z tej właśnie Wierzenicy – zamawia u niego nagrobek. Więc on go rzeźbi, w formie drzwi – rozumiesz symbolikę? – drzwi do wieczności!... – Z tymi słowami weszli do cichego wnętrza i Ignacy zamilkł.

Dzieło Lenartowicza – dwuskrzydłowe rzeźbione drzwi odlane z brązu – znajdowało się w marmurowej oprawie nagrobka, po lewej. Ignacy doprowadził Agę aż do miejsca, gdzie, siadłszy na drewnianej ławie, można było do woli podziwiać i brązy, i marmury, i wykute w nich napisy. Znaczącym ruchem głowy oraz naprzemiennym wznoszeniem i opuszczaniem brwi zwracał jej uwagę kolejno na dwa smukłe anioły na drzwiach, na rzeźbioną bordiurę oraz na alabastrowe popiersie hrabiego powyżej, wreszcie na łacińskie cytaty: *Bonum certamen certavi, cursum consumavi et fidem servavi...*⁸

⁸"W dobrych zawodach wystąpiłem, bieg ukończyłem, wiary ustrzegłem" Święty Paweł, *List do Tymoteusza*

To już było dużo więcej niż pięć minut, ale Aga nie popędzała. Niespodziewanie ogarnął ją i przeniknął niezwykły spokój i piękno tego miejsca. I Wielka Obecność. Cisza. Kolory. Ciepłe, bursztynowe drewno otaczało ich ze wszystkich stron – niewysoki sufit z desek opierał się na łukach wyciosanych z grubych belek. Potrójny ołtarz główny i dwa boczne miały za to kolor malachitowej, chłodnej zieleni, od której jasnym blaskiem odbijały się prześlicznej roboty bogate, wijące się liście akantu, rzeźbione w drewnie i pozłacane. Pachniało miodem i woskiem. W okno obok ołtarza bił z zewnątrz słup słonecznego światła. Słysząc było stamtąd gwar ptaków i brzęczenie owadów. Szumiały drzewa.

Ignacy umilkł na długo i oparł się o ławę, wpatrując się w piękny ołtarz. Spojrzał wreszcie na Agnieszkę i lekko się uśmiechnął, a słońce obrysowało jego profil złotą kreską i podświetliło od spodu rzęsy. Na dolnej wardze miał drżącą gwiazdkę, a w ciemnej tęczę bursztynowy błysk. To byłby ładny portret – pomyślała Aga, której talent prowadził nieustanną obserwację świata całkiem niezależnie od jej woli – gdyby namalować kształt tej głowy tylko światłem. On ma świetne proporcje czaszki!

Wcale już nie było im spieszo.

I niebawem tego pożałowali.

Obejrzeni dokładnie cały kościół i po małej półgodzinie wyszli na rozprażony świat. W dziwnym zamyśleniu dotarli do samochodu, lecz wkrótce okazało się niestety, że nie mogą go odpalić. Ani rusz. Daremna to była walka: za każdą próbą uruchomienia silnika kontrolki przygaszały, a rozrusznik wydawał żalosny, słaby dźwięk w tonacji molowej. Golf stał uparcie jak osioł na pustyni.

Hm – powiedział z głębokim namysłem Ignacy Grzegorz Stryba i spróbował jeszcze raz, z tym samym skutkiem.

Aga milczała, bo to jej się wydawało najroztropniejsze. Nie zawsze trzeba się odzywać. Zwłaszcza gdy chodzi o samochody i o popełnione (przez mężczyznę) ewidentne błędy w ich eksploatacji.

Odezwał się jednak z boku ktoś inny:

– A ja tak sobie myślałam: ładna parka, zakochana, światła zostawili niezgaszone, polecili jak te zające w kapustę i nie wracają. – Głos był macierzyński, kpiący i życzliwy. – I patrzcie! Siadło. Panie młody, ale już nie duś go pan więcej, nie duś. Puść go pan. puść.

Potężna i szeroka kobieta w kapeluszu słomkowym stała nieopodal, pośród migoczącej w słońcu zieleni, niczym Demeter dzierząc pod pachą cały snop długich traw i kwiatów. Uśmiechała się z rozbawieniem i pobłażliwością, a jej policzki błyszczały jak twarde, rumiane jabłka.

– Kumulator – wyjaśniła. – Na siłę nic pan nie zrobisz. No już, puść go pan! – oj, dusi i dusi, jakbym mojego Zdziśka widziała. Na drugi raz światła niech gasi! Dalej, młoda, chodź tu do mnie, pchniemy go.

Aga posłusznie wysiadła.

– Jejuchny, dziewczusko, z ciebie to jest ale chucherko – użaliła się kobieta, odstawiając grabie. Nic ciała na sobie! I co, spieszy się wam, na zapowiedzi dawaliście?

– Nie! – zawołali równocześnie i Aga, i Ignacy, po czym spojrzeli na siebie z zakłopotaniem.

– Nie czekajcie za długo, dobrze radzę. Bo się wam jeszcze odechce. No, ho! – rup! – nie czekając nawet na pomoc chucherka, sama się przyłożyła i stęknąwszy, popchnęła golfa z górki.

Zapalił!

Stała, promieniejąc zadowoleniem i jakąś uniwersalną przychylnością, dobrotliwą pogodą ducha. Agnieszka miała nagłą ochotę rzucić się jej na szyję, przytulić się, jak do pieca, zaczerpnąć tego jej ludzkiego ciepła i nawet ucałować w te rumiane policzki. Ale takich rzeczy się przecież nie robi, zwłaszcza bez uprzedzenia.

Więc tylko pięknie podziękowała i pomknęła za cudownie przebudzonym golfem jak długonoga sarna.

5.

– Hrabia August Cieszkowski był filozofem, heglistą – roztaczał pawie pióropusze swej erudycji Ignacy Grzegorz Stryba, równocześnie oddając się żmudnemu prowadzeniu golfa. – Był też jednym z najwybitniejszych umysłów dziewiętnastego wieku. Studiował w Niemczech, wykładał na Sorbonie, powrócił do Polski, osiadł w Wierzenicy i wtedy rozpoczął najbardziej aktywny okres swojego życia. Powołał Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, a w swoim folwarku w Żabikowie utworzył szkołę rolniczą – i była to jedyna wyższa uczelnia pod zaborem pruskim. Absolutnie imponujący zakres nowoczesnego kształcenia! To jemu zawdzięczamy kulturę rolną Wielkopolski.

Agnieszka wtrąciła, że wie o tym doskonale, podobnie jak on, ze szkoły.

– A czy wiesz, że stworzył własny system filozoficzny?

Nie, tego nie wiedziała.

– Filozofia czynu. To on stworzył pojęcia „etos czynu”, „etos pracy” i „etos pracy organicznej”. Od niego to mamy. A teraz uwaga: jego filozofia miała wielki wpływ na twórczość Krasińskiego i Norwida. Zacytowałbym ci stosowne wiersze, ale wiem doskonale, że...

– Ignacy, czy mógłbyś już przestać? – przerwała Agnieszka, marszcząc lekko brwi. – Wiersze Norwida, które chciałbyś mi zacytować, ja też znam, jak sądzę. Co do poezji, której twoim zdaniem nie lubię...

– Dobrze, dobrze, nic już nie musisz mówić. Proszę. Nie musisz. Nie tłumacz się. Nawet lepiej, jak przez pewien czas nie będziemy prowadzić dialogu...

– ...ani monologować...

– ...tak, oczywiście, bo wyjeżdżam właśnie z drogi polnej na dawną piątkę i muszę teraz naprawdę uważać, bo tu jest taki odcinek, który wszystkich prowokuje do brawury, jak twierdzi mój tata. A ja nie jestem dobry w starciu czołowym z brawurą.

– Już nie prowadzę dialogu – oznajmiła Agnieszka.

W milczeniu z lekka napiętym jechali teraz równo, nie zatrzymując się ani na chwilę, w obawie przed figlami rozrusznika. Ignacy wiedział, że tylko nieprzerwana jazda pomoże „kumulatorowi” odzyskać choć część krzepy. Ale przynajmniej starał się jechać jak najwolniej. Mimo tych jego wysiłków tuż przed wpół do pierwszej dotarli do Łubowa, skąd do ciotki Patrycji było zgoła niedaleko. Zwolnił więc jeszcze bardziej na skrzyżowaniu, przy którym wznosił się wśród drzew kolejny drewniany kościół.

– Jeden z najstarszych w Wielkopolsce – nie wytrzymał Ignacy.

Powstał w XII wieku. W czasie potopu szwedzkiego został spalony, ale w 1660 go odbudowano. Masz tu więc barokową... O ludzkości, cóż widzę, idzie moja ciotka Ida! Popatrz, to ta ruda, z białą nogą!

– Już ją wczoraj widziałam!

– A tak! – odwoziła mnie. Co ona wyczynia?

Msza się właśnie skończyła i wierni zaczęli gromadnie wychodzić z kościoła. Ciotka Ida utykała za nimi, prowadząc za łokieć niezwykle grubą kobietę, zdradzającą oznaki jakiejś słabości. Z drugiej strony kuszykała o kulach wysoka, jasnowłosa dziewczyna w niebieskiej sukience i niebieskich koralach, z nogą zakutą w gips po kolano.

– A to jest Dorota! – zakrzyknął ucieszony Ignacy. – Co tu się dzieje?

Wyprowadziły ślaniającą się kobietę przed bramę ogrodu i teraz obie pomagały jej wsiąść na bryczkę, zaprzężoną w Kobyłkę. W tym właśnie momencie golf przetaczał się wolno obok tej splątanej grupy Laokoona (zawierającej dwie nogi z żylakami, dwie nogi

zdrowe i dwie nogi w białych opatrunkach, sześć rąk, dwie kule inwalidzkie oraz wzdęty koński tułów i cztery sterane odnóża), więc Ignacy spontanicznie krzyknął im przez okno:

– Cześć, dziewczyny!

Ciotka poderwała rudą, kędzierzawą głowę, lecz chyba nikogo nie rozpoznała w samochodzie, bo minę miała nierozumiejącą. Zresztą zaraz powróciła do żmudnego wpychania dużej kobiety na małą powózkę. Dorota za to nachyliła głowę i popatrzyła dłużej i najwyraźniej dostrzegła Ignacego, bo błysnęła nagłym uśmiechem i nawet pomachała mu dziarsko kulą.

Ignas już jechał dalej. Znów spięty, starając się nie rozjechać na miazgę wiernych na chwiejnych rowerach i zarazem unikając lękliwie tych, którzy odpalali motory i skutery, skierował golfa na prostą szosę kostrzyńską. Od razu za zakrętem ujrzał własnego wuja, Marka Pałysa, który ulokował właśnie babcię Andzię w przyczepce motocyklowej, a sam sadowi! się na siodełku, za krępyimi plecami motocyklisty, opalonego na kolor nieprawdopodobny. Ale rozpoznał Ignas wujka dopiero w lusterku wstecznym, więc tylko dał krótki sygnał klaksonem i posuwali się dalej, nie chcąc ryzykować postoju.

Cóż, robiło się tu gęsto. Jeszcze tylko Józefa brakowało, doprawdy.

– Dlaczego wszyscy ostatnio mają coś z nogami? – zadała Aga pytanie retoryczne.

– Nie powiedziałbym, że wszyscy. O nie.

– A co byś powiedział?

– Że niektórzy.

– Strasznie jesteś drobiazgowy.

– Już mi to mówiłaś. Ale nie jestem drobiazgowy, tylko ścisły.

– Uhm.

Pokonali już szczęśliwie, w równym tempie, spory kawał prostej szosy, kiedy Aga zaczęła nagle zadawać pytania innego typu – na temat ciotki Idy, a zwłaszcza Doroty.

– To u niej byłeś na wakacjach, prawda?

– Tak, to ta od owadów. Dorota Rumianek.

– Ma złamaną nogę?

– Bo spadła z orzecha. Niestety z mojej winy.

– Ciotka też spadła z orzecha?

– Nie, ciotka – z mostku.

– Też z twojej winy?

– Nie, wcześniej. Sama spadła.

– Bardzo ładna ta Dorota.

– Przede wszystkim bardzo mądra.

– Taak?

– A co, nie dowierzasz? Bo tak jakoś pytasz z powątpiewaniem. Jedno, czego jej brak – to zrozumienia dla poezji. Jest na nią całkowicie impregnowana. Ale poza tym – naprawdę, jest z nią o czym porozmawiać, bo jest i inteligentna, i dowcipna, i wykształcona. I bardzo życzliwa.

– Więc dużo rozmawialiście.

– O tak. Wesoło nam było.

– Chyba cię bardzo lubi, tak ci pomachała. Tak żywo, serdecznie.

– Właśnie! Aż się ucieszyłem.

– No, bo to miło – być lubianym.

– Pewnie – odparł z satysfakcją, prostodusznie i wpatrzył się z lekką zadumą w błękitny przestwór ponad szosą, starając się przy tym utrzymać równe tempo jazdy. Aga umilkła i też popadła w zamyślenie.

Niebawem zadzwoniła komórka w kieszeni na nogawce Ignacego, więc poprosił, żeby Agnieszka ją wyjęła i odebrała, bo on w tej chwili nie może. Właśnie skręcali z drogi głównej

w lasy i całkowicie go absorbowало kurczowe ściskanie kierownicy przy jednoczesnym zmienianiu biegów oraz operowaniu kierunkowskazem i pedałami.

To pewnie mama albo ciotka – odgadł. – Sprawdzają, czy żyjemy. Mieliśmy się odezwać z Kostrzyna, pamiętasz?

Aga zrobiła, co kazał, i spojrzała na wyświetlacz.

– Serduszko – odczytała. – Mam odebrać?

Telefon dzwonił i dzwonił.

– Niech sobie dzwoni – powiedział Ignacy, rumieniąc się, a zaraz potem błędąc, które to przejawy wzmożonego działania systemu krwionośnego mogły oznaczać, jak już Aga wiedziała, tylko jedno: że to Niewierna Magdusia ma u niego kryptonim Serduszko. Wciąż jeszcze.

– Nie odbierać?

– Nie. Wyłącz go całkiem, jeśli można cię prosić.

– I schować go?

– Tak, proszę.

Aga szybko wsunęła nieczynną komórkę do jego kieszeni.

– Czasem tu można spotkać sarny – rzekł Ignacy głosem nieco drewnianym. – Albo jelenia. Rozglądaj się na boki, może coś zobaczysz.

– One się nie boją, nawet samochodu, bo wujek je stale podkarmia i rozpieszcza.

Mrugał nerwowo, lecz poza tym trzymał fason.

Cóż, jeśli sarny tu były, to pewnie schowane pośród rudych pni. Ze zwierząt ukazała się im tylko wielka, bura ropucha, która tak uparcie siedziała na piaszczystej drodze, że musieli ją ostrożnie i wielkim łukiem wyminąć, wskutek czego omal nie wjechali w leszczyny.

I wreszcie – uff, uff! – wytoczyli się na płaski teren wśród łąk, objęty z trzech stron podkową lasu sosnowego. Za pięć pierwsza podjechali pod obrosnięty ganek skromnego białego domu, ocienionego drzewami. Przed domem rosły różowe i pąsowe malwy i rozciągał się trawnik z pięknymi rabatami. Pośrodku trawnika widniał otwarty namiot dwuosobowy, pod którym, w pozach znużonych birbantów, rozwalone wygodnie na dwóch śpiworach, drzemały dwa psy.

– To tu – powiedział Ignacy Grzegorz Stryba i pozwolił silnikowi zgasnąć.

6.

Gabuniu, wróciliśmy nareszcie, niby to z kościoła, z Łubowa, ale nie bezpośrednio, bo przygód po drodze było co niemiara, zaraz Ci opowiem, ale najpierw spieszę z dziwnie), lecz uspokajającą zapewne wiadomością: Ignacy jednak chyba wypadł z tego autobusu. Nie wiem, jak to zrobił, ale jest wśród nas.

Nie widziałam go na własne oczy, ale Dorotka zapewnia, że siedział w golfie z jakąś stylową dziewczyną i miał bardzo zadowoloną minę. Prawdziwa sensacja! Przypuszczać by można, że przywiózł tu McDonalduś, ale opis się nie zgadza, wypytałam Dorotę dokładnie. Dokąd jechali, nie wiadomo. Tu, u nas, ich nie było. Jeśli natomiast kierowali się ku Wam, to dlaczego, u Ucha, od tej strony, tak okrężną drogą? I dlaczego się nie zatrzymali, tylko pojechali dalej?

A w ogóle, to Cię muszę poprosić o radę, bo jestem załamana.

Zacznę od tego, że Dorota zabrała nas do kościoła bryczką (Marek był zachwycony, bo pozwoliła mu powozić!), a w ostatniej chwili dobrała jeszcze swoją malutką babcię Andzię i posadziła ją sobie na kolanie (w bryczce jest miejsce na dwie, najwyżej trzy szczupłe osoby). Babcia Wikta została w domu, gotując obiad dla nas wszystkich, ale i tak stanowiliśmy uroczą i niekonwencjonalną grupę.

Jedzie się tu do Łubowa przez piękne lasy z zielonymi polanami, czysta frajda. Minęliśmy zieloną dąbrowę, którą babcia Andzia określiła tonem poufnym jako dobre miejsce na borowiki, Kobyłka wszelako, pod dyktando naszego ulubionego ordynatora, pędziła (jak na nią) zawrotnie szybko, nie zważając na pełne obciążenie i na piski babci Andzi, i nie raczyła się zatrzymać na malutkie nawet grzybobranko. To było dosyć irytujące, ale obiecaliśmy sobie wpaść tu przy najbliższej okazji, jak tylko wreszcie popada. W pysznych humorach dotarliśmy do Łubowa dobrze przed czasem, no i tu się zaczęło.

Przed murkiem, otaczającym kościół, a naprzeciwko narożnej gospody, gromadzili się już ludzie i kiedy się zbliżaliśmy, od grona młodych osiłków stojących obok swoich (i nie swoich) motocykli oderwał się jeden z nich, to znaczy – jeden z osiłków, bo wszystkie motocykle stały w zrozumiałym bezruchu — i przejawiał ożywienie na widok naszej gromadki. Babcia Andzia aż podskoczyła na kolanach wnuczki i zawołała z radością: – Patrz, Dorotka, twój kawaler czeka!

Dorota, nic nie widząc zza jej pleców, nagle pokraśniała i schowała głowę, a babcia Andzia dodała półgębkiem w naszą stronę, że to właśnie jest ten chłopiec, który dał Dorocie te korale.

Możesz sobie wyobrazić moją ciekawość! Chłopiec, który pokonał Ignacego!!! – tak, moja droga, musimy to sobie powiedzieć: pokonał go. W sprzyjających okolicznościach, no i oczywiście gdyby się był postarał, syn Twój mógłby przemówić do serca Dorotki (były szanse!), a ja roztoczyłabym nad nimi opiekę i wszystko skończyłoby się in spe wyjątkowo pięknym ślubem (już nawet obmyślałam dla niej suknię z bolerkiem i wianek z kwiatów polnych). Tymczasem nic z tego, ona zakochała się w kimś innym, trzask – prask, z dnia na dzień! – ech, życie.

Słowem, ledwie Marek zatrzymał Kobyłkę, chłopiec już był przy naszej bryczce i mówił swoje bełkotliwe „dbry”. Podał rękę chichoczącej babci Andzi i pomógł jej zejść ze stopnia, a następnie ukazał swoje oblicze i właśnie wtedy się załamałam. Strasznie tępy na oko, a urody wybitnie ujemnej. Moja pierwsza myśl: „To niemożliwe!”. W dodatku Dorota na jego widok przejawiała coś w rodzaju zaskoczenia czy odruchu niechęci, lecz młodzian, nie zważając na to, wyciągnął owłosione łapy i nic nie mówiąc, złapał Dorotę bezceremonialnie, jak swoją, i chciał, mimo jej protestu, wynosić ją z bryczki w ramionach. Mój Marek natychmiast zeskoczył, powiedział szybko: No, no, no! Powoli, młody człowieku! – po czym po ojcowsku osłonił i przejął Dorotę bez dalszego gadania, pomógł jej zejść jak człowiekowi i wręczył jej kule, żeby mogła iść sama.

W kościele usiedliśmy niedaleko wejścia, żeby nie trudzić naszych kalekich nóg (moja wciąż jeszcze mnie boli, chociaż chodzę już bez podpory) i ledwie to zrobiliśmy, już siadał w naszej ławce ten lokalny Apollo w negatywie, w dodatku lokując obok nas swoją monstrualnie grubą mamusię. Mamusia czuła się słabo i najwyraźniej nie wiedziała, gdzie jest sadzana, bo kiedy klapnęła i odwróciła się, i z nagłą ujrzała naszą Dorotkę, zrobiła minę szokowaną, pełną potępienia i świątobliwej odrazy, jaką niektórzy (niektóre!) zwykle przybierają na widok tzw. dziecka grzechu. „Uchowaj, Panie Boże, takiej pobożności!” (biskup warmiński Ignacy Krasicki).

Myślę sobie, że Wszchemogący lubi takie stare wiejskie kościółki, żywe od stuleci, spogląda na te niedzielne tłumy i się cieszy, że tego zacnego ludu aż tyle, ale kiedy natrafi spojrzeniem na kogoś przepełnionego świątobliwą odrazą – cóż, nie wierzę, żeby Mu to było obojętne! Tak czy inaczej, pod koniec nabożeństwa wyglądało na to, że fałszywą pobożnością trafił grom z jasnego nieba, bowiem jej pozycja ze stojącej przeobraziła się całkiem nagle w całkiem leżącą. Prawda, że w nabitym kościele było nieprawdopodobnie gorąco i duszno, ale dlaczego tylko ona jedna padła, hm?

Oj, pardon, przerywam w tym momencie: po pierwsze, Hipokrates mi się przypomniał, a po drugie, Marek prosi, żebym mu ustąpiła miejsca przy komputerze Doroty, bo musi się

odezwać na oddział, do swojego zastępcy. Ponieważ się nie może stąd dodzwonić. Reszta potem.

Buzi!

Ida

7.

– Rany boskie, Ignas wziął golfa, patrz!

Rodzice Ignacego wyjrżeli razem z okna jadalni i zaraz się cofnęli.

– Nic mu nie mów, nic mu nie mów! – zaszeptała Gabrysia. – Błagam cię, żadnych wyrzutów, przecież jest z dziewczyną!

– Mógł ją zabić! – rzekł ze zgrozą Grzegorz.

– Przestań...

– I siebie! Wiesz, jak on się zachowuje za kółkiem. A w dodatku celowo postawiłem wóz na parkingu, bo nie powinien być ruszany, bo akumulator...

– Mówiłam, żeby przyjechali autobusem. Ale może go nie złapali albo co. A może chciał jej zaimponować. Daj już spokój, Grzesiu, widzisz, że się ostatecznie spisał, dojechali szczęśliwie.

– To jest jakiś cud.

– No już, uspokój się. Chodźmy ich przywitać, a burę dasz mu potem, jak już ona nie będzie słyszała.

Grzegorz posłusznie się uspokoił, po czym raz jeszcze wyjrzał przez, okno; drzwi goiła otworzyły się właśnie i wysunęła się z nich z jednoczesną gracją para smukłych nóg.

– No, no powiedział. – Coś podobnego.

I wyszli oboje na ganek.

A tymczasem przy golfie były już oba psy i hałaśliwie witały gości, zaś Jędrus i Szymon wychylali się z okna, machając przyjaźnie rękami i wymieniając momentami uwagi, najwyraźniej mające charakter dyskretny, co dało się poznać po tym, że to jeden, to drugi osłaniał sobie usta palcami. Ignacy wołał tego nie widzieć i stanął do nich tyłem.

Nie trzeba było nawet Agi przedstawiać rodzicom – i Gabriela, i Grzegorz pamiętali ją ze szkolnych lat Ignasia. Pozostali członkowie rodziny przywitali ją mile i z roztargnieniem, po czym wszyscy zostali przez gościnnego Floriana poproszeni (jedni) i zagonieni (drudzy) do wielkiego i kolorowego stołu w pokoju, gdzie pracowały aż trzy wentylatory, ściągnięte na tę okazję z innych pomieszczeń domu.

– Widzisz? – szepnęła Aga do Ignacego. – Jak dobrze, że cię popędzałam!

Spojrzał na nią bokiem (posadzono ich pieczołowicie obok siebie), ale nie skomentował.

Tymczasem naprzeciwko flegmatycznie zasiadł Józwa i biedny Ignacy natychmiast poczuł się jak na cenzurowanym. Jeśli chodzi o symptomy fizyczne, włosy zjeżyły mu się na karku, a po plecach pobiegło mu coś jakby zeszywnienie połączone z chłodem. W oczekiwaniu na pierwszy dowcip kuzyna jadł bezmyślnie zupę gazpacho z pomidorów, papryki i ogórków małosolnych, z koperkiem, czosnkiem i kostkami lodu. Kiedy Józef się w końcu odezwał, Ignacy tak się zestresował, że koperek omal nie uwiązł mu na dobre w tchawicy.

Ale Józek tylko poprosił o dolewkę.

Rzęzącego Ignasia poratowała po sąsiedzku ciotka Natalia, klepiąc go energicznie w plecy pomiędzy łopatkami oraz nawołując, by podniósł ręce w górę, co rychło dało zadowalające efekty: Ignacy już tylko kaszlał i łzawił.

– Ja też kiedyś zwymiotowałem. Na obrus – pospieszył z pocieszeniem Jędrus Rojek, któremu żal się zrobiło kuzyna i zupełnie nie rozumiał, dlaczego matka zaraz szturchnęła go łokciem.

– On nie zwymiotował, on tylko wykrztusił poprawił brata Szymon. Ja też kiedyś tak miałem.

– Każdy kiedyś zwymiotował – zauważył filozoficznie Jędrus.

– Ja nie – rzekł Szymon.

– Przypominam wam, że jesteśmy przy stole – przypomniał im dziadek Borejko. – Nie porusza się przy stole tematów związanych z fizjologią.

– Co to jest fizjologia? – chciał wiedzieć Jędrus.

– Dział biologii. Nauka o czynnościach organizmów żywych. Ale słowem fizjologia określamy też. funkcje życiowe człowieka.

– Jakie? – zainteresował się Jędrus.

– Wszelkie – zbył go dziadek.

– Oddychanie, wydzielanie, rozmnażanie... – popisał się wiedzą starszy brat. – I co tam jeszcze... trawienie.

– Czyli jak się przy stole rozmawia o trawieniu, to jest nieładnie?

– Tak – rzekł dziadek.

– A jak się, na przykład, mówi: nie, dziękuję, dziękuję, ja pieprzu nie trawię?

– Powiedziałem tak tylko dlatego, że twoja ciocia pospieszyła do mnie z pieprzniczką!

– zirytował się dziadek, nie tracąc wszelako idealnej dykcji prawdziwego oratora. Proszę zamilknąć, jeść pyszną zupę i pozwolić dorosłym spokojnie porozmawiać.

– Chłopcy, proszę o spokój – spóźnił się z ojcowskim poleceniem Robert Rojek, podnosząc zadowolony wzrok znad gazpacho i ocierając wąsy serwetką.

Ignacy automatycznie przestał pokasływać.

– Agnieszko, nie zwracaj na nich uwagi – powiedziała łagodząco Gabrysia. – To są w gruncie rzeczy grzeczni chłopcy, tylko zbyt się starają przy gościach. Powiedz nam lepiej, jak ci się podoba na studiach.

– Bardzo! wyznała Aga. Mam poczucie wolności, jak nigdy dotąd.

– Ja też! zakrzyknął ucieszony Ignacy, rzucając jej mile zaskoczone spojrzenie. Uśmiechnęła się do niego porozumiewawczo.

– Wiemy dlaczego! – powiedziała. Bo Bez B.

Ignacy się zaśmiał.

– Bo Bez B., B., B. – sprostował.

Znów się zaśmiali, razem. Jako jedyni przy stole, ponieważ nikt nie rozumiał, co ich tak bawi. Ale wyglądali bardzo miło i to zostało zauważone.

Ładna z nich para, muszę powiedzieć – stwierdził dziadek na stronie, kierując te słowa do żony, ale ponieważ akurat gwar ustał, a wręcz nastąpiła przypadkowa chwila zupełnej ciszy, jego komentarz wybrzmiał z nadspodziewaną siłą.

My nie... – powiedzieli równocześnie Aga i Ignacy, po czym rzucili na siebie spłoszone spojrzenia i jednocześnie odwrócili wzrok.

Józef czym prędzej chrząknął i odezwał się konwersacyjnie, co było dla niego zachowaniem zgoła nietypowym:

– Aga, a ty malujesz czy rzeźbisz?

I wyglądał, jakby go to naprawdę interesowało.

Maluję odparła powoli, jakby z onieśmieleniem. – Ale ja... – urwała.

Zaraz powie, że ręka jeszcze jej nie słuha – wyjaśnił pomocnie Ignacy. – Ale jest zbyt skromna. Widziałem tylko jeden jej obraz, po prostu piękny. Księżycowy krajobraz o zmierzchu. Musielibyście to zobaczyć!

– Jaką farbą? spytał fachowo Józef i odruchowo spojrzął sobie na paznokcie.

– Temperą – odpowiedział Ignacy z odcieniem dumy. – Ale coś wam powiem. Aga maluje nawet kwiatami!

– Jak to? zdziwiła się ciotka Patrycja.

Ignacy jej powiedział.

I okazało się, że to był właśnie ten temat, który należało poruszyć. Kto by przypuścił! Zarzucano Agnieszce pytaniami, na które odpowiadała chętnie, ciekawie i wyczerpująco:

– Jakiego koloru? Najpiękniejszy jest czerwony, z pelargonii. Nagietki dają barwnik żółty albo morelowy, aksamitki – lekko pomarańczowy albo cytrynowy. Kolor niebieski – znów z niektórych pelargonii. I tak dalej. Bardzo łatwe. Kwiaty i woda. I koniecznie ałun. I gotuję przez kwadrans.

– I co otrzymujesz? interesowała się Pulpecja.

– Jak odcedzę i odcisnę płatki, powstaje taki gęsty, intensywny w kolorze sok. Kiedy go wysuszę, otrzymuję proszek. W zależności od dodatków mogę zrobić atrament albo tusz, farbę wodną albo nawet olejną. Mam potrzebne specyfiki: gumę arabską, krzemionkę, kredę, potaż. Lubię używać tych farb. Ładniej odbijają światło niż syntetyczne.

– A malwy? Próbowałaś malw? – dopytywała się Patrycja. Mam je w kilku kolorach.

– A nie, nie próbowałam. A to dlatego, że w naszym ogrodzie malwy się nie udają.

– Ślimaki? – odgadła Patrycja.

– Dziadziu, czy wolno mówić przy stole o ślimakach? Bo ja bym miał coś do powiedzenia.

– Na pewno o ich fizjologii – domyślił się Szymon.

– Dlaczego?! – obruszył się Jędrus.

– Bo one nic innego nie mają.

– A ciekawe, jak one się...

– Chłopcy!!! Nie przy jedzeniu!

– Tato, bo cię posadzę o hipokryzję – ostrzegł Szymon z lekką żartobliwością człowieka inteligentnego, która mu się ostatnio tak doskonale udawała, o ile tylko nie rozmawiał przez telefon z rówieśniczką.

– Posadź zgodził się dobrodusznie Robrojek. Mnie to nie przeszkadza.

– Gadam i gadam – zreflektowała się Patrycja – a tu gazpacho zjedzone i drugie danie czeka. Aga, po obiedzie jesteś moja. Mam ałun! Mam ałun!

8.

Gabiszonie, już znowu okupują komputer Dorotki. Marek poszedł z panem Chrobotem oglądać jego sprzęt wędkarski. Myślę, że niebawem się to skończy, bo ileż można oglądać jedną siatkę, patyk i parę haczyków, i wreszcie porwę Mareczka nad jezioro, i długo, oj, długo go tam potrzynam. Ten człowiek jest potrzebny całemu światu i cały świat ma go na pierwsze skinienie! Tylko ja, która potrzebuję go najbardziej, muszę pisać specjalne podania, i to, jak widzę, z pieczęcią.

No dobrze, wracam do opowieści: kiedy w kościele babcia Andzia ujrzała, że ktoś zasnął, natychmiast nie chciała być gorsza i zasnąła też. Marek, udzieliwszy pierwszej pomocy mamusi Apolla (nazywa się on Igor Bogatka), musiał się z miejsca zajmować nie nią, lecz naszą staruszką. Andzia bowiem była najwyraźniej zazdrosna o jego lekarskie względy i przypomniała mu dość ostro, że przecież to u niej jest letnikiem, nie zaś u pani Bogatkowej. (W podtekście: to go do czegoś zobowiązuje!)

Tymczasem moja dzielna Dorotka sprawnie przeprowadziła podstawowy wywiad lekarski i tu mała obserwacja: kiedy p. Bogatkowa mówiła jej o stanie swego serca, przebytych chorobach, zażywanych lekach etc., jako spokojniaczka i zupełnie zapomniała o rzucaniu wzgardliwych wejrzeń na Dorotę. Zgaga jedna.

Na Jowisza, jestem tak załamana, że aż mi się chce tupać. Potupię sobie chociaż jedną nogą. Czy ta niegodziwa kobieta (wybacz, Hipokratesie!) miałaby szanse zostać teściową Doroty? O zgrozo!! aż jak chronicznie musiałyby być chora, żeby Dorotki nie nękać?!

Jest tylko nadzieja, że nic z tego nie będzie, bo chociaż Igor aż iskry obcasami krzesze, to przecież także daje się zauważyć, że Dorota zachowuje się wobec niego rozważnie i chłodno. Szczerze mówiąc, gdyby nie te korale i związane z nimi obserwacje jej zachowań, które to zachowania pełne były nieomylnych symptomów zakochania (wiem, co mówię, przypomnij sobie, ile razy mnie widywałeś całą w symptomach!), nigdy bym nie przypuściła, że to ten właśnie osobnik może stać się obiektem uczuć Doroty. To potworna pomyłka! Różnica w poziomach IQ – przepastna! Muszę chyba z nią o tym porozmawiać. Jak sądzisz, wypada?

No, opowiadam dalej. (Marka ciągle nie ma. Mam nadzieję, że go pan Chrobot nie poi denaturatem).

Ostatecznie ruszyliśmy wszyscy do Bogatków, babcia Andzia w przyczepce, Marek i Igor na motorze, a my z Dorotką hołubiłyśmy matkę Bogatki. Na miejscu (standardowy domek na osiedlu leśnym, zaraz koło sklepu) chora została oddana pod opiekę Marka, Igor się pomocnie krzątał, przynosząc i demonstrując wszystkie możliwe leki, jakie były w domu, a następnie sylabizując ich nazwy. Tymczasem my z Dorotką, żeby odciągnąć od scen medycznych zazdrosną babcie Andzię, zaproponowałyśmy spacer po okolicy.

Pojechałyśmy bryczką nad pobliskie jezioro (tu jest pełno jezior, głównie leśnych!) i tam ujrzałyśmy, tkwiącą na piaszczystym wzgórzu, opuszczoną, starą i nędzną chałupkę bez drzwi i okien, za zwalonym płotem. Babcia Andzia, która wie wszystko o sąsiadach z całej gminy, opowiedziała nam natychmiast, że mieszkała tu matka matki Bogatki, że matka Bogatki zaniedbywała swoją matkę i że po śmierci matki Bogatki dom i tak już marny, pochylił się ostatecznie ku upadkowi oraz rozkradziono mu okna. I pewnie pójdzie do rozbiórki, bo kto by kupił taką ruinę, skonkludowała.

Ledwie to wyrzekła, ja już znałam odpowiedź; szybkość decydowania jest jedną z moich mocnych stron, a mam ich wiele. – Ja bym kupiła! – odparłam z zapałem i wyjaśniłam babci Andzi, jak bardzo polubiłam tutejsze okolice. Taki domek na wzgórzu, pod sosną, z rozległym widokiem, byłby po odremontowaniu doskonałym miejscem na letni wypoczynek dla całej rodziny. Nie musielibyśmy wynajmować pokoju u was, dodałam lekkomyślnie i tym samym wprowadziłam babcie Andzię w rodzaj cichej apopleksji bezobjawowej. Kiedy się odpowietrzyła i doszła do siebie, powiedziała, że mam nie być za przeproszeniem naiwna i przynajmniej nic nie mówić Bogatkowej, bo ta zaraz się na mnie rzuci. Mam poczekać, aż przyjedziemy do domu, po obiedzie ona mi coś pokaże.

Jak się domyślasz, bardzo byłam ciekawa, co ma mi do pokazania, więc nalegałam, byśmy zobaczyli to natychmiast, bo i tak mi obiad nie przejdzie przez gardło, więc mi w końcu – o, uwaga, jest Mareczek, mój rybak, mój łowca węgorzy, mój, mój! Puścił go Chrobot, i to zupełnie trzeźwego. To pa, na razie, idziemy nad jezioro, reszta potem.

Ida

9.

Natalia – Matalia nie należała do mistrzyń rondla. Niektóre cechy jej charakteru – niepewność, wielka wrażliwość, uступliwość i skłonność do mediacji oraz romantycznej zadumy – nie sprzyjały sukcesom kulinarnym. W tej materii osobowość istoty gotującej odgrywa wielką rolę, a lekka ręka, szybka decyzja, fantazja, lecz jedynie podparta twardym realizmem, bezbłędne wycucie czasu oraz rozmach, lecz tylko dzierzony w cuglach, są czynnikami nie do zastąpienia. Jednakże były potrawy, których przyrządzanie miała dawna Nutria w małym palcu, i do nich należało jej dzisiejsze popisowe danie: smażona cukinia w plasterkach, w cytrynowym sosie maślanym o lekkiej nucie czosnkowej (wszyscy chwalili!).

Na deser podano aż trzy rodzaje domowych lodów Pulpecji. I dziadek wyznał, że to mu się tutaj najbardziej podoba.

Lody arbuzowe z miętą pieprzową okazały się sensacyjne.

Kiedy już wypito kawę mrożoną i herbatę, Pulpecja zaanektowała Agę – najpierw zabrała ją do ogrodu, po malwy, a potem do kuchni. Przyłączywszy chętną i zaciekawioną Matalię prędko załadowały zmywarkę, a potem opasały się fartuchami, założyły rękawiczki lateksowe i we trzy zaczęły alchemiczne sztuczki.

– Najpierw robimy roztwór z ałunu i wody – mówiła żywo Agnieszka. – Łączymy jedną część roztworu i dwie części kwiatów. I do garnka, i gotujemy przez kwadrans. Rozgotowaną masę wylewamy na sito: odcedzić, odcisnąć. I tym wywarem już można malować, jak akwarelę. Można dodać troszkę gumy arabskiej – i jest atrament. Można nim pisać i rysować. Możemy wywar rozwadniać i zagęszczać, eksperymentować. A jeśli chcemy taki barwnik przechowywać, to musimy gotować dłużej, aż dobrze odparuje. Przelewam taki najgęstszy płyn na głęboki talerz i tak zostawiam – woda się ulotni i w końcu zostanie kolorowy proszek...

Jeśliby ciotki chciały pomóc Agnieszce w przełamaniu początkowego onieśmienia, nie mogłyby znaleźć lepszej metody. Proszę! Uwijała się po kuchni pełna zapału i wdzięku, ważyła, odmierzała, gotowała, odcedzała sprawnie, dokładnie i kompetentnie. A one dwie były naprawdę zainteresowane i prawdziwie zadowolone, choć każda może z innej przyczyny. Poetyczną ciotkę Natalię zachwycił pewnie sam proces wydobywania z kwiatów ich koloru. Ciotka Pulpecja – konkretna i gospodarna — zawsze była zainteresowana innowacjami, przepisami, kuchenną chemią.

Ignacy patrzył na nie – jedna gruba, druga chuda, a obie takie ładne i miłe – jak pochylają się nad stołem z obu stron Agnieszki, niczym asystentki czarownicy, i pomyślał, że bardzo lubi siostry swojej matki. Wszystkie trzy zresztą! – przecież niespodziewane wakacje z ciotką Idą także pozwoliły mu odkryć, jak bardzo zabawna jest na co dzień i zwariowana, choć zarazem całkiem na serio. W gruncie rzeczy jedyną jej wadą było to, że chrapała. Poza tym – w porządku. I naprawdę była mu życzliwa. Fundamentalnie! A zawsze widział ją głównie jako osobę, która sprowadziła mu na ten świat odwiecznego antagonistę!

Co prawda, przyznać trzeba, że jak dotąd Józwa zachowywał się więcej niż poprawnie. A nawet – zdał sobie sprawę Ignacy – a nawet starał się jakoś Agnieszkę wspierać. Aż dziw! Co mu się nagle stało?

Opalony po swojemu wujek Robert (z nosa obłaziła mu skóra) wetknął czerwone, wąsate oblicze w drzwi i zawiadomił żonę, że idzie z Florianem do koni.

Dziadkowie przyszli powiedzieć, że udają się do siebie, żeby po – drzemać i poczytać. Uśmiechnęli się do Agnieszki z sympatią, a Babi pomachała jej lekko ręką.

Rodzice Ignacego najwyraźniej mieli ochotę z nim porozmawiać i nawet nietrudno było się domyślić o czym. Pokręcili się koło golfa, zajrzeli do kuchni raz i drugi, ale Ignacy postarał się nie zrozumieć ich znaczących spojrzeń, tylko pilnie brał udział w wyciskaniu odwaru z malwy pąsowej (małe rozczarowanie: okazał się sinawy). Rodzice zasiedli więc na ganku i tam, w cieniu dzikiego wina, czekali na przyjazd Laury z Adamem.

Upał był coraz bardziej nieznośny. Niebo nadal bez chmurki, słońce bez litości. Po półgodzinie w kuchni zrobiło się bardzo gorąco. Trzy alchemiczki wyabstrahowały barwnik z malwy ciemnoróżowej i, zadowolone, z wolna kończyły swoją krzątalinę, a Ignacy wyjął komórkę i zerknął sobie na ulubiony portal burzowy.

Ale na mapce nad Wielkopolską była tylko pomarańczowa łata – oznaczenie największych upałów. Fronty burzowe znad Niemiec, owszem, szły, lecz jeden bokiem, ku Szczecinowi, a drugi górą – na Gdańsk.

Kiedy jednak zajrzał pod „szukaj burzy”, wyskoczyła mu wiadomość, że w ciągu ostatnich dziesięciu minut w promieniu osiemdziesięciu kilometrów miało miejsce dwadzieścia pięć wyładowań!

Cóż, wobec tego i tutaj powietrze musiało być potężnie naelektryzowane. To się wyczuwało. Z pewnością przesywały je jakieś niewidoczne iskry, jakieś napięcia niedostrzegalne przemykały tam i z powrotem, tworzyły nieoczekiwane powiązania i oplatały całą okolicę oraz wszystkich jej mieszkańców niewidzialną, tajemną siecią. Ciekawe, czy można by – za pomocą jakichś przyrządów – wysledzić tę sieć, zarejestrować, zastanowić się nad jej wpływem na ludzkie zachowania, zrobić wykres potencjalnych konfliktów, emocjonalnych zapętleń, gwałtownych zerwań i równie gwałtownych połączeń, bo przecież skoro można określić, co te napięcia zrobią z bezmyślnymi chmurami, tym bardziej dałoby się przewidzieć zachowania istot myślących.

Albo – tym trudniej...?

Ale jeśli chodzi o pogodę, rzecz była pewna: coś z tego będzie. Jeśli nie jutro, to pojutrze.

Niebawem przyjechała Laura z mężem i ze dworu dały się słyszeć trzaśnięcia drzwiczek i pierwsze okrzyki, więc wszyscy opuścili kuchnię i pospieszyli się witać.

Oto byli, oboje ubrani przewiewnie i biało, ale, rzecz ciekawa, Laura była blada, Adam zaś – opalony. Ignacy patrzył na swoją starszą siostrę i nie mógł się nadziwić: jak ona się w lej Lozannie zmieniła! Nie było ich w Polsce przez niecałe trzy tygodnie, a widział oto przed sobą inną osobę. Nie, nie utyla. I nie schudła. Fryzurę miała tę samą – ciemne włosy długie i proste, tyle że zebrane w koński ogon. Nadal wyglądała jak skośnooki Tygrys o stalowych oczach. Urody jej też nie odjęło. W czymże ta zmiana wobec tego?

Uściskała go jak zawsze serdecznie, a może nawet serdeczniej. Bardzo miło przywitała się z Agnieszką. Ale – ach, tak! – Laura była jakaś... zmartwiona? Nie, nie – roztargniona? – czy raczej: odwrócona do wewnątrz, jakby czegoś nasłuchiwała, jakby zaprzątnięta była jakąś tajemnicą. I – uwaga! – nie była już taka ostra jak zwykle.

A bardziej małomówna.

To z winy upału, pomyślał i przestał się nad tym zastanawiać. Agnieszka właśnie mówiła, że widziała przy Roosevelta ich zdjęcie ślubne i że to był przepiękny wieniec, ten z białych róż.

– Moje dzieło – przypomniał ze śmiechem Adam i oboje z Laurą spojrzeli na siebie przeciągle, jakby wymieniali jakąś ważną, bezsłowną, jednoczesną myśl, po czym nagle się do siebie przytulili. Adam położył jej rękę na karku – chyba tylko Ignacy to widział, stojąc nieco z boku – a Laura na moment odchyliła głowę i zamknęła oczy.

Dłużej na słońcu nie dało się wytrzymać. Szybko przeszli wszyscy do jadalni, gdzie wciąż jeszcze pracował największy wentylator, a okna były pozastłaniane. Adam i Laura usiedli obok siebie, trzymając się za ręce, dotykając się ramionami. Wyglądali tak dobrze razem!

Agnieszka bardzo się na nich zapatrzyła. Jak wszyscy zresztą.

Ciotka Patrycja zaraz podała nowe lody (tym razem cytrynowe, inkrustowane całymi malinami oraz, tu i ówdzie, czarną jagódką lub listkiem melisy) i zaczęły się oczywiste pytania o Lozannę i o to, dlaczego wrócili szybciej.

Okazało się, że to Laura nalegała na wcześniejszy powrót.

– Koncert w Katedrze był wspaniały. Laura śpiewała jak anioł. Nazwiedzaliśmy się do syta. Ale potem już było gorzej: zaczęły się upały i w mieście było nieznośnie – opowiadał Adam. – Poszliśmy zwiedzać Akademię, gdzie wykładał Mickiewicz – i kiedy wreszcie tam doszliśmy, kiedy biedula stanęła pod tablicą pamiątkową – nagle jej się zrobiło słabo. Silny zawrót głowy i tak dalej, myślałem nawet, że to udar słoneczny i właściwie odtąd już niczego nie zwiedzaliśmy. Siedzieliśmy w cieniu nad jeziorem.

– I płaciliśmy żywą gotówką. I zatęskniłam za tym naszym jeziorkiem. I chciałam wracać do naszego własnego cienia i do domu. I nagle poczułam, że to tu jest najlepiej – to mówiąc, Laura odruchowo spojrzała na matkę.

Gabriela przyjęła jej spojrzenie, jak przyjmuje się jakiś komunikat, i poruszyła się bez słowa.

To jest coś w oczach, pomyślał Ignacy. W takim uduchowionym wyrazie twarzy. To jest ta nowość. Mama też to widzi, nie spuszcza wzroku z Tygrysa. Mama nic nie mówi. Mama coś wie.

Gabriela wstała i poszła do przyległej kuchni, gdzie nalała wody do czajnika i odstawiała go. A potem nagle przysiadła na kuchennej szafce, złączyła ręce i przycisnęła je do ust.

Laura odsunęła krzesło i poszła za matką.

Zamknęła za sobą drzwi – ale ponieważ były oszklone, Ignacy mógł zobaczyć, co tam się dzieje.

Właściwie, wszyscy mogli.

Obie były widoczne z profilu, naprzeciwko siebie; mama wciąż z rękami przy ustach, patrzyła z ukosa spod jasnej grzywki na córkę. Nic nie mówiła.

A Laura, stojąc przed nią niemal na baczność, powiedziała tylko parę słów.

Mama opuściła dłonie i nagle się rozpląkała, tak jakby dotąd tylko ich ucisk przed tym ją bronił. Zaraz też, śmiejąc się przez łzy, przygarnęła do siebie hardego Tygrysa i uściskała.

A potem nagle obie zaczęły się śmiać, trzymając się za ręce.

– Już wiem! – pomyślał Ignacy. – Już wiem!

10.

O piątej po południu upał osiągnął apogeum.

Adam i Laura pojechali mimo to (busik ogrodnictwa „Daglezja” miał klimatyzację) – radosną nowinę należało zawieźć teraz do jego rodziny. Na wpół do szóstej pan Gruszka zwołał familijną naradę w „Daglezji”.

W domu Florków pozasłaniano okna żaluzjami i zaciągnięto zasłony, ustawiono wentylatory w różnych punktach dużej jadalni i wytarto do czysta wielki stół, po czym przystąpiono do gry w Carcassonne.

Ignacy tego właśnie się obawiał.

W użyciu były aż cztery podstawowe komplety i kilka zestawów dodatkowych. Babcia miała śledczy błysk w niebieskim oku, dziadek przejawiał ostentacyjny brak zainteresowania (zazwyczaj przegrywał) i udał się majestatycznie do łazienki, by wziąć ożywczą kąpiel. Wuj Florek zacierał łapska, a ciotka Patrycja jak zwykle zgłosiła się do prowadzenia zapisu punktacji, wyprzedzając o włos swoją siostrę Gabrielę. Ciocia Natalia wykręciła się bólem głowy i poszła się położyć, bo nie przepadała za tą grą, a wuj Robert, który przepadał i za nią, i za Natalią, powiedział głosem przepaszającym, że troszkę tu zostanie, i czym prędzej zajął miejsce przy stole.

Szymon popatrzał sobie na nich, takich dziecinnie ożywionych, i pokręcił z niedowierzaniem głową. Usiadł ze swoim tabletem na kanapie, koło wentylatora, i wetknął słuchawki do uszu.

Tata Ignacego ziewnął i oświadczył, że chyba też się prześpi, bo w Poznaniu jest to generalnie niemożliwe. I poszedł.

A Ignacy pomyślał, że chyba mu się z tym golfem upiecze. Ulżyło mu i mocno się odprężył. Zaproszony do rozgrywki oznajmił jednak, że raczej spsuje, a za to trochę pomoże Agnieszce. Nie znała ona dotąd tej gry i pewnie nie od razu załapie, o co chodzi.

Ale nie, załapała w lot!

Momentalnie przyswoiła sobie zasady, tylko przez chwilę obserwowała innych grających, po czym ruszyła ze swoją rozgrywką zupełnie swobodnie.

Babcia usiadła obok Agnieszki i stale miała ją na oku, zauważył Ignacy. A więc będzie test psychologiczny, obserwacja i dedukcja.

Prawdę mówiąc, sam był ciekaw, co Agnieszka ujawni przez swój sposób gry. Skoro więc jego pomoc była zbędna, odszedł od stołu, usiadł na kanapie obok zapracowanego Szymona, zajrzał mu przez ramię, kurtuazyjnie popodziwiał McKlocka, a następnie, przyjąwszy metodę badawczą babci, zaczął się przypatrywać przebiegowi wydarzeń przy stole.

Oczywiście, Agnieszka grała elegancko, schludnie, starannie układała kartoniki. Skrupulatnie trzymała się przepisów. Upewniała się, spoglądając w milczeniu, czy dobrze robi. O tak, nie była zbyt pewna siebie, wahała się chwilami zbyt długo, aż ją inni grający popędzali. A co najzabawniejsze, zupełnie jej nie interesowały zyski i w ogóle – jakkolwiek stan posiadania. Straty przyjmowała z całkowitym spokojem, podobnie jak sukcesy. Skupiała się na układaniu kolejnych zamków i komponowaniu estetycznych krajobrazów, doprowadzając do nich kręte, lecz funkcjonalne drogi, i z upartą konsekwencją stawiając klasztorzki zawsze tuż obok jezior. Ani razu nie powiedziała rozkosznie: „och, ale ja jestem beznadziejna”, jak to kiedyś robiła Magdusia (jednocześnie dopuszczając się małych szwindelków), i ani razu nie zakrzyknęła chełpliwie: „ja tu jestem mistrzem, co?”, jak to miał w zwyczaju wuj Florek. W ogóle nie używała słowa „ja”! A przewagi innych przyjmowała z uśmiechem.

Ignacemu bardzo się spodobało to, co zobaczył.

Rozparł się z zadowoleniem na kanapie i w tejże chwili napotkał wzrok babci, która siedziała zwrócona twarzą do niego.

Babi się lekko uśmiechała i kiedy ich oczy się spotkały ponad stołem, uniosła brwi, ni to z zaskoczeniem, ni to z uznaniem. A potem skinęła nieznacznie głową.

Dziwne! Ten drobny gest wraz ze spojrzeniem miał wagę orderu.

Gra się rozkręciła na dobre i oto jak zwykle trzeba było dostawić stolik, bo poczwórne Carcassonne już przekroczyło granice dużego stołu. Ignacy siedział, uśmiechając się, i patrzył sobie na Agnieszkę. Był z niej dumny.

11.

Gaba, nie odpowiadasz mi ni słowem! Czy Ty w ogóle nie podchodzisz do komputera? Może i dobrze robisz. Pewnie macie obiad, a nie, raczej już jecie lody. Najcudowniejszym daniem na takie upały jest zimne zsiadłe mleko Chrobota, to jest, co ja gadam, jego krowy. Z koperkiem.

Wracam do opowieści (musisz mi poradzić, więc czytaj uważnie, bo podaję ważne szczegóły!). Okazało się otóż niespodziewanie, że to nad „naszym” jeziorem (chyba każdy gospodarz w tej okolicy ma jakieś „swoje” jezioro) jest coś godnego obejrzenia. Zaopatrzeni przez obie babcie w tajne i nieco sprzeczne wskazówki poszliśmy tam po obiedzie, jakoś trafiliśmy, i teraz już wszystko wiem. Tam jest Dom.

Do samego niemal brzegu wody dochodzą grunty rolne, które dziaduś nieboszczyk zapisał był Dorocie (czuję, że ten Igor czai się na jej hektary!). Jezioro leży oczywiście w niecce morenowej (wyobrażam sobie, jak tu wszystko się przesunęło tam i z powrotem w czasach lodowcowych, ziuu – ziuu!). Otoczone jest wzgórkami i urwiskami, wszędzie wspaniałe lasy, tak że woda aż prawie do środka tafli wydaje się ciemnozielona. I tylko w centrum odbija się niebo. I na wzniesieniu, pod jednym z takich leśnych pagórków stoi nieduży ceglany dom, na podbudówce z polnych kamieni, dom oczywiście bez okien i drzwi (okna i drzwi zawsze się komuś przydadzą, wystarczy je tylko wyjąć, obudować naokoło swoimi ceglami i już). Stoi tyłem zwrócony do wzgórza, jakby w nie wtulony nieśmiało. Stoi i patrzy. I czeka! Najwyraźniej czeka! A nawet jakby się uśmiechał!

Dachówki ma zielonkawe od mchu i porostów, nawet rośnie pomiędzy nimi urocza brzoźka – samosiejka. Posesja otoczona jest kamiennym murkiem. Podeszliśmy tam – otworzyliśmy drewnianą furtkę – i znaleźliśmy się w rajskim, acz zdziczałym ogrodzie. Pod

burzą zielska widać zarysy dawnych rabatek i ścieżek. Mnóstwo mięty i macierzanki, całe pole leśnych poziomek, to znaczy tylko liści, ale to się zmieni w przyszłym roku, wszak poziomki owocują w lipcu. Są i krzaki jeżyn z owocami, bardzo słodkimi! Jedno wielkie stare drzewo (fioletowa renkloda) wciąż jeszcze rodzi, na ziemi leżą opadłe owoce i w tym upale cały ogród apetycznie pachnie, jakby ktoś piekł placek ze śliwkami. Marek wlaźł wysoko i nazbierał ich prosto z gałęzi i usiedliśmy sobie na murku, bimbając nogami jak młodzi, patrząc na dom i zajadając. Pyszne! Tak nam było dobrze, że wciąż się całowaliśmy z radości, mając prawdziwie słodkie usta. A kiedy postanowiliśmy podejść, żeby zobaczyć, co jest w środku (nie było nic zupełnie), pobrnęliśmy przez to zielsko jak przez morze i wzbili się nam spod nóg chmury rozgrzanych aromatów, ciężkich, subtelnych, miodowych, pieprznych, cierpkich, i wzleciało pełno pszczół. A może os. A może jeszcze innego diabelstwa. Ale szerszeni nie było. Aha, i cudownie śpiewała mieszkająca tu wilga. Dobrze by było mieć własną wilgę!

Zeszliśmy potem ścieżką nad wodę i okazało się, że jest tam osłonięta malutka zatoczka, więc popływaliśmy sobie, jak Adam i Ewa w raju, patrząc w niebo i w bardzo nieliczne chmury pierzaste. A potem się zdrzemnęliśmy wprost na piasku. Aha, pod korzeniami na samym brzegu bytują w wodzie raki!

Cisza tam panuje ogromna, słychać tylko ptaki i drzewa, czasem odrzutowczyk sobie przeleci, a to pasażerski, a to znów F – 16, czy jak mu tam. No, ale gdzie one nie przelatują. To nie może być powód, byśmy tego domu nie kupili. Co może być powodem, to cena. Babcia Andzia z babcią Wikcją mogą nam, jak sądzę, zaśpiewać bardzo wysoko. To widać po ich minach, już ja je znam. Na razie się z Mareczkiem zmówiliśmy, że wrócimy, zachowując się całkiem obojętnie, jakby dom nie zrobił na nas żadnego wrażenia. Nawet o nim nie wspomnimy. Marek zresztą od razu został nawiedzony przez pana Chrobota wraz z zestawem przynęt (ten człowiek jednego tylko pragnie: wypłynąć z kimś na węgorze!), a ja bąknęłam coś babciom w przelocie i siadłam do komputera, bo rzecz jest pitna.

Otóż tu właśnie Ty wchodzisz do gry: masz mi się, siostrzyco, zorientować w cenach takich nieruchomości. Pulpecja i Florek powiedzą Ci wszystko, oni się na tym przecież znają.

Na Jowisza! Ależ bym tam zrobiła porządku! Ależ bym biel Ha, malowała, szorowała, przybijala i czyściła! Uch! Zrobiłabym z tego domu cacuszko!

Kończę, bo weszła Dorota i pyta o przepis na ciasteczka. Nie wiem, dlaczego chce się jej piec ciasteczka w dni tak upalne. Mają być nie za miękkie, ale pulchne. Te ciasteczka, nie te dni. Coś tam znajdziemy w sieci. Pa, Gabuniu, odpisz mi szybko. Ida

PS Noga mnie już prawie nie boli. Prawie.

12.

Agnieszka oczywiście nie miała kostiumu kąpielowego, więc kiedy rzucono po raz kolejny okrzyk: „nad wodę!”, ani ona, ani Ignacy nie poszli z wesołą gromadą. Protopłaści rodu zresztą także się wykręcili, nad jezioro trzeba było wędrować dobry kilometr przez las, a nadciśnienie dziadka, według jego własnej oceny, najlepiej się czuło z dala od słonecznego żaru, za to w bliskim towarzystwie lodów, wentylatora i dobrej książki. I żony.

Patrycja i Gabriela także zostały: zabrały się za sprzątanie kuchni, żeby szybko dołączyć do kompanii nad jeziorem, a Agnieszka im pomagała, przy czym rozmowa toczyła się wartko, a dotyczyła Krystyny córki Lavransa. Patrycja też lubiła tę książkę, ale to mama Ignacego miała na jej temat najwięcej do powiedzenia.

– To arcydzieło. Powinna za to dostać trzy Noble, a nie jednego. W Krystynie jest kilka powieści naraz, wielkie bogactwo materiału, wątków, obrazów.

– Porywa od pierwszej chwili przyznała Aga. – Jakby się weszło do wielkiej rzeki. Wspaniałe pejzaże. Ta czerwona jarzębina błyszcząca w porannej mgle. Białej jak mleko.

Konie. Niebieskie stoki gór. Ale co mnie uderzyło najbardziej – że to jest takie przekonujące. Tak jakby Undset urodziła się w średniowieczu i wspominała coś, co widziała na własne oczy.

– Potężna wyobraźnia. I wiedza. Nie wiem, czy słyszałaś, że jej ojciec był archeologiem. Ona w tym po prostu wzrastała.

– A, to teraz rozumiem. Tyle tam jest przedmiotów, sprzętów, narzędzi i tkanin... Nie skończyłam pierwszego tomu. Jestem w tym miejscu, gdzie umarła siostra Krystyny.

– Ulvhilda.

– Aha, odstawiłam książkę na półkę, tam, gdzie była.

– Dzięki. Zgłoś się po resztę, jeśli zechcesz. Kiedy lubię jakąś książkę, chcę, żeby wszyscy ją przeczytali. A już zwłaszcza miłe osoby.

– Uśmiechnęły się do siebie w tej samej chwili.

Patrycja dała im po jabłku i rozmawiały dalej, a kiedy skończyły. Aga poszła do łazienki, żeby się umyć i doprowadzić do ładu. Spojrzała w lustro i zdziwiła się na swój widok. Miała taką radosną minę!

To dlatego, że dobrze i bezpiecznie się tu czuła. Zaakceptowano ją tak łatwo i szybko, że śmiała się teraz ze swojego poprzedniego napięcia, Ignas miał rację: gdyby się spóźnili na obiad, nikt nie powiedziałby im złego słowa, więcej: z pewnością nikt by niczego złego nie pomyślał. Tu panowała naturalność, szczerłość i – co wydawało się niezwykle – nikt nie mylił szczerłości z mówieniem rzeczy przykrych.

Posmutniała.

Złapała za komórkę. Ale telefon mamy był poza zasięgiem.

Umyła się, uczesała i wyszła na rozległy ganek, gdzie było, owszem, gorąco, ale jeszcze do wytrzymania: cały był zacieniony, obrośnięty zewsząd migoczącym złotem i zielono dzikim winem, które poruszało się i drżało od najmniejszego powiewu.

Gorąco stanęło przed nią jak dotykalna ściana. Przez chwilę zatrzymała się przed schodkami, patrząc na oliwkowy trawnik z czerwonym namiotem, widząc kolory, ale nie rejestrując ich znaczenia. Tak, miło tutaj i spokojnie, myślała, dobrze jest być pośród dobrych ludzi i przejmować od nich ciepło; ale w tym samym czasie jej własna mama jest tam całkiem samotna, zaplątana w swojej udręce. Może coś jej się stało?! A może przypomniała sobie swoje zachowanie, może wróciły do niej jej własne słowa, może teraz się wstydzi. Często tak właśnie się kończą te jej wybuchy.

Kto ma jej pomóc, jak nie ja? – pomyślała Agnieszka i westchnęła.

I wtedy dopiero, jakby w tej chwili się obudziła od własnego westchnienia, całą połową ciała poczuła czyjeś spojrzenie. Zwróciła głowę w prawo i natknęła się na poważne, ciemne oczy.

Ignacy się w nią wpatrywał.

Jakby złapany na gorącym uczynku, drgnął, speszzył się, odwrócił wzrok, ale tylko na moment, bo zaraz zapytał pospiesznie:

– O czym myślałaś, można wiedzieć?

Siedział przy stole ze swoją książką, ale nie czytał: była zamknięta. Na włosach miał złotą czapkę światła, przesączonego przez liście, a uszy bardzo różowe, prześwieczone.

Agnieszka ominęła dręczący ją temat i uchwyciła się poprzedniego.

– O szczerłości – odparła.

– Tak? Myślałem, że o czymś smutnym.

Podeszła i usiadła przy stole obok niego.

– Też. Ale przedtem o tym, że szczerłości nie wolno używać do obrażania innych.

– Ludzie myślą szczerłość z brutalnością – przytaknął.

– Bardzo często.

– Jak się tu czujesz? – zapytał.

– Dobrze. Swobodnie. O tym też myślałam: jak bardzo wszyscy są tu naturalni.

Ignacy zastanowił się.

– Tak! – powiedział. – Masz rację. Zupełnie tego dotąd nie widziałem, to jest tak oczywiste. Wiesz co, to po prostu wynika z ich szacunku dla rzeczywistości.

– Jak to?

– Czy muszę to tłumaczyć?

– A tak, wytłumacz.

– Z szacunku dla prawdy. Prawda wcale nie jest abstrakcją, ona żyje i wciela się w ludzi i w rzeczy. Rzeczywistość jest nią przepojona. Więc pewnie jest tak, że kochając rzeczywistych ludzi, kochamy prawdę, którą w sobie noszą. I nie chcemy, żeby była fałszowana.

Agnieszka oparła brodę na rękach i myślała o tym, co powiedział. Konkluzja jednak była dla Ignacego zaskoczeniem.

– Muszę wracać do mamy – powiedziała.

– Ach, tak – odparł Ignacy ze zrozumieniem. – Dobrze. Ale jeszcze trochę poczekajmy, aż upała zelżeje. Odwiozę cię i odprowadzę pod drzwi, i wejdziesz tam z tobą.

– Nie, nie.

– Tak, tak.

– Nie ma potrzeby.

– Ależ jest. Chciałbym się wytłumaczyć teraz, kiedy... no, kiedy już zapewne...

– ...doszła do siebie?...

– Coś w tym rodzaju... Minęło trochę czasu. Pewnie to jej pomogło, uspokoiła się albo coś. To tak nie może zostać. Twoja mama nie może trwać w tym – no, jak by to powiedzieć, błędnym przekonaniu. Nie wierzy tobie, więc musi uwierzyć mnie. To jest ważne przede wszystkim dla ciebie, ale dla mnie też. Właściwie dlaczego miałbym uchodzić za kogoś, kim nie jestem?

– Kim nie jesteś?

– Kłamcą.

– Tak, nie jesteś nim – powiedziała Agnieszka po namyśle, z szacunkiem. – Ruszajmy więc. Niezależnie od upału.

– Znów mnie poganiaasz.

– Znów. Pożegnajmy się i w drogę.

Ale raczej nie było z kim się żegnać. Wszyscy już byli nad jeziorem. Tylko w jednym pokoju pulsowało życie, i to całkiem głośno: dziadek Borejko chrapał, leżąc na wznak, z okularami na nosie i książką na piersi. Na łóżku obok, wsparta wygodnie na podniesionym wezwłowie i spiętrzonych poduszkach, siedziała sobie spokojna Babi, też w okularach, i oglądała duży album z fotografiami. Jej puszysta, siwa głowa była pochylona, widać było zygzakowaty, różowy przedziałek i grzebienie, którymi wiecznie i nieporządnie upinała niesforne włosy. Ale i tak pojedyncze pasemka się wymknęły i drżały teraz leciutko w powiewie wentylatora.

– Zebrało mi się na wspominki – wyjaśniła cicho Ignasiowi, kiedy na jej skinienie oboje stanęli przy łóżku. Jej oczy za mocnymi szklami były niezwykle niebieskie, jak u dziecka. Ale spojrzenie miały przenikliwe i mocne, jak to się zdarza niektórym szlachetnym ptakom. – Poszukałam zdjęć twojej siostry, kiedy była malutka. Chciałam sobie wyobrazić, jak będzie wyglądała Tygrysiątko. Mniej więcej, oczywiście.

– Będzie piękne, nie ma innego wyjścia – zauważyła Aga z uśmiechem.

– Ja też tak uważam. A potem maleństwo podrośnie, a potem... Któż to powiedział? Zapomniałam. „Niewiele rzeczy cieszy bardziej niż obserwowanie, jak twoje dzieci mają swoje własne nastolatki”. Hi, hi... Gabrysia sobie poobserwuje. Ciekawe, czy to będzie dziewczynka. Ale mówiąc poważnie: jestem zachwycona. Taka niespodzianka! Rano nikt się nie spodziewał, co dzień przyniesie. Ale czyż nie jest tak co dzień, właściwie?

– Właściwie tak – przyznał Ignacy z przekonaniem.
– I to jest takie piękne. Siadajcie przecież, tam są krzesła, dziadek po południu śpi twardo, nie obudzicie go. Albo ja wstanę.
– Nie, nie, leż sobie. Babi.
– A co wy tacy oficjalni jesteście w minach i postawie? Agnieszka w kapeluszu... nawiasem mówiąc, jest śliczny. Wyjeżdżacie?
– Zgadłaś. Na nas już czas. Przyszliśmy się pożegnać.
– To zawsze brzmi tak definitywnie, prawda? – zastanowiła się babcia. – Zwłaszcza w moim wieku.
– O, w naszym wieku też – pospieszyła Agnieszka.
– Niewątpliwie – odparła Babi nieco przeciągle, z uznaniem przyjmując jej zacny odruch i przy okazji rejestrując ową liczbę mnogą. – Toteż uważajcie, jak jedziecie. Nie jesteście najbiegłym z kierowców, mój chłopcze. Z drugiej strony, jak miałbyś nabrać biegłości, gdybyś nie jeździł? Śmiało więc. Ale uważaj. Zwłaszcza że wiesz Agnieszkę.
Ignacy nagle pochylił się nad babcią i pocałował ją w miękkie, pomarszczone policzki.
– To ty uważaj – powiedział serdecznie, złapał jej rękę i też pocałował. – Uważaj na siebie, Babi. Co ja bym bez ciebie zrobił.
Starsza pani zamarła w pół ruchu, ściskając rękę wnuka, wreszcie odchyliła głowę i spojrzała mu w oczy bez słowa, krótko, ale bardzo wymownie.
Agnieszka, stojąca za Ignacym, bez trudu odczytała to przesłanie i właśnie w tym momencie poczuła, zdumiona, że ona też go kocha.
I to ją zmartwiło.

13.

Iduś, smukła ropuszko, wybacz, już piszę, już piszę. Rzeczywiście nie podchodziłam do komputera, bo przecież mieliśmy rodzinny obiad z wydarzeniami. (O czym w dalszym ciągu).

Najpierw o Domu, bo już czuję, jak tam podskakujesz z niecierpliwości: pokazałam Florkowi Twojego maila, bo tak jest najprościej. Florian ryczał ze śmiechu. Pokładał się po prostu. Zauważył, że mieliście spore szczęście, trafiając w tym zielsku jedynie na te, a nie inne rozgrzane aromaty. Teraz stoi nade mną i grubo chichocze i mam Ci przekazać następujące jego rady (piszę pod dyktando tego okrutnego mac ho):

Prawo własności nieruchomości oraz księgi wieczyste i ewentualne zadłużenia sprawdzi notariusz, do którego w razie kupna masz się zwrócić.

Zanim się zdecydujesz, sprawdź:

- czy na terenie posesji jest prąd elektryczny, woda bieżąca, szambo,
- czy mury nie są zagrzybione,
- jaki jest stan podłóg,
- jaki jest stan dachu, – czym właściwie dom jest ogrzewany,
- czy działają przewody kominowe.

Następna wskazówka: nie trzeba koniecznie kupować domu, żeby się najeść jeżyn.

To samo dotyczy śliwek.

Wilga niekoniecznie mieszka tam, gdzie śpiewa.

Brzozy nie powinny rosnąć na dachu.

Opuszczoną rudę kupuje się za grosze, więc masz się nie dać zrobić w balona przez pracowity i zaradny lud wielkopolski.

Tyle od Florka (jak wiesz, cała w wyrzutach sumienia okupuję jego komputer), który na koniec dodaje, że najlepiej będzie, jak przekażesz sprawy kupna nieruchomości w ręce Marka, ponieważ on zupełnie nie jest impulsywny. Ale oczywiście Florek zawsze jest gotów Ci pomóc, zwłaszcza kiedy podasz mu jakieś realne dane, a nie, rozkoszne skądinąd, kobiece impresje.

(Odchodzi, mrużąc, ten męski szowinista).

A teraz o nas:

Nie uwierzysz! Ignas faktycznie nie dojechał do Wrocławia. Coś nie wypaliło z Magdusią, widzę, że bardzo boli go ambicja. Ale nie mówi na ten temat, czyli sprawa jest definitywnie pogrzebana, i to w głębokiej a niedostępnej przepaści, znam go. Nie pytam o nic, oczywiście. Tu, przy okazji, odpowiem na Twoje pytanie: a niech Cię ręka boska broni, nie pytaj o nic tej Twojej Dorotki! Cóż Cię niby obchodzą jej sercowe perypetie? Co Ci do tego? Przestań być wścibska! Nawet własnego dziecka nie wypada wypytywać, moim zdaniem. Zresztą wiesz o tym świetnie: czy wypytyjesz Józka? A pewna jestem, że miałby sporo do opowiadania!

To jest sprawa elementarnej dyskrecji. Zechcą, to sami powiedzą. A nie – to nie! (Ale obserwować zawsze możesz).

W dalszym ciągu o Ignasiu: przyjechał z inną dziewczyną! Jakaś dziwna historia, to koleżanka z gimnazjum, widzę, że się nią bardzo odpowiedzialnie opiekuje (miała problemy w domu). Protestują zgodnie, kiedy się ich uważa za parę. Oczywiście. Nie są nią w wiadomym sensie.

Ale, moim zdaniem, jeszcze będą.

Skąd wiem, zapytasz? Serce matki, że tak powiem banalnie. (No i trzeba trochę umieć obserwować). Przede wszystkim: kiedy się przypadkiem dotkną, odskakują jak oparzeni. Ale zarazem mówią, poruszają się, uśmiechają, jakoś tak RAZEM, widzę też, że potrafią się porozumiewać bez słów, spojrzeniem albo i nawet nie. Wstają, ruszają – i zaraz się ujawnia jakaś nieświadoma synchronizacja pomiędzy nimi. Ignas wciąż na nią patrzy, nie kontroluje tego, nie może od niej oderwać wzroku.

Agnieszka z kolei spogląda na Ignasia rzadziej. (Była początkowo onieśmielona, to chyba dlatego). Ale kiedy spojrzy – to bardzo intensywnie. (Natalia zauważyła, że Agnieszka w ogóle ma niespotykane silne spojrzenie!) Ale była chwila, kiedy po obiedzie graliśmy i w tym czasie patrzyła na Ignasia z pewnego dystansu: rozmawiał wtedy z Szymkiem. I w tym jej intensywnym wzroku była czułość! Nie myślę się! Kto mógłby lepiej ją wytropić niż ja?! Mam w sobie specjalny detektor! (I dzięki temu o nic nie muszę wypytywać, o!)

Ach, Iduś! Cieszę się. Nie miałam takiego uczucia radości, przychylności, a nawet ulgi, kiedy widziałam go z Magdusią. Aha: koniec z melancholią! Ignacy jest teraz wesoły! Śmieje się i nawet wygłupia!

Tak Ci o tym wszystkim piszę, może nie powinnam – ale komu się mam wygadać, Mama i siostry śpią, a Grześ jest trochę zły na Ignasia: faktycznie Pan Trąbański przywiózł Agnieszkę golfem, nie spytawszy ojca o pozwolenie (oczywiście nie dostałby go i przecież to wiedział). I w dodatku równie samowolnie odjechał z nią, a jakże, ze słabym akumulatorem, podczas gdy my wszyscy byliśmy na plaży! Więc Grześ jest (stosunkowo) silnie podminowany i się szykuje do męskiej rozmowy z Ignacym, a tymczasem ja komuś wygadać się muszę – jestem szczęśliwa i pełna nadziei!

I nie tylko z powodu Ignasia.

Największą bombę zostawiłam Ci na koniec: zakochane Tygryski spodziewają się dziecka!!!!

Tak, nareszcie się doczekali. Laura już się oczywiście zamartwiała na zapas – a tu, proszę! Taka niespodzianka! Będzie – już jest! – małe Tygrysiątko, ach, jaka jestem go ciekawa! Tęsknię za tym, żeby je przytulić, stale będę je przytulać, już je kocham.

Proszę, znowu łzy wzruszenia mi kapią z nosa na cudzą klawiaturkę, je, jakże ohydny jestem kobietą, kończę natychmiast, zwłaszcza że Florek się kręci znacząco pod drzwiami swojego pokoju, nie mając odwagi mi przypomnieć, że to jego komputer. Wiesz, fajnie nawet, że tam nie masz zasięgu. Gdybyś miała, wygadałabym Ci się przez telefon i tyle. A teraz mam w swojej poczcie dokument chwili. Mam na zawsze zapisany ten szczęśliwy dzień. Po tatach

(jeśli jeszcze będzie w użyciu taki anachronizm, jak komputer) przypomnę sobie ten zapis, kiedy małe Tygrysiątko będzie przy mnie pakować tornister na I września, a pan Ignacy Grzegorz Trąbalski będzie dorosły, zrównoważony, spokojny, pewny siebie i nareszcie szczęśliwy, i już nigdy, nigdy nie samotny! – a ja będę staruszką z reumatyzmem... nie, przebóg, nie! Do tego nie dopuszczę. Idę na nocny spacer. I popływam. Trzeba o siebie dbać. „Gabuś, ja jednak muszę zajrzeć do poczty” – mówi nieśmiało mój szwagier.

Dobranoc! Gab.

Ach, ach, PS, PS! – Józek był, jak na niego, niesłuchanie miły i pomocny. Wyraźnie aprobuje Agnieszkę! (A to wiele znaczy!)

Może dlatego, że sam przeżywa (najwyraźniej) jakieś ważne chwile.

Lubię Twojego syna. Porządny gość.

14.

Pojechali w równym tempie przez Łubowo i Ignacy był z siebie zadowolony, bowiem wybrałszy znów drogę okrężną, podładowywał oto, tak umiejętnie, akumulator golfa. A w dodatku miał przy sobie taką miłą, inteligentną, przyjazną, emocjonalnie neutralną koleżankę. Dawno tak dobrze się nie czuł!

Agnieszka, która co jakiś czas wydzwaniwała bez rezultatu do matki, wyobrażając sobie coraz bardziej tragiczne scenariusze, wpadła wreszcie na to, by zadzwonić do siostry. Usłyszała w nagrodę krótki a dosyć kąśliwy komunikat, że mama jest właśnie w Nekli, przyjechała na niedzielę, przywożąc szokujące nowiny, hm, hm, i że poza tym wszystko OK.

Aga westchnęła z rezygnacją, ale też. poczuła pewną ulgę. Mamie nic się nie stało, a co do reszty... ech, za gorąco jest, żeby tym się martwić. Nie gadała dłużej, zwłaszcza że bateria się kończyła, schowała telefon do torebki i wysłuchiwała Ignasia, który właśnie miał nowy pomysł.

Będąc przezornym kierowcą, zatrzymał się, nie gasząc ani na moment silnika, na placyku przed narożną gospodą i przypomniał, że w pobliskim skansenie budownictwa wiejskiego jest przecież także zabytkowy kościółek drewniany z absolutnie pięknym ołtarzem barokowym i z siedemnastowiecznym obrazem i że należy, skoro już tu są, skompletować sobie zwiedzanie, zajeżdżając tam choć na chwilę.

– Dziekanowice. Wieś obok. Żabi skok! – powiedział zachęcająco, skręcając przy narożnej gospodzie. – Głupio byłoby tam nie wstąpić. No bo kiedy my tu znowu będziemy, w dodatku dysponując samochodem, czasem i pogodą? Jesienią muzeum się zamyka, aż do wiosny. Namawiam cię!! Powinno być jeszcze otwarte. Zabytkowe domy wiejskie, dwór, kaplica, kuźnia, zagrody olędarów, słowem prześliczne i pouczające miejsce.

– Dobrze. Pod warunkiem że będzie tam cień i coś do picia.

W kwadrans później jeszcze nie zdołali zaparkować przed bramą skansenu, na próżno jeżdżąc w tę i z powrotem: wszystkie miejsca były zajęte – grała kapela ludowa, odbywał się jakiś festyn. W końcu zostawili golfa nieco dalej, za skrzyżowaniem, na placyku pod figurą.

Doszli do skansenu na piechotę i Agnieszka już po drodze została oczarowana przez widoczne z tego punktu chaty ze strzechami, studnie i ogródki. Wielka drewniana chałupa z kasą znajdowała się na samym początku trasy, obok wejścia. Ignacy kupił tam bilety, a w bufecie dwie butelki wody mineralnej. Weszli dalej i z trudem znaleźli wolne miejsca przy stole. Ścisłej mówiąc, nie byliby ich znaleźli, gdyby nie dziwne zrządzenie losu: ledwie doszli, ledwie Agnieszka spojrzała, a już otwierana przez rumianego młodzieńca butelka z piwem trysnęła pienistą fontanną, zalewając mu spodnie i obryzgując koszulkę jego równie rumianego kolegi. Obaj się poderwali z grubymi słowy na ustach i zaraz ruszyli do toalety, by się doprowadzić do porządku.

Zostawili po sobie kałużę piwa oraz dwa przeciwległe miejsca przy stole.

Ignacy je szybko zajął, usiedli ze swoimi butelkami wody mineralnej, aż tu zadzwonił telefon w torebce Agnieszki.

– Właśnie się dowiaduję – powiedział sucho głos Tekli – że twój amant dostał po plecach sztalugą. No i dobrze. Przeżył?

– To nie jest mój amant! – zaprzeczyła Aga gwałtownie, lecz zaraz osłoniła usta dłonią. – Mama to kompletnie źle zrozumiała – powiedziała cicho do telefonu. – To kolega.

Odruchowo spojrzała na Ignacego, który natychmiast wstał od stołu i przeszedł kawalek dalej, pod drzewa.

– Akurat. Nie wypieraj się – zadrwiła Tekla.

– Dlaczego miałabym się wypierać? Pomyśl logicznie. Przecież i tak już zostaliśmy ukarani. Nic gorszego nie może mnie już spotkać.

– Bo ja wiem – zastanowiła się Tekla. – Może chcesz zachować twarz. Kto wie.

– A może to po prostu mama się myli? Nie pamiętasz, że to się jej czasem zdarza?

Tekla zaczęła mówić i w tym momencie bateria piknęła i siadła, a telefon zamilkł.

Aga wrzuciła do torebki ten irytujący i bezużyteczny sprzęt, a ponieważ miejsce Ignacego zostało właśnie zajęte przez starszą kobietę z dzieckiem na rękach, wzięła obie butelki wody i poszła do niego.

Stał pod drzewem poważny i zmartwiony. Spojrzał pytająco.

– Nic nie lepiej?

– Trudno powiedzieć – odparła, wciąż jeszcze zdenerwowana. – Chodźmy stąd, dobrze? – bo zdawało jej się, że wszyscy musieli słyszeć, co mówiła do Tekli, i teraz wyrzucała sobie, że to nie ona odeszła od stołu.

Ruszyli przez słoneczną płaszczyznę, a w miarę jak posuwali się naprzód, urok tego miejsca zaczął się przebijać nawet przez zły nastrój Agi. Malwy, ogródki, strzechy, ciosane krokwie, okiennice, studnie z żurawiami. Budynki gospodarcze z belek, domy z kłód, okienka, ławeczki na przyzbach, drewniane ściany spłowiałe na kolor popiołu albo piasku.

– Chełmoński! – mruknęła Aga.

Zwolnili kroku. Ignacy zwrócił jej uwagę na sposób, w jaki rozmieszczono tu stare wiejskie domy, pozwożone z całej Wielkopolski.

Na planie owalnicy. Wydłużony plac pośrodku, a w centrum kościół. Tak kiedyś budowano wsie.

– Czujesz, jaki spokój tu panuje?

– Tak. Duża przestrzeń to sprawia.

– Nie, nie o to chodzi – powiedziała Agnieszka. – Tak samo byłoby na mniejszej przestrzeni. Stań przez chwilę bez ruchu i popatrz, i wczuj się w to. To po prostu jeden dom oddziałuje na drugi, jakby z nim rozmawiał. Coś dobrego tu się dzieje. Ta przestrzeń jest przyjazna, to pewnie kwestia proporcji.

– Bo te domy budowano z poczuciem miary, z wrodzonym smakiem. Nie znajdziesz tu nic, co byłoby kiczowate. Z wyjątkiem może miejskich oleodruków albo fabrycznych makatek z jeleniem. Co sami robili, to było pomysłowe i piękne. Może dlatego, że oparte na funkcji, dlatego przemyślane. I pełne prostoty.

– Jest coś jeszcze – upierała się Aga. – Coś nieuchwytnego. Ciepło? Przecież robili to wszystko dla swoich, dla bliskich. Dom dla żony i dzieci. Dla sąsiada. To dlatego też te chaty są piękne, przytulne, na ludzką miarę, chociaż takie biedne i skromne.

Weszli razem z grupą zwiedzających do chaty i teraz Aga stała w niskiej bielonej izbie, patrząc na łóżko ze spiętrzonymi poduszkami i stojącą tuż obok, w zasięgu ręki, malowaną kołyskę na biegunach, z haftowaną pościółką i nawet z drewnianą grzechotką domowej roboty. Nad łóżkiem wisiał święty obraz, obok – ślubna fotografia.

– Nie powinno nas tu być — szepnęła, patrząc na zwiedzających ludzi. – To nieprzyzwoite. Weszliśmy do czyjegoś domu, nieproszeni, wpakowaliśmy się w cudze życie.

Oglądamy ich kuchnie, ich naczynia, ich kołyski. Ich intymność. Pod ich nieobecność. Jakim prawem?

– To jest muzeum.

– Właśnie. A my sobie zwiedzamy te ich opuszczone domy. I nikt ich nawet nie pożałuje, przecież odeszli po ciężkim życiu, przecież to nie była idylla. Wiek osiemnasty, dziewiętnasty, tak? Pomyśl, co im zafundowała historia.

– O, myślę o tym – zapewnił ją Ignacy.

– Tak też dziwnie się czuję, kiedy mieszkam u Tekli. Ona kupiła czyjś biedny, wiejski domek sprzed stu lat i rządzi się tam, rozpycha, i nawet nie pomyśli o poprzednich właścicielach. A przecież oni tam, w jakimś sensie, są. I tutaj są, na pewno, czuję to. Wstyd mi. Nie mam takiego uczucia zawstydzenia, zwiedzając inne miejsca. Na przykład Muzeum Secesji w Płocku. Zupełnie. Srebra, mahonie, palisandry, koronki, aksamity, szkło Galie. Ale tu...

– Tak, tu – to coś innego.

– Byli biedni, ciężko pracowali. Tak mało ich dzieliło od przyrody, od ziemi. Od nieba. Musieli być dzielniejsi, bardziej wytrwali, bardziej uważni. Popatrz na ich sprzęty, narzędzia, które sami robili, popatrz, jakie to wszystko mądre i pomysłowe. Popatrz na te naiwne obrazki i rzeźby. Widzisz, jacy byli pracowici? Jacy zacni, prostoduszni. Jak łatwo ich było krzywdzić i oszukiwać. Tyle zawiedzionej ufności i zmarnowanej miłości! A my tu sobie zwiedzamy!... A to dziecko z kołyski... jak ono... co z nim... Nie, nie mogę na to patrzeć, chce mi się płakać. Wychodzę.

I naprawdę wyszła, ocierając oczy, pod uważnym spojrzeniem pani przewodniczki, która wyprowadzała na zewnątrz grupę zwiedzających.

Ignacy zaraz ją dogonił i szedł z nią w milczeniu, widząc, jak bardzo jest rozstrojona. Oczywiście, mógłby wspomnieć, że przedmioty codziennego użytku, meble, kołyski, obrazki, fotografie zgromadzono tu dość przypadkowo, że wcale nie musiały należeć do tych konkretnych domów, w których je wyeksponowano. I że te chaty nie były z pewnością ani takie śliczne, ani takie czyste, kiedy je tu zwożono, belka po belce. I że także ludzie, którzy w nich mieszkali, na pewno nie byli tak idealni, jak jej się zdaje. I tak dalej. Ale po namyśle doszedł do wniosku, że ona mimo wszystko miała swoją rację i że jego sprzeciw mógłby jeszcze pogorszyć sprawę i dodatkowo zdenerwować wrażliwą koleżankę. Miała za sobą, jak by nie było, ciężkie przejścia.

Szli przez ten wielki teren w ciężkim upale, od zagrody do zagrody, aż dotarli do takiej, której trawiaste zaplecze ocienione było przez wielką stodołę. Pod rozległą kępą drzew widniała tu duża studnia z żurawiem. I tam skręcili, bo Agnieszka powiedziała, że trochę jej słabo.

Usiedli nareszcie w cieniu, na długiej ławie pod sucho pachnącą ścianą z ciemnych bali, obok rządka różowych i białych malw. Napili się wody ze swoich butelek. Pomilczeli.

– Przepraszam za histerię – powiedziała Agnieszka po dłuższej chwili ciszy.

– Sam bym sobie chętnie po histeryzował – rzekł pocieszająco Ignacy.

– To przez ten upał.

– Nie, nie tylko.

– Nie tylko. Czasem nie mogę tego wszystkiego wytrzymać.

– Jak każdy. Wiesz, życie wymaga męstwa. Nie uwierzysz, ale tego głównie się uczę na historii sztuki. To jest historia ludzkiego męstwa. Wiedzieć, że wszystko, co robimy, i tak skończy się przegraną, a jednak, wbrew temu, tworzyć piękno! Po nic! Po to, żeby zachwycało...

– „...do pracy. Praca – by się zmartwychwstało!” – odpowiedziała Agnieszka.

– Norwid. Tak, wiem. Lubisz wiersze, ale nie wszystkie. Nie można lubić, hm, wszystkich.

– Nie idźmy już dalej, dobrze? – poprosiła Agnieszka słabym głosem. – Tu jest najlepiej, spokojnie i nawet jakby chłodniej. Widać stąd inne zagrody i kościół. Kwiatki pachną.

– A my sobie siedzimy na przyzbie.

– Ach, to właśnie jest przyzba?

– Tak jest. Usypana naokoło domu. Przy podmurówce. Bardzo pomysłowy wynalazek.

– Poczekajmy tu sobie do zachodu słońca.

– Bardzo chętnie. Dobrze mi się z tobą siedzi – wyznał Ignacy. – I rozmawia. I nie rozmawia. I pije wodę.

– I nie pije wody. Już się skończyła.

– A to skoczę, kupię. Posiedź tu grzecznie. Nie uciekniesz?

– Nie.

– Nie znikniesz?

– Też nie. W ogóle, nic nie zrobię. Nie jestem w stanie.

Ale kiedy zgrzany Ignacy wrócił pędem po piętnastu minutach, niosąc dwie duże butle wody, pudełko ciasteczek oraz dwa batoniki, zobaczył, że Agnieszka jednak coś była w stanie zrobić: zdjęła kapelusz i sandałki, położyła się wprost na trawie, w głębokim cieniu, i twardo zasnęła.

Usiadł więc na przyzbie, wyjął swój telefon i wszedł na polona.pl, bo lubił sobie przeglądać stare czasopisma kulturalne.

Niech sobie biedna pośpi.

Czytał spokojnie. Wokół zalegał ciężki jak pierzyna upał, ale cienie się wydłużyły. Słońce powoli opuszczało skansen. Tak też i zapewne zwiedzający, bo oddalony gwar z wolna zacichał, co człowiekowi czytającemu mogło w tej sytuacji sprawić wyłącznie przyjemność. Drzewa lekko szumiały, cykały świerszcze i miło było raz po raz spojrzeć sponad tekstu na śpiącą w trawie koleżankę. Wyglądała trochę jak gimnazjalistka, którą jeszcze tak niedawno była, a trochę jak tajemnicza boginka leśna o harmonijnych doprawdy liniach ciała. Jedną rękę miała wyciągniętą przed siebie, na jej ramieniu ułożyła bokiem głowę. Jej twarz była czysta i zamknięta jak książka o pięknej obwolucie i zagadkowej treści. Brązowy motyl przyleciał z daleka i wylądował precyzyjnie na jej kolanie. Mądrała.

15.

Obudził się dosyć zdrtwiał, a także przestraszony, bo śniło mu się, że ktoś go całego skrępował i teraz mu wstrzykuje truciznę do szyi.

Jak się okazało, na karku posilała mu się krwiożercza samica komara. Samica z całą pewnością. Komary samce nie są krwiożercze. Tak, tak. A leżał na tej samej przyzbie, na której uprzednio siedział. O niebios! Cały zdrtwiał.

Powstał koślawo, jedną ręką trzymając się za kręgosłup w punkcie lędźwiowym, a drugą drapiąc się zażarcie po szyi. Już tam był jeden bąbel! I to jaki! Ciekaw był, co Wszchemogący miał na myśli, stwarzając komary.

Wokół panowała cisza. Lekki liliowy zmierzch zacierał kontury wiejskich chat, strzech, przyzb i stodół wraz z oborami. Na niebo wyszedł właśnie nad horyzontu wielki ciemnożółty księżyc i Ignacy przez dłuższą chwilę kontemplował krajobraz, usiłując wytropić układające się, jak na obrazku Agnieszki, koncentryczne kręgi poświaty. Ale na to było jeszcze za jasno, a księżyc nie świecił o tej godzinie. Ćmił tylko złotym, stłumionym blaskiem lampionu, jakby był rozżarzony od środka.

Nadal było gorąco. Aga wciąż jeszcze spała na trawie. Ależ ich zmorzyło! No tak, ostatnia noc na Jeźycach nikomu nic pozwoliła zmrzyć oka. Dla niego była to już druga okazja do spania poza łóżkiem, i to na czymś zdecydowanie za twardym. Mógł więc mieć już zupełną, potwierdzoną pewność, że nie był stworzony na turystę. Ani na żołnierza. Ani na

trampa. Ani na leśniczego. Ani na kowboja. Ani na autostopowicza. Sam nie wiedział, na kogo i po co został stworzony, nota bene w tym samym zapewne potężnym akcie kreacji, co komar. I komarzyca.

Księżyc był tak piękny, że Ignacy postanowił pokazać go Agnieszce. Zresztą, nie powinna chyba spać po zmroku na gołej ziemi, to niezdrowo. Chciał ją zawołać, ale nie miał odwagi krzyknąć w tej wielkiej ciszy. Lepiej potrząsnąć ją za ramię, pomyślał i pochylił się nad śpiącą.

Nie, nie. Nie miał również odwagi wyrwać jej ze snu tak brutalnie. Potrząsać nią i tak dalej. Spała tak spokojnie, snem niewinnym i głębokim. Ale nawet gdyby nie spała, nie odważyłby się jej dotknąć. Otaczało ją jakieś pole magnetyczne, chronił ją niewidzialny pas ochronny, tak że nawet przez sen udawało się jej utrzymać ten swój wytworny dystans.

Kręgosłup go bolał jeszcze bardziej, kiedy tak się pochylał. Więc przyklęknął na jedno kolano. Ale nadal było mu niewygodnie, więc użył drugiego i w tej pozycji rozpląszczył sobie na czole komarząc tak morderczym plaśnięciem, aż mu gwiazdy stanęły przed oczami.

Jakąż zagadką jest kobieta!! – pomyślał w tym nagłym olśnieniu.

Z tej odległości twarz uśpionej koleżanki roztoczyła swe spokojne piękno jeszcze wyraźniej. Zdawało się, że z całej okolicy to ona właśnie, i tylko ona, przejmuje i odbija księżycową poświatę. Była jasna, gładka, nieruchoma i pełna tajemnic. Białe powieki kończyły się ciemnymi półksiężycami rzęs, szczyty policzków świeciły srebrzyście, wypukłe usta podkreślone były cieniem. Pod ładnym, wysokim czołem działały się oczywiście te wszystkie zwyczajne cuda: przepływały myśli, wspomnienia, pojedyncze ich skrawki i całe skoordynowane ciągi. Uśpiona jej świadomość konstruowała nowe systemy skojarzeń i produkowała tak zwane marzenia senne. Ignacy był całkiem abstrakcyjnie – ciekaw, czy jest w nich choć odrobina miejsca dla niego.

Być może tak było! Kiedy bowiem białe powieki nagle się uniosły, wzrok Agnieszki nie wyrażał żadnego zaskoczenia, tak jakby oglądała ciąg dalszy swojego ostatniego snu.

Patrzeli sobie w oczy przez długą chwilę. Milczeli.

Nagle jej spojrzenie się wyostrzyło, znikł wyraz rozmarzenia, a pojawiła się czujność.

– Czy ja znów zemdlałam? – spytała rzeczowo.

– Tego nie wiem na pewno. Przyjąłem, że po prostu śpisz – rzekł Ignacy – bo nie zdejmuję się butów przed zemdleniem. Ani tym bardziej kapelusza. Dlaczego powiedziałem: tym bardziej? To nielogiczne. Ale powiedz, czy coś ci się śniło? Jeśli tak, to na pewno nie zemdlałaś. Przecież podczas omdlenia świadomość jest całkowicie wyłączona, prawda?

– Śniło mi się... – powiedziała Agnieszka – ...tak, coś mi się śniło... To samo, co wczoraj. Tylko inaczej namalowane.

Ignacy odczuł coś w rodzaju rozczarowania. Dlaczego? Skarcił sam siebie. Miała przecież prawo śnić sobie, co jej się żywnie podobało.

Nastąpiła długa chwila ciszy, po czym Agnieszka odezwała się cicho, wciąż leżąc i świecąc oczami:

– Chciałabym ci kiedyś namalować portret.

– Namalować i nie pokazać?

– Sama nie wiem – szepnęła i zapadła w dziwne milczenie.

I nagle podniosła się na łokciu.

– Ale to jeszcze nieprędko – powiedziała trzeźwo. – Która godzina?

Ignacy spojrział na telefon.

– Wpół do jedenastej.

– O, chyba czas wracać. Wieczór.

– Zaspaliśmy.

– Chętnie bym się umyła. Jak myślisz, czy jest woda w tej studni?

– Może. Jest w każdym razie wiadro, widzisz?

Ale drewniany ceberek był tylko elementem scenografii. I chociaż żuraw działał aż miło, w tej studni nie było wody, co Ignacy stwierdził, odsuwając ciężką jej pokrywę, a następnie wrzucając w głąb kamień, który po jakimś czasie stuknął głucho o dno, miast wywołać plusk.

– Wciąż mi się wydaje, że jestem w obrazie Chełmońskiego – odezwała się półgłosem Agnieszka, trzymając dłoń na belce żurawia. – Co za czarodziejskie miejsce.

Ignacy spojrzał na nią, zasnuwaną przez zmierzch, całą białą, z czarną głową i garbatym noskiem, i powiedział:

– Tu to jest raczej Malczewski. Pięknie tak wyglądasz. Z tą ręką, studnią i tak dalej.

Umilkł, zapatrzył się i ani mrugnął. Agnieszka też milczała.

Księżyc świecił coraz mocniej.

Przemknął bezgłośnie nietoperz.

I nagle czar prysł: zadzwoniła kieszonka Ignacego.

Oboje drgnęli, jak przebudzeni. Ignacy wyjął rozdygotaną komórkę, a Aga wbiła w nią spojrzenie. On też spojrzał – na wyświetlacz: Magdusia! Znowu!

Serce mu się panicznie ścisnęło i pewnie dlatego dziwnie i nagle zdrętwiały mu palce, jakby przebiegł przez nie rządkiem mrówek, a wszystkie kasały. Wydał cichy okrzyk i wypuścił telefon.

On też nie plusnął. Jednak nawet nie spowodował stuknięcia, gdy spadł na dno studni: był płaski i bardzo lekki. Ucichł. Ale tylko na chwilę, zaraz zaczął tam dzwonić na nowo.

Ignacy gwałtownie nakrył studnię ciężką pokrywą i już nic nie było słychać.

16.

– W piwnicy mam jeszcze dwie naftowe – powiedziała Patrycja, omiatając spiżarnię snopem światła z latarki ręcznej. – Lubię mieć zapasy wszystkiego. I proszę, jak to się w razie czego przydaje. Na wsi, Szymciu, trzeba być gotowym na absolutnie każdą sytuację. Aha, a w szafce, w łazience, znajdziesz taką lampkę turystyczną z diodami. Baterie są u wujka w szufladzie. Paluszki.

– Dobrze, idę – rzeki Szymon. – Ciociu, jak myślisz, to się zaniósł na dłużej?

– Bo ja wiem.

– Zaraz mi się rozładuje iPad.

– Przeżyjesz to. Wyłącz go najlepiej, McKlocek poczeka. Poczytasz sobie książkę. No leć, poroznoś lampy po pokojach. Dziadkom daj tę na baterie.

– A w namiocie czym sobie poświecimy?

– Tym, co zwykle, u licha! Latarką.

– Ale strasznie ciemno wszędzie... nawet na szosie.

– Tak, to chyba jakaś wielka awaria. Pewnie włączą dopiero jutro.

– Ciociu, a możemy rozpalić ognisko?

– W żadnym wypadku! Jest zakaz. Zagrożenie pożarowe. Wiesz co, wezmę jeszcze te lampy z piwnicy, postawię wam na ganku. Mam nadzieję, że nie podpalicie mi domu, koło lampy naftowej trzeba chodzić na paluszkach i na pewno nie grać w piłkę.

– Masz mnie za dziecko, ciociu, czy jak?

Poszedł.

Rzeczywiście, ciemno było wszędzie absolutnie. Musiało coś nieźle walnąć. Patrycja popatrzała z ganku, popatrzała z ogrodu, wyszła nawet na drogę ku szosie nigdzie ani światełka. Gdzieś daleko rozległ się w egipskich ciemnościach sygnał karetki pogotowia. Zaraz potem od strony Pobiedzisk dała się słyszeć gruba, potrójna syrena remizy, zwołująca strażaków. Albo się u kogoś paliło, albo był wypadek na szosie.

Ale poza tym – cisza. Powietrze jak ciepła zupa. Wielki księżyc świecił tak mocno, że na trawniku kładły się cienie drzew i kwiatów. Pachniały lilie Casablanca.

Za Patrycją zachrząścił żwir i zaraz poczuła ramię Florka, obejmujące ją w pasie.

- Przytul się, Pulpeciku, będzie ci raźniej.
- Mnie już jest raźno! – Ale się przytuliła.
- Co za księżyc! Czy mi się zdaje, czy to dziś noc Perseidów?
- Chyba dwunastego albo trzynastego, nie dziś.
- Ale już jakieś będą. Musimy poobserwować. Księżyc przeszkadza, ale za to nie ma żadnych świateł. Popatrzmy – będzie doskonała widoczność.
- Dobra myśl. Noc gorąca, położymy się wszyscy i będziemy patrzeć w niebo. Małym Rojkom będzie raźniej. Chyba troszkę się dziś boją spać w namiocie. Zawsze im zostawiałam na noc światło na ganku.

Poszli po koce, rozłożyli je na stygnącym trawniku, zwołali rodzinę, a jak się już do tego zabrali, to na całego, z serdecznością i rozmachem: Florian naznosił poduszek dla dziadków, przyniósł koszyk jabłek i lornetkę. A Pulpecja przybyła z talerzem domowych krówek. Przyniesiono też specjalnie pudełko ciasteczek owsianych, zastrzeżone tylko dla dziadka (niechętnie się nimi dzielił). Wreszcie zapalili dwie spirale antykomarowe i wszyscy przystąpili do obserwacji, kładąc się pokotem na wznak, twarzami do wschodniego nieba.

Było ogromne, granatowe, głębokie i cudownie migotliwe.

- Widzę satelitę! – odezwał się Jędrus w ciemnościach.
- Ja pierwszy go widziałem odparł Szymon obojętnym tonem, chrupiąc jabłko.
- Tylko nic nie mówiłeś, co?
- A pewnie.

Chłopcy, spokój – odezwał się głos Roberta Rojka. – Jak się nikt w okolicy nie spiera, to lepiej widać.

- Naprawdę?
- Na pewno jest przyjemniej.
- Kiedy się tak leży wprost na ziemi – zauważył dziadek, poprawiając sobie poduszkę pod głową – czuje się, jak od niej bije chłód. Daj rączkę, Milu. O tak.
- Widzę zwrotnik Raka! – oznajmił Jędredek.
- Nie widzisz.
- To co to jest?
- Zależy które.
- Pamiętam, że tak właśnie leżałem na łące w Michaliskach. Tak samo pachniały trawy, zupełnie tak samo. I widziałem to samo niebo, Milu. I, co więcej, miałem to samo uczucie: że jestem pyłkiem.
- Ja też mam to uczucie, dziadziu – rzekł prędko Jędrus.
- A ja... A ja też – powiedział Szymon.
- Najwyraźniej nawet Mickiewicz je miał – pocieszył wnuków dziadek. – „Panie, czym jestem przed Twoim obliczem? Prochem i niczym”⁹ – zacytował dźwięcznym tenorem retora.

Przez chwilę wszyscy leżeli w milczeniu, wpatrując się w nieboskłon. Dziadek stęknął cicho i z nagłą decyzją sięgnął po ciasteczko owsiane, wydobył je, chrząszcząc celofanem, a następnie schrupał je powoli, z filozoficzną zadumą.

- To dlatego mam kłopot z pacierzem – zauważył Jędredek.
- Masz kłopot z pacierzem? – zainteresował się Florian.
- Tak, wujciu.
- A ja nie – rzucił Szymon.
- A ja tak. Wciąż myślę o czymś innym, wujciu. I dlatego muszę zaczynać na nowo. Jedno „Ojcze nasz” mówię godzinę.
- To prawda – przyświadczyła Matalia. – To się już robi dziwne.

⁹Adam Mickiewicz, *Dziady*

– A skąd – rzekł Florian. – Jakie tam dziwne. Nie znasz się na chłopakach, Natalio. Ja też tak kiedyś miałem. Nie żebym myślał o czymś złym...

– To tak jak ja! – ucieszył się Jędrzek.

– Zwyczajnie nie mogłem się skupić. Blokada.

– Właśnie, wujciu. I potem się tak przestraszam. Ten kosmos! Czemu to jest takie duże?! A ja jestem właśnie takim małym, zupełnie małym pyłkiem.

– Tak, tak, to jest to. Kiedyś opowiedziałem o tym jednemu zakonnikowi – wspomniał Florian. – A on mi na to: ja też tak mam!

– Poważnie?

– Poważnie. I powiedział mi, że przyczyną takiej blokady jest poczucie winy. Skrupuły. Ciągłe ci się zdaje, że nie dość dobrze się zwracasz do Wszechmocnego. I ten zakonnik znalazł na to sposób.

– Jaki?

Pomyślał sobie: czego ja się boję, przecież Bóg jest moim Ojcem. I powiedział po prostu: Tato, przepraszam. Popatrz, jaki jestem malutki, słaby, roztargniony, jak mi myśl ucieka. Ale przecież mnie kochasz, prawda? Pomóż mi, proszę.

– I pomógł mu?

– Od razu. Jędrzek umilkł.

– To jest niezłe – powiedział wreszcie. – I łatwe. Jak do taty!

– Tak, dla ciebie łatwe. Ale ja taty nie miałem.

– Ale spróbowałeś, wujciu?

– Tak.

– I pomogło?

– Tak. Raz na zawsze. Potem w ogóle miałem różne trudne chwile. Ale zawsze wiedziałem, co mam zrobić. Jak do taty, pamiętaj.

– OK, dzięki za radę.

– Proszę bardzo.

– A ode mnie, Jędrusiu, rada jest następująca – wtrącił dziadek. Zainteresuj się poezją. Ucz się na pamięć wierszy. Wiele modlitw pisano wierszem. Ale też wiele wierszy to modlitwy. Wasza babcia mi ostatnio pokazała kilka wybitnych exemplów z poezji nowszej. Czasem, żeby zniweczyć chwilowy impas, wystarczy powiedzieć sobie po cichu coś takiego, posłuchaj:

„*Władco i mistrzu piękna, cyzelatorze śnieżnych płatków, Niezrównany wymyślaczu rzeczy...*”¹⁰

Zaplanowany przez dziadka nastrój poetyckiej refleksji został natychmiast zaburzony.

– Widzę go! Leci! – Wystrzelił w powietrze Jędrus. – Tam, tam, patrzcie, szybko! – Machał rękami, wskazując odcinek nieba na wschodzie.

Rzeczywiście, przemknęła tam delikatna świetlista kreska, szybki błysk. A zaraz drugi i trzeci.

– Cały deszcz!

– Milu, jakie to piękne. Widzę to po raz pierwszy w życiu, to aż nie do wiary.

– Znowu!!! – wołał Jędrzek. – On nam to chyba specjalnie przysyła.

Te, pyłek, nie bądź zarozumiały – zgasił go Szymon.

– Przecież jest moim tatą. Tata by mi przysłał.

– A pewnie – rzekł Robert i przytulił syna.

– Ciekawa jestem – szepnęła Gabriela, leżąc obok męża – czy Ignas też to widzi w tej chwili.

¹⁰Fragment wiersza Johna Berrymana, *Jedenaście zwróć się do Pana Boga*, w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka

17.

– Chyba widziałem spadającą gwiazdę – powiedział Ignacy Grzegorz Stryba, zatrzymując się na drodze i patrząc uważnie w roziskrzone niebo. – O, popatrz, druga!

– Perseidy. To jest ta pora. Jest dziwnie ciemno, prawda?

– To dlatego w ogóle je widzimy. Zwykle przeszkadza nam elektryczność.

– Czyli co, nie ma elektryczności?

– A wiesz, że chyba masz rację. Popatrz, nic nie świeci.

– W ogóle, wszystko jakieś wymarłe. Czy to jest możliwe, że wszyscy sobie już poszli?

– To jest możliwe, Agnieszko. Spaliśmy jak zaczarowani.

– I zamknięto nas tutaj na noc?

– Zobaczymy. Wszystkie obiekty rzeczywiście są pozamykane. Dojdźmy do tej kasy przy wejściu, tam jest chyba jakieś biuro, informacja albo coś. Dlaczego ja nie sprawdziłem, jakie są godziny otwarcia skansenu?

– Bo wydawało ci się, że idziemy tylko zobaczyć kościółek. To moja wina, spałam tak długo.

– Przecież ja też zasnąłem.

– Ale że też nas nikt nie zauważył!

– Spaliśmy za stodołą. Przed zamknięciem wszystko pewnie obchodzą, wypraszają zwiedzających z pomieszczeń, ale za stodołę nikt nie zajrzał, zakład, że nie chciało się im dużo chodzić w ten upał?

Szli dalej z osobna, milcząc, każde z dużą, niebiesko prześwitującą butelką wody mineralnej, która cichutko a upiornie chlupała, chlupała i mlaskała w rytm ich kroków.

– Trochę mi tu nieswojo – szepnęła Agnieszka.

– To wyobraźnia – pocieszył ją Ignacy, który sam bał się obejrzeć na boki i z pewnym wysiłkiem panował nad głosem.

– Myślę sobie o nich wszystkich...

– Nie myśl – przerwał jej Ignaś, któremu po plecach przeleciał zimny dreszcz. – Jak to dobrze, że już tu bywałem, że znam plan skansenu i że droga jest taka prosta. Idziemy teraz środkiem wsi, kierujemy się w stronę wyjścia. Nie możemy zabłądzić, zwłaszcza że świeci nam księżyc.

W istocie, świecił im. Komarzyce doskonale ich dzięki temu widziały i ich ataki miały charakter precyzyjny. Lecz o ile z nimi Aga uporała się szybko, wydobywając ze swej torebki poręczny rozpylaczyk z OFFem, którym zrosiła i siebie, i Ignacego, o tyle na nietoperze, jak się zdawało, rady nie było. Przemykały nad nimi z cichą obrzydliwością, szybko a podstępnie, i Ignacy musiał użyć całej dostępnej mu siły woli, by nie wznosić trwożliwych okrzyków za każdym razem, gdy zębaty upiórek z naturalnym radarem w głowie pojawiał się nad nimi, na tle gwiazdzistego nieba. Widocznie pełno tu było tych stworzeń, pod starymi strzechami i na drewnianych stryszkach.

Na szczęście wszystko ma swój koniec.

– O, już mamy blisko. To jest – rozpoznał Ignacy w świetle księżycy – ta chata, w której byliśmy. Poznaję po płaskim kamieniu przed progiem. Tu z niej wybiegłaś i mówiłaś o tej zmarnowanej miłości.

– Nie pamiętam tego.

– Tak. O zawiedzionej ufności i zmarnowanej miłości.

– A tak, prawda.

– Mam w tej sprawie coś do powiedzenia – oznajmił Ignacy, zatrzymując się i stając twarzą w twarz z Agnieszką i wznosząc palec wskazujący w swym ulubionym geście wykładowcy. Księżyc oświetlił zarówno ów palec, jak i twarz Ignasia, a także nie pominął

nietoperza nad jego głową. – Otóż, uważam, że miłość nigdy nie jest zmarnowana. Owszem, można zawieść ufność. Ale nie da się zmarnować miłości.

– Ty chyba nie znasz życia – sucho powiedziała Agnieszka. – Jak myślisz, co się stało mojej mamie?

– Hy...!? – zatchnął się Ignacy i aż drgnął mimo woli, słysząc o jej mamie. To był odruch warunkowy, powiedział sobie. Tylko spokojnie.

– Dlaczego jest tak zrozpaczona? Dlaczego tak cierpi? Dlaczego, w końcu, popija? Bo kochała na próżno.

– Tak, rozumiem. Niewątpliwie. – Ignacy zdobył się mimo wszystko na humanitarną wyrozumiałość, lecz przy tym nerwowo poruszył łopatkami, pomiędzy którymi poczuł reminiscencyjne mrowienie. – Ale przecież nikt nie kocha na próżno. Miłość nie może się zmarnować, rozumiesz? Ona była i jest, i będzie.

– Zamieniła się w gorycz!

– Nie, co ty mówisz. To zawiedziona ufność zamieniła się w gorycz. Wiem, bo to właśnie przeżywam. Staram się tylko to zamienić w coś innego, w coś mniej destrukcyjnego niż gorycz. A zarazem wcale nie czuję, że – że – że – ktoś – zmarnował... mi cokolwiek. – Mówisz o Magdusi, prawda? – Aga odważyła się wreszcie użyć tego imienia.

– Mniejsza z tym – uciął Ignacy, który nie zamierzał już używać tego imienia.

– Przepraszam.

– Proszę bardzo. Tak czy inaczej – ostatecznie, zważywszy wszystko, dobrze jest kochać kogoś. Dobrze jest mieć w sobie miłość, rozdawać ją i nie czekać na zyski, i nie bać się strat. Miłość jest wieczną siłą, energią, która krąży. Przechodzi od człowieka do człowieka, odradza się. Ona naprawdę, jak to ktoś trafnie ujął, mnoży się, kiedy się ją dzieli.

– A co z bólem?

– Z bólem?

– Z tym, który przychodzi w miejsce po miłości. Ja to widziałam dwa razy, u mamy i u siostry. Wtedy się cierpi.

– Tak. Rozumiem. Nie wątpię, nie wątpię – rzekł Ignacy oględnie. – Ale miłości – wiesz, MIŁOŚCI jako takiej to nic a nic nie szkodzi. Miłość JEST.

– Tylko dlaczego jest jej tak mało? Dlaczego nie starcza dla wszystkich?

– A nie starcza?

– Sama nie wiem.

– Ja też nie wiem. Chyba jest jej pod dostatkiem, jak powietrza i światła, i dla każdego starczy, ale nie wszyscy umieją po nią sięgnąć, nie umieją się z nią obchodzić. Może zbyt się jej boją. Zastanawiam się, czy to jest możliwe, że lęk ją wyklucza. Nie, chyba nie, on ją tylko odsuwa, gdzieś poza zasięg. Na jakąś odległość – którą przecież można pokonać, jeśli się tylko chce. Jeśli się ma odwagę.

– Odwagę, żeby cierpieć?

– Odwagę, żeby żyć naprawdę.

Ruszyli dalej w zamyślonym milczeniu. Szeroką drogą pomiędzy ciemnymi, posrebrzonymi od góry sylwetkami chałup doszli wreszcie do początku ekspozycji.

Pusto tu było, nigdzie żywego ducha. Cisza panowała zupełna, tylko gdzieś szczekał – aksamitnie i basowo – samotny pies. Ciepłe powietrze niosło jego ujadanie z bardzo daleka, czyste i wyraźne. Słysząc też było od czasu do czasu odgłosy ruchu drogowego szosa na Poznań była całkiem niedaleko. Z miękkiem, rytmicznym stukotem przejechał odległy pociąg – jechał długo i wreszcie zacichł w oddali.

Brama skansenu była zamknięta, a na chałupie, w której mieściła się kasa i informacja turystyczna, migiała czerwona kropka.

– Jednak jest światło! – zauważyła Aga.

– Włączony alarm. Ma własne zasilanie awaryjne. Na wszystkich płotach są pewnie czujniki, na bramie też, oczywiście. Ja się na tym nie znam. To zaraz będzie wyć pod niebiosą. Lepiej usiądźmy spokojnie i czekajmy, aż ktoś przyjdzie.

– A gdyby tak zadzwonić na policję albo do biura ochrony?

– Chcesz, to dzwoń. Mój telefon jest w studni.

– A mój się wyładował!

– No widzisz. Nie mamy łączności ze światem. Jesteśmy jak na bezludnej wyspie. Tak czy inaczej... dokąd nam się spieszy? Poczekamy do rana. Jest ciepło. Nawet mamy co jeść i pić.

– Patrz, patrz, znów gwiazda spadła!

– Nie widziałem, za szybko lecą. A ja jak zwykle za niczym nie nadążam – westchnął Ignacy.

– Możemy sobie spokojnie poobserwować. Co roku chcę obejrzeć noc Perseidów, ale ostatecznie zawsze niebo jest zachmurzone. Dziś nam się udało! I do tego jeszcze – brak prądu.

– Właściwa noc będzie z dwunastego na trzynastego. Śmieszne.

– Co takiego? – spytała Aga ze zdziwieniem.

– Że spotkaliśmy się po latach i ja ci wszystko opowiadam.

– Właściwie nic mi nie opowiedziałeś.

– Nie? A mam wrażenie, że wszystko. Czuję się tak, jakbym zrzucił ciężar z serca.

Umilkli nagle. Nie porozumiewając się, usiedli naprzeciw siebie przy stole. To zabawne, zaobserwował Ignacy: usadowili się na tych samych miejscach, co przedtem, choć tym razem mieli do dyspozycji wszystkie inne.

Powiedział to Agnieszce.

– Przyzwyczajenie jest drugą naturą – odrzekła z uśmiechem.

– Ale kiedy my się zdążyliśmy przyzwyczaić?! Zajęliśmy wtedy miejsca dosłownie na minutę.

– Ale teraz, odruchowo, siedliśmy po prostu przy „naszym” stole. Każde na „swoim” miejscu.

– Na to wygląda. Dziwne!

– Mnie to nie dziwi – powiedziała chłodno Aga. – Takie odruchowe przywiązania – co ja mówię, wszystkie przywiązania wynikają z tego samego: czujemy się obco w tym nieskończonym Wszechświecie, Ziemia się nam stale kręci pod nogami, nasze życie ucieka, boimy się, chcemy się czegoś uchwycić. Czegoś stałego. Łapiemy się swojego stołu, swojego miejsca, swojego domu, łapiemy się swojego człowieka. Ale to niczego nie zmienia.

– Naprawdę tak myślisz?!

– Niczego nie zmienia. Niczego.

Po tej nieco cierpkiej uwadze zapadła cisza. Księżyc świecił jak wielki reflektor. Ziemia pachniała. Błyskając, bezgłośnie spadały meteoryty. Zamyślony głęboko Ignacy siedział na ławce, patrzył w niebo, stukał palcami w blat stołu i nieświadomie poświsztywał jakąś melodyjkę.

– Jakąś?! – Aga aż się wyprostowała, zaskoczona. Znała ją na pamięć!

Ależ tak! To była jej stara piosenka o wiśniowych kolczykach.

12 sierpnia, poniedziałek

1.

Po iście afrykańskiej nocy nastał stosunkowo subtelny świt, lecz wszystko wokół zapowiadało rychły koniec tej ułudy. Kolejny dzień morderczego upału właśnie się wylęgał.

Ignacy Grzegorz Stryba, znękany strasznym snem (zamknięty w skrzyni z zatraskiem, całkiem zdrętwiały, pogrążał się stopniowo w czarnej otchłani oceanu), ocknął się z nagłą i podniósł głowę, by zaraz się przekonać, że znajduje się na wolnym powietrzu, a nie w wodzie, że jest jasno, a nie ciemno, że znów na siedząco przebył noc i że nadal jest całkiem zdrętwiały.

Naprzeciwno niego spała z głową na stole Agnieszka. Jej czoło opierało się na przedramieniu. Druga jej ręka, wyciągnięta w przód, spoczywała na dłoni Ignacego.

A to dopiero! Jak to się stało? Pamiętał, że jeszcze nad ranem, po ciemku, opowiadała o swojej rodzinie. Zagłębiała się coraz wnikliwiej w problemy swojej matki, a jemu coraz bardziej i bardziej stawały się one obojętne, kręciło mu się w głowie, ziewał ukradkiem raz po raz i wtedy pewnie, słuchając coraz mniejszym obszarem świadomości, zasnął jak idiota.

Biedna dziewczyna została tu praktycznie sama, wśród nocnych pohukiwań i ujadania, wśród pustych chałup i bezludnych zagród, pod zimnym księżycem i ogromnym niebem. Pewnie się bała. A on spał!

Nie obudziła go jednak, żeby narzekać albo żeby żądać opieki. Po prostu, kiedy już się za bardzo bała w tych ciemnościach, złapała go, śpiącego jak bałwan, za rękę. I poczuła się na tyle bezpiecznie, że zasnęła.

Ignacy się nagle wzruszył.

„Ale to niczego nie zmienia” – powiedziała wczoraj, cierpko i chłodno.

A jednak – a jednak – troszkę zmienia... co, mała?

Siedział nieruchomo, patrzył na nią, uśmiechał się z rozrzewnieniem i bał się poruszyć. Ręka Agnieszki nie tylko nakrywała jego dłoń: palce miała zagięte, splątane z jego palcami. Gdyby je teraz wysunął, poczułaby to na pewno.

Ale, na Jowisza, co to będzie, kiedy ona samoczynnie się obudzi? Zrozumie, że on zobaczył, jak ona go trzyma za rękę! – Ha! – poznał ją już na tyle, by wiedzieć: Agnieszka się zawstydzi. Ponieważ wyjdzie na jaw, że w chwili słabości postąpiła tak, jak by postąpić nie chciała.

Pozostawało mu więc tylko jedno: spać dalej. Albo przynajmniej udawać.

Położył wolną rękę na stole, a na niej – głowę. Bokiem, jak Agnieszka. Tak, to zdecydowanie był sposób o wiele lepszy niż zapadanie w sen z nosem rozpląszczonym wprost na desce. To od tego ma się takie straszne sny.

Leżał sobie spokojnie, patrząc na trawę, po której już o tej wczesnej godzinie, przed wschodem słońca, skakały wróble. Pewnie i one źle spały z powodu upału. Były lekkie i zwinne, miały cieniutkie nóżki i żywe, błyszczące oczy. Coś mu się przypomniało:

*Pochwalone niech będą ptaki
i słońce, co im nóżki złoci,
pochwalona chwila odwagi
i zwątpienie w labiryntach samotności...*¹¹

Szkoda, że ona nie lubi wszystkich wierszy, pomyślał. Oczywiście. Oczywiście. Oczywiście. Niestety. Wiedział, aż nadto dobrze wiedział, jak ma to rozumieć.

Bezchmurne niebo nad krawędzią lasu zrobiło się z zielonkawego – cytrynowe. Odzywało się coraz więcej ptaków. Kolor żółty nabierał stale cieplejszych odcieni. Był już

11K. I. Gałczyński, *Pochwalone niech będą ptaki*

całkiem pomarańczowy, kiedy zza lasu ukazał się drżący, płonący złotem, oślepiająco jasny rąbek.

Wróble miały teraz rzeczywiście pozłoczone nóżki, lecz ich zachowanie uległo zmianie. Jeden nagle ćwierknął – ostro, ostrzegawczo i naraz wszystkie odfrunęły, jakby je coś spłoszyło.

Pochwalone myśli poranne

*i kobieta, co jak błyskawica zachwyca...*¹² – kołatało się Ignacemu po głowie, gdy wtem poczuł, że dziewczęca ręka leżąca na jego dłoni raptownie się usuwa. Aha! – pomyślał i serce mu zabiło emocją zgoła myśliwską. Ani drgnął. Leżał nadal spokojnie, tylko szybko zamknął oczy.

Tak trwał jeszcze przez jakiś czas, słysząc miłe odgłosy: kocie ziewnięcie, trzask zamka torebki, szelest grzebienia przesuwającego się po włosach i znowu cichy trzask. Następnie dało się słyszeć lekkie stąpanie po żwirze, po czym – gdzieś dalej – trudny do zidentyfikowania świszczący szurgot. Wtedy Ignacy podniósł głowę i zobaczył, jak Agnieszka przesuwając zwój żółtego węża ogrodowego, przechodzi nad nim, odkręca kranik w ścianie bocznego pawilonu i myje sobie twarz, nogi oraz ręce aż do ramion, rozpryskując srebrne albo złote migoczące kropelki. Była to całkowicie urocza scena.

Jest to jedna z najczęściej myjących się osób, jakie znam, pomyślał, zapatrzonej.

Ledwie skończyła te wdzięczne ablucje, gdy oto drzwi pawilonu otworzyły się z trzaskiem i jednym susem wyskoczył z nich, od razu w zapaśniczym rozkroku, kwadratowy facet o owłosionej klatce piersiowej, odziany w czerwone bokserki. W ręce miał młotek.

– Co jest, kurka?! – zakrzyknął walecznie.

Ale na widok wiotkiej dziewczyny u wodopoju uspokoił się, spojrzał na młotek z udanym zdziwieniem, niby to nie mogąc pojąć, jak coś takiego mogło mu się znaleźć w garści, po czym odłożył go od niechcienia na parapet okna.

Ignacy stłumił rozliczne obawy i przecucia, podszedł bliżej i powiedział mediacyjnie:

– Dzień dobry.

– Co tu robicie, kurka? – Najeżył się od razu człowiek bez młotka.

– Nocujemy sobie – wyjaśnił Ignacy z prostotą. – Nie wiedzieliśmy, co zrobić.

Zamknął nas pan wczoraj.

– Ja? Ja nie!

– No to ktoś inny – ustąpił grzecznie Ignacy.

– A to żeście nie wiedzieli, że ekspozycja się zamyka? O dziewiątej! Wszyscy wiedzieli, tylko nie wy?

– Zaspaliśmy – powiedziała umyta i świeża Agnieszka, stając ramię w ramię z przesłuchiwanym.

– I nikt nas nie obudził – wyjaśnił Ignacy, po czym spazmatycznie ziewnął.

Mężczyzna bez młotka oniemiał, przez chwilę stał z rozdziawionymi ustami, a następnie wybuchnął śmiechem.

– Trzeba było zamówić budzenie! – wykrztusił wreszcie. – I gdzie żeście spali?

– Za stodołą – uściślił Ignacy, a jego rozmówca cały się rozchichotał.

– Za stodołą! Za stodołą! – powtarzał radośnie, zacierając ręce. – No, kurka, to żeście ładne miejsce sobie znaleźli, nie powiem. Ale na drugą randkę to sobie już idźcie do lasu.

– My nie!... – zaczęli jednocześnie Aga i Ignacy, ale nie zwrócono na nich uwagi.

– Dooobra, wypuszczę was, chwila moment. Nie jestem znowuż taki, sam raz kiedyś byłem młody. – Co mówiąc, człowiek w bokserkach pobrał z pawilonu pęk kluczy oraz pilota, rozbroił alarm, wsadził największy klucz do zamka kłódki na bramie i już miał otwierać, gdy wtem opanowała go jakże ludzka podejrzliwość.

– Chwila moment... a jak wyście coś wynieśli?

¹²Tamże

Pokazali mu gołe ręce, a Aga nawet otworzyła torebkę.

– A jak żeście coś uszkodzili? Kto będzie płacił, ja?

Patrzył na nich z głębokim namysłem, drapiąc się z chrobotem w pierś.

– Czekaście no tu – wymyślił w końcu. – Pójdę po długopis. Puszczę was, puszcę, ale najpierw spiszę. Przyszykujcie, kurka, dowody. W razie czego będą was mogli pociągnąć za odpowiedzialność. He, he.

Poszedł do domu i słycać było przez otwarte drzwi, jak wysuwa szuflady i przetrząsa je kolejno w poszukiwaniu rzadko używanego sprzętu.

Niewyspany Ignacy Grzegorz Stryba stał sobie koło bramy, czekając praworzędnie, aż zostanie spisany, i nawet już zaczął rewidować jedną z kieszeni spodni, zastanawiając się, gdzie, u licha, ciotka Ida wsadziła mu dowód osobisty, gdy wtem usłyszał za sobą cichy szcęk oraz ciężkie metaliczne podzwanianie, a po nim ostry szept:

– No chodź!

A to Agnieszka po prostu przekręciła klucz znajdujący się w kłódce, zdjęła łańcuch i uchyliła skrzydło bramy, po czym wymknęła się na drogę i ponagliła Ignacego gwałtownie, nazywając go gapą.

To dopiero pomogło.

Pobiegli jak wariaci w lewo, w kierunku wioski, i rozwinęli szybkość do nieprawdopodobnej, gdy usłyszeli za sobą ochryple wołanie. Dobiegli pod figurę, wskoczyli do golfa, odpalili go na szczęście bez trudu i zjechawszy ze szlaku turystycznego, ruszyli przez polne drogi, myśląc ewentualne pogonie.

2.

W strasznym skwarze, wyzuci z sił i wręcz apatyczni, dojechali na Jeżyce i zostawili golfa na parkingu. Następnie udali się pieszo przez teren budowy i pokonawszy obejścia oraz kładki, znaleźli się na ulicy Roosevelta, nadal zasypanej budowlanym pyłem oraz znów obdarowanej charakterystycznym tłem dźwiękowym. Dziś, w dzień roboczy, starały się o to ciężkie dźwigi, młoty pneumatyczne oraz betoniarki.

Była dziesiąta i temperatura przekroczyła już trzydzieści stopni w cieniu, na niebie nie było ani jednej chmureczki. Dzień zapowiadał się wprost piekielny. Oboje doszli do wniosku, że to, co mają do załatwienia, należy załatwić natychmiast, a następnie się odprężyć przez dłuższe posiedzenie w jakimś lokalu z klimatyzacją.

Po małej chwili konfuzji pod samymi drzwiami mieszkania przypomnieli sobie nareszcie, że klucze do niego nie zostały pozostawione przez Ignacego w skansenie budownictwa wiejskiego, za stodołą lub, nie daj Boże, w studni, tylko że przez cały czas ma je Agnieszka, zamknięte na zamek błyskawiczny w przegródce swej szykowej torebki.

Z uczuciem ulgi weszli do korytarza, w którym farby i tynki wyschły już w sposób doskonały, i pierwsze kroki skierowali do kuchni, by czym prędzej sprawdzić stan dzbana.

Był tam. Ucho trwało niezłomnie w miejscu, w którym je przykleili. Zapach myszy w znacznym stopniu się ulotnił.

Uff.

Agnieszka bezzwłocznie udała się do łazienki, gdzie w sposób zorganizowany wrzuciła swą odzież do pralki na program półgodzinny, wzięła chłodny prysznic i oczywiście umyła głowę. Wyszła następnie w szlafroku pani domu, z suszarką w dłoni, zdecydowanie ożywiona, i powiedziała, że teraz kolej na niego, a ona tymczasem zrobi coś do jedzenia.

Ignacy w stanie obecnym – spocony, brudny, lepki i straszliwie niewyspany – nie mógł nawet myśleć o jedzeniu. Bez słowa powłókł się do przybytku higieny, gdzie zabawił przez czas nieokreślony, na ogół leżąc bezwładnie w wannie pełnej wody i popadając w kilkuminutowe drzemki. Jednakże kiedy wreszcie wyszedł, zastał w kuchni tak apetyczne zapachy i widoki, że zgłodniał natychmiast.

Pochłonęli solidne śniadanie, wypili całe morze mocnej, pachnącej herbaty, zjedli całe pudełko lodów malaga, a przez ten czas odzież Agnieszki, wydobyta z pralki i rozwieszona w słońcu, wyschła w upale całkowicie. Ignacy też się przebrał w czyste rzeczy, po czym razem zapakowali z niezwykłą starannością dzban, zakleili pudło i Agnieszka osobiście obwiązała je sznurkiem na nowo. Zamówili taksówkę z klimatyzacją na róg ulicy Krasińskiego i doszli tam jej cieniastą stroną.

Na Sołacz przybyli w zupełnie dobrej formie – czyści, eleganccy, uczesani, ze schludną paczką. I nawet nie musieli dzwonić do furtki – pani domu zobaczyła ich z ogrodu.

– Proszę, proszę! – zawołała z leżaka ustawionego w cieniu, obok szemrzącej fontanny. – Furtka otwarta!

Ledwie weszli na teren posesji, drzwi wejściowe willi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich pan domu, robiąc miny dziwne oraz naglące, machając zapraszająco jedną ręką, a palec drugiej kładąc na swe zatroskane w wyrazie usta.

Zdezorientowani, weszli po schodkach pomiędzy symetrycznymi drzewkami i zostali migiem wciągnięci do symetrycznego hallu, po czym zamknięto za nimi drzwi.

Pan domu, przystojny i zażywny pięćdziesięciolatek o wyglądzie biznesmena, zachowywał się w dalszym ciągu zgoła nietypowo. W milczeniu i gorączkowo zaprosił ich do swojego wentylowanego gabinetu, na paluszkach podszedł do okna, wychodzącego na ogród, sprawdził, czy żona nadal znajduje się na leżaku, zamknął cichutko okno, zasunął firankę i wtedy dopiero się odezwał: Mieliście być po południu!

Rzeczywiście! Zapomnieli o tym.

– Żona miała nic nie wiedzieć!

Ignacy bez słowa postawił ciężką paczkę na biurku i przez chwilę zdało mu się, że wionie z niej zapach myszy. Zadrżał.

– Nie mówił pan, że to ma być niespodzianka – powiedziała Aga przepraszająco.

Biznesmen złapał się za czoło, a potem za okolice serca. – Ja przez to wykorkuję – zapowiedział z lekką zadyszką. – Co ja sobie narobiłem! Żonie tak się spodobał ten dzban, jak byliśmy w galerii. Od razu do niego podeszła! „Podobny do mnie! – powiedziała – też brzuchaty!” – bo musicie wiedzieć, że... – urwał, a Aga i Ignacy zastygli, oczekując ciągu dalszego.

Pan domu miał mokre oczy.

Żona od młodości chorowała, a jak się pobraliśmy, to doktor powiedział, że nie będzie mogła mieć dziecka – wyznał poufnie, kierując swe słowa osobiście do Ignacego. – Już się z tym pogodziliśmy, aż nagle! Och! – Otarł oczy wierzchem dłoni. – I to od razu bliźniaki! Jak tylko się dowiedziałem, że bliźniaki, to zaraz zadzwoniłem, że potrzebny jest drugi dzban, taki sam. Żona tak lubi, żeby wszystko było symetrycznie!

Zwiesił głowę, lecz zaraz się po męsku opanował.

– I zobaczcie! – rzucił z determinacją, po czym otworzył szafę ścienną, wydobył z niej paczkę w znajomym formacie i postawiwszy na biurku, otworzył jej górę.

Wyjął dzban numer jeden i ostrożnie postawił go na stole.

A obok położył ucho.

Przez chwilę panowała zupełna cisza, którą nagle przerwał dziwny, stłumiony dźwięk, wydany przez Agę. Ignacy spojrzał na nią i zobaczył, że to musiał być chyba szloch. No, chyba że czkawka. Minę miała wprost nieopisaną.

I coś jeszcze dało się słyszeć w tej dramatycznej ciszy.

– Oj, misiu, misiu! – odezwał się głos kobiecy z ubocza.

Biznesman podskoczył, złapany na gorącym uczynku, a przez boczne drzwi rozsuwane weszła do gabinetu młoda i miła kobieta z niedużym brzuszkiem. Miała króciutką brązową czuprynkę i piegi, a ubrana była w lekką suknię bez rękawów, wyszytą w symetryczny wzór kwiatowy.

– Mój ty poczciwy Puchatku! – powiedziała czule i przytuliła jego głowę, po czym pocałowała go w czoło. – Nie martw się. Przecież możemy przykleić to ucho...

Uśmiechnęła się powitalnie do gości, wzięła z biurka nożyczki i rozcięła czerwony sznurek.

– ...żeby dzbany były symetryczne – dodała i wyjąwszy z pudła Agnieszki folię bąbelkową, wydobyła pieczołowicie dzban numer dwa, po czym ustawiła go obok pierwszego.

Były doskonale symetryczne.

Albowiem ten drugi też nie miał ucha.

Z konsternacji, jaka zapanowała w tym momencie, wyłamała się jedynie pani domu. Wybuchnęła śmiechem, usiadła mężowi na kolanach i obsypała pocałunkami jego zdumione oblicze. Aga i Ignacy spojrzeli na siebie i na widok swoich min czym prędzej odwrócili wzrok, chcąc zachować minimum powagi.

Ignacy zaraz podszedł nieznacznie do biurka i zajrzał do kartonu. Przebóg! Ucho tam było, lecz po staremu w dwu kawałkach. Klej Józwy jednak nie wytrzymał transportu.

Zaraz zadzwonię do pracowni – odezwała się pospiesznie Agnieszka. – Z pewnością to się da jakoś... dorobić... – i tu urwała, bo skończyła jej się pewność siebie.

Pani domu powstała i z wielką klasą oraz wdziękiem zaprosiła wszystkich do salonu. Tam, po obu stronach kominka, starannie ustawiła oba dzieła Tekli, odmierzając miarką krawiecką ich odległość od paleniska, a następnie obracając je tak, by plamki po odłamanych fragmentach znajdowały się od strony ściany. Potem wszyscy zrobili kilka kroków w tył i ocenili efekt z daleka. Na tle białej tapety w turkusowe prążki ciemne wazy z turkusowymi brzuchami wyglądały doprawdy wspaniale.

Wyglądają wspaniale – oceniła przyszła matka bliźniaków.

Jak bliźniaki! – dodał ze wzruszeniem ich przyszyły ojciec.

I już się nie martwcie wszyscy. Nie chodziło mi o uszy...

– O ucha – poprawił ją małżonek

– ...tylko o brzucha. To znaczy, o brzuchy.

– Słuchaj brzucha, a nie ucha – zaryzykował Ignacy dowcipną tawestację znanego powiedzenia ludowego.

I chociaż to może nic była najokazalsza perła ze skarbczyka jego humoru, wszyscy się wesoło zaśmiali, ponieważ wszyscy mieli doskonale nastroje.

W tej atmosferze radosnego porozumienia zjedli razem lody waniliowe z owocarni i przy swobodnej pogawędce wypili cały dzban domowej lemoniady z lodem. Pan domu z dumą zademonstrował wydruk USG, na którym mogli obejrzeć, jak bardzo identyczne są bliźniaki, będące, na domiar szczęścia, identycznej płci (męskiej), a potem oprowadził gości po willi, z odcieniem miłego samochwalstwa opowiadając, jak to z kompletnej ruiny doprowadził ją był do obecnego stanu, przepojonego ładem i symetrią. Dla żony.

– Bo ja chyba – zaśmiała się pani domu – mam symetrię w genach. Od dziecka za nią przepadam.

– Ma ona swoje uroki – zgodziła się Aga.

– Ja też ją – niekiedy – lubię ... – przyznał uprzejmie Ignacy.

– To może i wy będziecie mieli bliźniaki! – ucieszył się pan domu.

– Ale my... – zaprotestowali jednocześnie i gwałtownie Aga i Ignacy, lecz nie dano im dojść do słowa.

– Nikt nie mówi, że zaraz. Studenci, co? Racja, racja, najpierw dyplom, potem praca, mieszkanie i dziecko. Wszystko trzeba zaplanować. Tak jak ja zaplanowałem, odpowiedzialnie. Dziecko musi mieć dach nad głową. A co dopiero dwoje! Hura! Dwoje!

– Oj, misiu, misiu – powiedziała ze śmiechem pani domu. I czule się uściskali.

– Czy mogę więc powiedzieć Tekli, że państwo są zupełnie zadowoleni? – spytała przed wyjściem Agnieszka, a oni odpowiedzieli ze śmiechem, że zupełnie, zupełnie, zupełnie, a nawet podwójnie.

3.

Cześć, Gabuniu, czy u Was też była taka koszmarna awaria prądu? U nas walnęło wczoraj pod wieczór. Nie wiem o której, bo my z Mareczkiem byliśmy oczywiście nad jeziorem, oglądając szczegółowo nasz przyszły nabytek i sprawdzając, co w nim jest, a czego nie ma (tego, czego nie ma, jest więcej). Potem oczywiście znów popływaliliśmy, potem się znów zdrzemnęliśmy, a kiedyśmy się obudzili od pohukiwania sowy (siedziała tuż nad nami, na konarze sosny, i to jest bujda, że one świecą oczami), było już całkiem ciemno i musieliśmy wracać do domu przy blasku księżyca, co było szczególnym doświadczeniem, albowiem za każdym absolutnie krzaczkiem coś szeleściło. Dobrze, że nie była to droga zbyt daleka ani zbyt zawiła, bobym chyba umarła ze strachu, gdybyśmy zabłądzili.

Podeszliśmy bliżej domu i zdawało się nam, że wszyscy poszli spać, bo nigdzie nie było ani światelka. Potem Marek zauważył, że na szosie też nie ma oświetlenia, a potem wpadliśmy po ciemku na pana Chrobota, który zwiślał ze swojego płotu, zionąc wodą ognistą i rzucając silnie splatanymi wiązankami słownymi. Poinformował nas, że na pewno szlag trafił elektrownię i że to musi być robota tyrorystów. Dodał, że on na ich miejscu też by uderzał przede wszystkim w transformatory. W ten sposób mógłby od jednego zamachu załatwić całe tyrytorium. Ta uwaga powiększyła nieco moje zdenerwowanie.

Ale pod orzechem siedziała spokojna Dorota z gipsem na stołku i przy starej lampie naftowej i licznych ćmach czytała podstawy genetyki, podczas gdy obie jej babcie po omacku szalały w mrocznym kurniku lub też zaglądały co chwila ze świeczką do zamrażarki, sprawdzając, czy zmagazynowane fám kurczaki zaczęły już rozmiękać. Dorota powiedziała, że to jej wygląda na poważne uszkodzenie, bo wszędzie wokół jest zupełnie ciemno i cowieczorna sina łuna świetlówek nie bije dziś znad Kostrzyna. Ale ponieważ mamy niedzielę, dodała, zakład energetyczny jest nieczynny w sposób naturalny i światło będzie dopiero jutro od rana. (No i miała oczywiście rację, włączyli dziś po dziewiątej).

Marek w tej sytuacji bez wahania udał się prosto do łóżka, ja zaś usiadłam obok Dorotki i – co za szczęście, że nie było prądu i nie czytałam jeszcze Twojego maila! – zaczęłam ją wypytywać.

Oczywiście nie iv sposób, który mogłabyś potępić, Gabuniu. Nie. Okrężną drogą. Jestem w tym bardzo dobra.

– Ten Igor – zagaiłam oględnie – wygląda mi na debila. Aż mi się nie chce wierzyć, że potrafił ci zrobić takie śliczne korale.

Bo oczywiście miała je na szyi! Stała je nosi.

Dorota prychnęła szyderczo i spadł mi w tym momencie jeden z kamieni, które mam na sercu.

– On? – powiedziała tylko.

– Tak zrozumiałam – rzekłam podstępnie – z wypowiedzi babci Andzi.

– E tam – mruknęła Dorota.

– Babcia się myli? – zakrzyknęłam, przejęta radością.

– On by mógł co najwyżej zrobić naszyjnik z kapsli od piwa zaśmiała się Dorota, a następnie spojrziała przeciągle w niebo gwiazdziste, dodam, że z wyrazem słodkiego rozmarzenia.

– Babcia Andzia tak pomyślała pewnie dlatego – kontynuowałam – że uznała Igora za twojego kawalera.

– *Wishful thinking*, jakie to typowe dla babci Andzi – brzmiała trzeźwa odpowiedź Doroty. – *Ja nie mam kawalera* – oznajmiła, po czym, po chwili namysłu, dodała uczciwie: – *Jeszcze.*

– *Uff, ulżyło mi* – wyznałam. – *To nie Igor dał ci korale.*

– *Nie Igor* – zgodziła się Dorota.

– *A kto?* – spytałam niewinnie (i nie potępiaj mnie tak zaraz, Gabuniu, bo Twoje rady są świetne i słuszne, ale w odniesieniu do dorosłego już syna, któremu żadna krzywda się nie stanie, nie zaś – dziewczynki lat siedemnastu. To jeszcze naiwne dziecko. Jest zaledwie o rok starsza od mojej Łusi! Łusie też bym wypytywała, do licha ciężkiego!!! Od czego ma matkę!).

Dorota się zacukała.

– *Nie wiem* – wyznała szczerze. – *To znaczy, wiem kto, ale nawet nie znam jego imienia. To nie jest nikt z miejscowych.*

I tu nagle uznała najwyraźniej, że powiedziała za wiele, bo szybko zmieniła temat, informując mnie z entuzjazmem o tym, że 74% wszystkich wariacji koloru oczu można wyjaśnić przez polimorfizmy pojedynczych nukleotydów (SNP) blisko genu OCA2.

Ale ja już znowu byłam zaniepokojona. Nie zna nawet imienia jakiegoś napływowego elementu, a przyjmuje od niego korale?!

Mało to psychopatów chodzi po tym okrutnym świecie? A ona się w dodatku romantycznie zakochała! W kim?!!!!

– *Dziecko!* – zakrzyknęłam. – *Nie znasz nawet jego imienia, to może być wręcz maniak seksualny!*

– *Wykluczone* – odparła stanowczo, kiedy już przestała się śmiać. – *Zresztą, ogólnie wiadomo, że maniacy seksualni chętnie podają imiona, zwłaszcza fikcyjne. Ale przede wszystkim, wiesz... (bo, Gabuniu, nie pisałam Ci chyba jeszcze, że przeszliśmy na „ty”, to znaczy, ja poprosiłam, żeby Dorotka przeszła, a z jej babciami wypiliśmy bruderszaft kompotem) – i tu nabrała tchu, a z nim rozpędu, i zaczęła mówić i mówić, a moja ciekawość została nareszcie zaspokojona.*

Jest to więc ktoś niezwykle miły i taki jakiś kochany. Męski jak nie wiem co. Nie jest piękny, ale ma w sobie spokojny urok. Biję jakoby od niego siła, dobroć i wyjątkowa równowaga ducha. Od pierwszego wręcz wejrzenia daje się zauważyć, że człowiek ten jest po prostu porządny. Nawet ja, tak podejrzliwa, musiałabym to zauważyć, bo on ma to wypisane w oczach, nota bene niebieskich, który to kolor – czy uwierzę? – znajduje się na drugim miejscu, zaraz po brązowym, jeśli chodzi o częstotliwość występowania wśród populacji Ziemi. I w całej sylwetce, skądinąd wysportowanej, też ma to wszyściutko wypisane. Właściwie jeszcze nie zamienili słowa, ale ona od pierwszego spotkania już wie z całą pewnością, że jemu na niej zależy w sposób wyjątkowy, a te korale tylko to potwierdzają.

Słuchałam tego, z uwagi na swoje minione (tak niedawno, lecz jakże bezpowrotnie) młode lata, z niejakim rozczuleniem. Gdzie ona znalazła taki ideał? Na Jowisza! Zdawałoby się, że tak modelowych typów zdegenerowana ludzkość już nie produkuje. Ale potem pomyślałam, że to jest wyjątkowo rozsądna dziewczyna, trzeźwo myśląca i spostrzegawcza, nie to, co ja w jej wieku, ech, przecież pamiętasz, byłam kompletnie postrzelona, choć jak zawsze pełna wdzięku, nie zaprzeczysz. A więc zważywszy to wszystko – musi to być ktoś rzeczywiście bardzo OK, skoro nawet Ignacy nie miał u Dorotki żadnych szans („Nawet”! – widzisz, jak wysoko oceniam Pana Trąbalskiego?).

Najważniejsze, że to nie Igor!

No, tak czy inaczej, uspokoiliłam się znacznie i teraz mogę przestać ją wypytywać. Za to zacznę wypytywać Łusie. I z pewnością, za jakiś czas, Ziutka. I co mi zrobisz? Ile, he.

A nawiasem mówiąc: masz rację, nie wypytuję Józinka rzeczywiście (oj, znów mi się wymknęło, poprawiam: Józka, Józka! Jaka szkoda, że nikt go już nie nazywa Józkiem, ja bym nadal lubiła!), ale to nie bierze się z dyskrecji, która jest raczej Twoim przymiotem, tylko

z tego, że chłopak jest od urodzenia taki małowówny. Po co mianowicie mam się wysilać na dyplomację i obmyślać sprytnie pytania, skoro i tak mi na to odburknie swoje zwięzłe: „Bić krasnala!” tub coś w tym rodzaju. Nie, ostatecznie Józinek jest dorosłym Józefem i machnęłam na niego ręką. Nie gada, to nie gada. Na medycynę też nie zdał i będę musiała się z tym pogodzić. Za to od czasu, gdy mu dałam nauczkę za pomocą słoika musztardy, mój pierworodny nie sprawia mi absolutnie żadnych kłopotów obyczajowych. Mogę się odprężyć.

Siostrzyco, znów przerywam, bo Marek mnie ciągnie nad jezioro. Dziś chcemy – korzystając z dziennego światła – sprawdzić, czy w Domu jest kanalizacja. Ja uważam, że jakaś przecież być musi, choćby jej załączek, lub raczej, co ja gadam, wręcz przeciwnie, szczątek. Ale mój Mareczek (podejrzewam, że pod wpływem Floriana!!!) wyśmiewa tę myśl. Damy Wam potem znać, cośmy znaleźli. I czy.

Buzi! Ida

4.

– Byli naprawdę bardzo mili – powiedziała Aga, idąc krokiem długim i zrelaksowanym przez cieniastą alejkę parku Sołackiego.

– Zwłaszcza ta pani. Jestem pewien, że tak lekko to przyjęła tylko dlatego, żeby mąż się nie martwił. I może my.

– Oboje bardzo mili.

– Zupełnie inni, niż się spodziewałem.

– Właśnie. Tekla tak mnie jakoś nastawiła, że wyobraziłam sobie parę tępych dorobkiewiczów. Bałam się ich.

– Ja też tak zrozumiałem tę opowieść o bogaczu, szastającym tysiącami.

– A to tylko Tekla tak go widzi. Ona, w tej swojej goryczy, ma zakłóconą optykę. Musiałyby ich zobaczyć!

– Zrozumiałyby, że się po prostu kochają?

– No nie wiem, tego nie jestem pewna.

– Nie jesteś pewna, czy się kochają?

– Nie wiem, co by zrozumiała Tekla. Mam z nią trudny kontakt. To jest siostra, ale przyrodnia. Wiesz, miałyśmy innych ojców.

– Nie wiedziałem.

– Ja jestem podobna do taty, który... Smutna historia. Tylko ja do niego czasem jeżdżę – ale to tak daleko. Co tam! Dobrze, że już wszystko z dzbanem załatwione. Ulżyło mi, uff. Nie muszę nic mówić Tekli ani się tłumaczyć, a na pewno byłaby wściekła i na mnie, i na siebie.

– Na siebie też?

– Niewątpliwie coś sknociła. Musi być jakiś błąd konstrukcyjny w tych dzbanach. To, że nam ucho odpadło, mogło być winą tej dziewczyny z plecakiem, ale dlaczego odpadło bogaczowi? On na pewno wiozł swoją paczkę jak jajko. Nie, nie, to musi być jakiś błąd Tekli. Ucha były przyczepione zbyt małą powierzchnią. Źle wyważone. Jak ona.

– A ja wciąż się bałam, że to moja wina.

– Już prędzej może moja. Tekla powiedziała, że mam „uroczne oko”.

– Ty? – zaśmiał się Ignacy niedowierzająco.

– Sama zaczynam w to wierzyć – wyznała półzartem. – Pewnie dlatego wypuściłeś telefon do studni, że na niego spojrzalam.

– Wypuściłem go, bo się zdenerwowałem.

– Tak?... Dlaczego?

– Mniejsza z tym. Chyba tam muszę po niego wrócić. Ale kto mi pozwoli wejść do studni?

– Ten facet z młotkiem?

- Muszę pomyśleć, co by tu zrobić.
- Tylko nie mów nikomu, że to przeze mnie. Aha, a jak spojrzałam na ciężarówkę, to natychmiast był wypadek.
- Masz więcej takich zasług? To brzmi ciekawie.
- Mam. Popatrz tylko, gdzie my jesteśmy! – ocknęła się nagle Agnieszka.
- Siedzieli na tej samej ławce, co w sobotę. Południowe słońce tak samo odbijało się w zielonej wodzie stawu, ławka stała blisko wody i nawet zapach mułu był ten sam. Przybyły ponadto kaczki i ustawiły się w tradycyjnym układzie postulującym.
- Nie pamiętam, byśmy szli w tę stronę.
- Ja też nie zauważyłam. A jednak. Coś nas tu sprowadziło.
- Przyzwyczajenie! – rzekł Ignacy. – Jakie to ciekawe. Samoczynnie wróciliśmy na stare śmieci. Sensu stricto.
- Rzeczywiście, w koszu wciąż jeszcze znajdowały się tamte butelki po piwie i gazeta, a leniwe fale objęły o brzeg ten sam szkielet ryby, wiotki i rozmiękły.
- Świetnie! Czujmy się jak w domu.
- Agnieszko!
- Słucham.
- Zrób coś z tą rybą.
- Proszę?!
- Spójrz na nią złym okiem.
- Nie złym, tylko urocznym.
- Nie urocznym, tylko uroczym. Nie cierpię ryb.
- I co mam z tym szczątkiem zrobić?
- Nie wiem. Niech zniknie.
- No dobrze.

Agnieszka oparła się plecami o ławkę, podniosła znad oczu rondo kapelusza i spojrzała na parkę kaczek, które, unosząc się na wodzie z lekkością i swobodą korków, nie spuszczały łakomego wzroku z ławki i jej lokatorów.

A tu właśnie wiatr powiał gorący, woda plusnęła mocniej, szkielet zakołysał się poprzecznie na fali i cofnął się płynnie wraz z nią. Tak dostał się w ograniczone pole widzenia jednej z kaczek, która odruchowo natychmiast złapała go w dziób, wywołując momentalny spazm zawiści u kaczki drugiej.

I obie dały nura.

Na ławce rozległ się podwójny wybuch triumfalnego śmiechu.

Teraz wierzę – powiedział Ignacy Grzegorz Stryba.

I poszli do pobliskiej wytwornej restauracji klimatyzowanej, gdzie było pusto i gdzie z fasonem zamówili dwie szklanki soku mrożonego oraz najtańsze lody i przesiedzieli w chłodzie przeszło trzy godziny, odświeżając się na zmianę w ekskluzywnych toaletach i grając z zapalem w anagramy, wypisywane na bibułkowych serwetkach (Ignacy uzyskał miażdżącą przewagę, był bowiem anagramowym potworem).

Wreszcie Agnieszka zdała sobie sprawę, że musi zadzwonić do siostry. Telefon miała wciąż wyładowany. Poza tym było już po trzeciej i oboje zaczęli być z lekka głodni, a na frykasy w tej restauracji szkoda im było pieniędzy.

Podjechali autobusem na rynek Jeżycki, zrobili jarzynowe oraz owocowe zakupy i wrócili wreszcie na Roosevelta. Weszli – a tam już tata Ignacego wystawiał worki z gruzem na korytarz i kiedy tylko ich ujrzał, od razu zapytał, kto tu tak pięknie posprzątał.

I obaj z Ignacym wymienili zawstydzone spojrzenia, kiedy padła odpowiedź.

– Słaba kobieta! A w dodatku pomalowała łazienkę! – dorzucił Ignacy, kiwając głową.

Tym też się zadziwiłem – rzekł szarmancko Grzegorz Stryba, a kiedy Agnieszka spytała, czy może skorzystać z telefonu, przeszedł z synem do kuchni i ze zduszonym śmieszkiem szepnął, że kiedy wszedł, to omal się nie przewrócił na widok tej orgii zieleni.

Zielona farba w tych mniejszych puszkach była bazą, miałem ją rozbielić. Takiej soczystej łaźienki nie ma chyba nikt na całych Jeżycach. Istna dżungla amazońska.

– Mnie się podoba! – rzekł Ignacy obronnie. – Tato, tylko nic jej nie mów...

– No, za kogo ty mnie uważasz. Tak naprawdę to jestem zachwycony. Chociaż zakłopotany przede wszystkim. Ten pokój dziadków! Miałem upadek ducha. Gapiłem się godzinami na ten gruz, smęciłem, a ona przyszła i bez namysłu, symbolicznie, sama jedna go zlikwidowała.

– Symbolicznie?

– Nie mówię, że świadomie – zastrzegł ojciec. – Ona wpuściła tu nowego ducha przez sam fakt, że weszła. Bardzo interesująca osoba. Dobry wybór, chłopcze. Nareszcie.

– Tato, my... to jest... ona i ja nie...

– Pasujecie do siebie ciągnął uradowany ojciec, nie słuchając. – I wiesz, podoba mi się, jak ona na ciebie patrzy.

– Jak... patrzy?

– Tak ciepło. To się przecież widzi.

– Ja nie wiem, co ty... – zaczął Ignacy, ale w tym momencie drzwi do kuchni się otwały i wkroczyła Agnieszka, bardzo zadowolona, mówiąc:

– No! Tekła się cieszy, a my mamy nareszcie spokój z dzbanami.

I zaproponowała, że zrobi do spaghetti pesto ze świeżej bazylii, którą kupili na rynku Jeżyckim.

5.

Pesto było znakomite i ojciec Ignacego poprosił o przepis.

– Gabrysia mi kazała jeść obiady, będę sobie gotował. A to jest takie szybkie danie.

– I świetne na upał. Prosto z Neapolu. Mam w ogrodzie własne zioła, więc zaczęłam zbierać ziołowe przepi... – Tu Agnieszka urwała, spojrzała nagle na stary budzik, głośno tykający na starej lodówce, powiedziała „ojej, po szóstej” i oznajmiła, że koniecznie musi już wracać, bo nie podlewała ogrodu od czwartku.

Ignacy rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie, nic nie powiedział, ale wstał i z determinacją obciągnął koszulkę.

– Idziemy – powiedział takim tonem, jakby się szykował na bój.

– Przecież mogę sama...

– Nie! – Padła stanowcza odpowiedź. Aga posłusznie zmilczała, a ojciec spojrzał na syna z prawdziwym zaskoczeniem. Miał zamiar porozmawiać z Ignasiem poważnie o akumulatorach i ich obyczajach, o synowskiej samowoli, przepisach drogowych, odpowiedzialności, roztargnieniu właściwym niektórym młodym kierowcom i o innych jeszcze ważkich kwestiach, ale zdecydowanie nie wypadało mu besztać chłopca przy Agnieszce. Zastanowił się teraz, czy w ogóle będzie go besztać, tego poważnego, zdecydowanego młodzieńca o mądrych oczach, który nagle wiedział, co robi, niespodziewanie potrafił być stanowczy i najwyraźniej zdołał tu już sobie wypracować autorytet. O ludzie! Jak to się szybko dzieje! Tak niedawno jeszcze Ignas leżał w wózku na balkonie, a Gabrysia pochylała się nad nim i mówiła: Motylku! Tak niedawno temu siedział z ołówkiem przy małym stoliku i rysował swoje idealne kółka. Czytał po nocach *Psa Baskerville'ów* i potem bał się ciemności. Gdzie się podział ten bezbronny chłopczyk? I co tu robi ten młody mężczyzna o ściągniętych brwiach, i jak to się dzieje, że ta dumna młoda kobieta słucha go bez sprzeciwu?

Grzegorz ocknął się, bo właśnie coś do niego mówiła.

– Do widzenia – zęgnęła się Agnieszka. – Bardzo dziękuję za gościnę.

– A ja dziękuję ci za... za wszystko! – odrzekł porywczo i serdecznie tata Ignacego. I pocałował ją w rękę, jak damę.

Odprowadził ich aż do wyjścia, a potem jeszcze patrzył za nimi, wychylając się z kuchennego okna. Szli w dół słonecznej ulicy zgodnie, równym krokiem, oboje długonodzy, wysocy i smukli, poruszający się w tym samym, niespiesznym rytmie. Nie trzymali się za ręce i nie rozmawiali, nawet na siebie nie patrzyli, a jednak – byli razem.

Odchodzili coraz dalej i dalej. I dalej. Już byli na rogu. Zaraz odejdą na dobre.

Tata Ignasia stwierdził z zaskoczeniem, że się uśmiecha, ale zarazem ma ściśnięte gardło.

Pomyślał, że głupio wygląda, wywieszony tak z okna, więc się cofnął, ale wciąż miał ściśnięte wzruszeniem gardło i wciąż się uśmiechał. Zwłaszcza kiedy spojrzął przez otwarte drzwi na odważną, wiosenną zieleń łazienki.

6.

Wystarczyło tylko przejść całą Jeżycką, żeby zaraz znaleźć się w okolicy starego wiaduktu. Ale Jeżycka biegnie na linii wschód-zachód, toteż żadna ze stron ulicy nie znajdowała się w cieniu.

Dotarli na miejsce ledwie żywi z gorąca. Agnieszka zajrzała do domu, stwierdziła, że matki jeszcze nie ma, i domyśliwszy się, że została dłużej u Tekli, zaprosiła Ignacego na coś zimnego do picia.

Zostawiła go z lodowatą butelką pepsi, a sama wyszła do słonecznego ogrodu, gdzie uruchomiła uchylną polewaczkę. Zaraz też wielki wachlarz kropel zaczął się rytmicznie nachylać to w jedną, to w drugą stronę, zlewając obficie trawnik, rabaty kwiatów i zioła, podczas gdy pelargonie w skrzynkach i doniczkach otrzymywały swoją porcję wody z małej konewki. Poniosły się kwiatowe zapachy słodkie i gorzkie, zapachniała ciepła, mokra ziemia, ożywiona zieleń, zlane wodą gorące kamienie. Agnieszka poruszała się płynnie wśród roślin, błyskały jej gołe ramiona, ciało obracało się to w prawo, to w lewo, to pochylało się, to prostowało – wyglądało to jak balet w pełnej przepychu, ruchomej scenografii.

Wróciła bardzo zgrzana i oznajmiła głosem raczej nikłym, że jeśli natychmiast nie wejdzie pod prysznic, to na pewno zemdleje. Ignacy chciał już sobie iść, ale powiedziała, że spokojnie, nie musi, może sobie pić i odpoczywać.

– A czy mogę zerknąć na twoje obrazy? – zapytał, kiedy już wchodziła do łazienki.

– No... dobrze, zerknij – odpowiedziała słabo, znikając za drzwiami.

Sam się zdziwił, z jaką gorączkową ciekawością rzucił się do oglądania.

Pierwsze z płócien, po które sięgnął, natychmiast go zdumiało. Było zupełnie inne niż ów delikatny pejzaż z półksiężycem. Jakby Agnieszka weszła w zupełnie nową fazę życia. I jakby ją to wejście bolało.

Tak jak przewidywał, malowała swobodnymi, płynnymi liniami. Tak! Płótno przedstawiało wydłużoną postać. I tak, używała mnóstwa bieli.

Ale zarazem był to obraz, którego nigdy by sobie nie wyobraził.

Smukła postać była ciemna, machnięta wspaniale i pewną ręką, zaledwie kilkoma zdesperowanymi, długimi a mocnymi maźnięciami, godnymi Konrada Krzyżanowskiego. Coś w ułożeniu głowy tej figury, w założeniu rąk do tyłu, w pochyleniu pleców, wyrażało samotność i melancholię. Twarz kryła się w cieniu, nawet nie wiadomo było, czy to postać męska, czy kobieca, i to zupełnie nie miało znaczenia. To mógł być Każdy. To mogła być ona, to mógł być nawet on – przecież tak właśnie Ignacy czuł się niekiedy. Ten melancholijny

Ktoś zajmował centrum podłużnego płótna, a naokoło, od brzegu do brzegu, szalało światło i wszystko nim było zalane, wszystko – z wyjątkiem tej jednej samotnej postaci.

Ignacy był tak poruszony i przejęty, że nawet już nie sięgnął po kolejne płótno – ustawił to podłużne na podłodze, oparł je o krzesło i poszedł kilka kroków w tył, by wreszcie usiąść i popatrzeć z dystansu.

Różne uczucia i myśli, ale też i różne wcielenia budziły się w Ignacym Grzegorzu o różnych porach dnia, a nawet nocy.

Teraz obudził się w nim historyk sztuki. Z odrobiną Sherlocka Holmesa.

Oparł się więc Ignacy Grzegorz Stryba plecami o ścianę i nieruchomym, skupionym wzrokiem badał to studium wielkiej samotności.

I tak właśnie zastała go przybyła zniecka matka Agnieszki: rozłożony swobodnie na tapczanie, z nogami wyciągniętymi na pół pokoju, był tak zaabsorbowany myślami, że prawie nie zauważył jej wkroczenia.

Dopiero gdy poruszyła się gwałtownie, drgnął i spojrzenie mu się wyostriżyło, nabierając zarazem wyrazu pewnego popłochu. Zerwał się jak oparzony, chciał coś powiedzieć, i zmartwił na widok wyrazu tej twarzy. To była istna Gorgona.

Za drzwiami łazienki słychać było rześki szum prysznica, niewinny plusk wody i wesołe dziewczęce nucenie.

Matka Agnieszki tym razem nic nie mówiła. Może nie była pewna swojej dykcji, a może furia odebrała jej mowę. Chwiejąc się, wystawiła tylko rękę z palcem, ukazującym Ignacemu kierunek wymarszu i wysłała z oczu krwawe pioruny.

Ignacy zawahał się, po czym zdołał wyrzec uprzejmie:

– Już idę. Proszę ode mnie pożegnać Agnieszkę.

I posłusznie wyszedł.

Ale w korytarzu zdał sobie sprawę, że nie powiedział najważniejszego, więc z trwożnie bijącym sercem wrócił, wstawił głowę do pokoju i oznajmił:

– Pani się myli...

Więcej nic nie zdołał powiedzieć, bo tradycyjnie zamierzyła się na niego składaną sztalugą.

Błyskawicznie zamknął za sobą drzwi i pożegnany głuchym ich łomotem (trafiła, ale z opóźnieniem) ruszył korytarzem do wyjścia.

Jednakże nie był z siebie zadowolony.

Miałby zostawić biedną Agnieszkę samą z tym problemem?

Otworzył główne drzwi, ale nie wyszedł na ulicę. Stał, nasłuchując.

Awantura.

– Faceci! krzyczała matka. Jedna podłość! I widzisz? Nie mówiłam? Patrz! Poszedł sobie! Wykorzystał cię i zostawił!

Tego już było dla Ignacego za wiele.

Ruszył z powrotem jak torpeda.

Wpadł gwałtownie do pokoju, powodując momentalną konsternację obu pań.

Tak jak stały – zapłakana Aga już znowu w czerwonej sukience, wściekła matka w podkoszulku i legginsach – zamarły, zaskoczony w pół słowa i w pół ruchu, i patrzyły w osłupieniu, jak milczący Ignacy długimi krokami podchodzi do stołu i z posępną determinacją bierze z niego nie co innego, jak małą damską torebkę.

Z tą torebką pod pachą zbliżył się, chmurny i stanowczy, i powiedział głośno a wyraźnie, nie spuszczać oczu ani na sekundę, prosto w oblicze Gorgony:

– Nie wykorzystałem, ale nie zostawię. Aga! – idziemy.

7.

Znaleźli na Solaczu kawiarnię z klimatyzacją i Agnieszka natychmiast udała się do toalety, gdzie przez długi czas myła twarz i oczy lodowatą wodą, z bardzo dobrym efektem. Kiedy wróciła do stolika, nikt by nie poznał, że płakała.

Czekała na nią herbata w czajniczku oraz bułeczki cynamonowe z masłem.

Czekał też na nią wierny kolega Ignacy Grzegorz Stryba, który co prawda był tak zmęczony upałem oraz stresem, że z najwyższym trudem się powstrzymywał od zaśnięcia (na blacie stolika), ale który jednak na widok Agnieszki wstał uprzejmie i przysunął jej krzesło.

Pomyślała, że jego dobre maniery są ujmujące i uśmiechnęła się do niego.

– Herbata wystygła – rzekł, oddając jej uśmiech – ale to chyba dobrze. Wypij, zjedz i zastanowimy się co dalej.

– Nie musimy się zastanawiać. Wracam do Nekli.

– Chciałem cię zabrać na Roosevelta.

– Nie, nie. Dziękuję, ale absolutnie nie trzeba. Mam u siostry swój pokój, mam swoje rzeczy. Mam dokąd iść – odparła Aga zwięźle, stanowczo i nawet z lekką oschle. Patrzyła w talerzyk, kruszyła ciasto na drobiny.

– Na pewno?

– Na pewno co? Na pewno to ty miałbyś dokąd iść, w razie potrzeby. Zazdroszczę ci tej wielkiej rodziny. I tej zgody. U nas nie ma zgody. I jesteśmy tylko my trzy. Ale spokojnie, jakoś to przecież będzie. Przeczekał ten kryzys u Tekli.

– Myślisz, że to minie?

– Uspokoi się wszystko, na pewno. Mama ostatnio ma bardzo złą passę, a te upały pogarszają sprawę. Jestem pewna, że wszystko wróci do normy. Martwię się tylko... – urwała.

– Tak?

– O ciebie – teraz podniosła oczy i obdarzyła go długim, przejmującym spojrzeniem. Nie zasłużyłeś na to, co cię od niej spotkało.

– Pewnie, że nie! – zaśmiał się nerwowo Ignacy. – Ale, no wiesz, o co tu się martwić, jakoś to przeżyję.

– Martwię się, że nie tak łatwo o tym zapomnisz. I jest mi przykro. Zawsze jest mi przykro – pospieszyła z objaśnieniem – kiedy dobrego człowieka spotyka krzywda. A jeśli w dodatku jest tak niesprawiedliwa!...

– A czy może być krzywda sprawiedliwa?

– Ależ ty jesteś pedantyczny.

– A pewnie. To ważne, co się mówi. I pisze. Słów trzeba używać precyzyjnie, w ich właściwym znaczeniu inaczej fałszują rzeczywistość. A zafałszowana rzeczywistość wytwarza nowe fałszywe słowa. Tworzy się wielki obieg fałszu, który rodzi ogromne kłamstwo. A kłamstwo rodzi zło. Z tego wynika logiczny wniosek, że słowa niezafałszowane budują dobro.

– Wiesz, co chcę powiedzieć...

– Tak, wiem, oczywiście, i dlatego brnę w długie dygresje. Myślę, że lepiej już. Nic nie mów. To kłopotliwe. Za jakiś czas będziemy się śmiać z tej historii. I ja, i ty.

Agnieszka westchnęła.

– Ja chyba się nie pośmieję.

Spojrzała na zegar ścienny, dopiła herbatę i zaczęła zbierać swoje rzeczy.

– Niedługo mam autobus.

– Zapomnij o autobusie. Nie będziesz jeździła żadnym autobusem beze mnie. Biorę golfa i cię odwożę.

Nie słuchał jej protestów, zapłacił, wziął na drogę ostatnią bułeczkę, podzielili ją na pół i wyszli, jedząc.

Znów był zmierzch i kiedy brali samochód z parkingu, na niebo ponad dachami Jezyc wyszedł księżyc, wciąż wielki i żółty, ale już dzisiaj lekko ocieniony.

– Niesymetryczny jakiś – zauważył Ignacy.

– Nic nie jest wieczne.

– Szkoda, prawda? Nic też nie jest naprawdę symetryczne. W ogóle, Agnieszko, jak już wspomniałem, wszystko jest inne, niż się wydaje. To dlatego jestem tak pedantyczny. Walczę z chaosem.

Stali przez chwilę, patrząc w fioletowe niebo.

– Nie chce mi się ciebie odwozić.

– A mówiłam, pojedę autobusem!

– Nie, nie, nie w tym sensie. Nie chce mi się ciebie tracić. Z oczu! Z oczu.

– Prawdę mówiąc, mimo wszystko...

– Było nam wesoło.

– Świetnie się bawiłam... mimo wszystko, oczywiście.

– Ja też.

– Ale muszę jechać, naprawdę.

– Poczekaj... Jak tak podnosisz głowę... i tak na mnie patrzysz, to...

– To co?...

– To... to masz w każdym oku, symetrycznie, po księżycu. Niesymetrycznym. W dodatku oczy też masz trochę niesymetryczne. Można dostać... zawrotu... głowy.

– Trudno, muszę się poruszyć i stracisz ten widok. Jedziemy?

– Tak, tak, oczywiście.

– To może otworzysz samochód?

– Ach, tak, tak, przepraszam.

– Ciekawe, czy zapali.

Zapalił.

Na szczęście miasto o tej porze upalnego dnia było mniej zatłoczone niż zwykle, więc jazda przez ulice miała dziś w sobie nieco mniej napięcia. Dość szybko wydostali się na przedmieścia i – żeby uniknąć korków na osiedlu Warszawskim – pojechali zwykłą szosą na Gniezno. Była to droga nieco dalsza, ale za to spokojniejsza, a biegła przez ładne, lesiste tereny.

Dojedziemy do Pobiedzisk, a stamtąd w prawo – i na Kostrzyn oznajmił Ignacy, który, jako człowiek ostrożny i przewidujący, jeszcze na parkingu zdążył uważnie się skonsultować z mapą. W Kostrzynie wrócimy na dwupasmówkę, ale tam może już ruch będzie mniejszy. Przecież nam się nie spieszy, prawda?

– Prawda.

Jak to dobrze! – wyrwało się Ignacemu.

Jechali rozległą równiną, prosto z zachodu na wschód, i przez cały czas nad niskim horyzontem widzieli żółty księżyc. Wznosił się nieznacznie ponad ciemne pasmo lasu, z wolna błędąc i stopniowo nabierając srebrzystego blasku. Wyglądało to tak, jakby go ścigali, a on im, jak balon, uciekał.

Wciąż było upalnie i duszno, otwarte okna nie dawały ochłody, a powietrze, które przez nie wpadało, miało zapach spalin. Z rzadka mijały ich samochody, jadące do Poznania – za to golf musiał się posuwać w długiej kolejce tych uciekających z miasta.

Ale dzięki temu Aga była spokojniejsza. Ignacy musiał tylko powoli pokonywać kolejne odcinki szosy, od jednego skrzyżowania do drugiego – a na każdym była sygnalizacja świetlna. To była bezpieczna droga; trochę się tylko dłużyła z winy tego ograniczonego tempa. Po półgodzinie jazdy Agnieszka, która nie chciała zaprzętać uwagi napiętego kierowcy swoim zbędnym gadaniem, zapytała, czy można by włączyć jakąś muzykę.

– Już, już – powiedział, a dotarwszy na kolejne skrzyżowanie, przyhamował na czerwonym świetle i po omacku odnalazł przycisk odtwarzacza.

Natychmiast z głośników buchnęła skoczna melodia oraz dzikie przyśpiewki z popiskiwaniami i oboje się roześmiali, tak to było niespodziewane.

– „Mazowsze” – wyjaśnił Ignacy. – Tata bardzo lubi, więc kiedyś kupiłem mu płytę. Jak ci się nie podoba, to w schowku są inne.

– Nie, niech sobie gra, to ci nie pozwoli zasnąć. No i utrzymamy się we wczorajszym nastroju ze skansenu. Ale przyciszę. Nie gadaj, tylko uważaj, jak jedziesz. Och, och! Patrz, patrz tam, tam był wypadek! Nie, nie patrz tam! Patrz tu, przed siebie! Och, och! Zderzenie czołowe. Pogotowie, policja! Niosą kogoś na noszach!

– A rzeczywiście – zdenerwował się do niemożliwości Ignacy Grzegorz Stryba, roztropnie nie patrząc we wskazanym kierunku, a za to mocniej ściskając kierownicę.

– A myślałam, że to bezpieczna droga! Jedź ostrożnie.

– Robię, co mogę, Agnieszko. Wiesz co, a może ja skręcę wcześniej? Koło stacji kolejowej. Dorota mi kiedyś pokazała ten skrót. Wyjeżdża się przez las na drogę asfaltową, a z niej – na szosę kostrzyńską.

– A na pewno trafisz?

Na pewno – powiedział Ignacy niepewnie. – Cały czas prosto. Jak miałbym nie trafić?

Prawdę mówiąc, wszystko było lepsze niż zderzenie czołowe, pogotowie, policja, Agnieszka na noszach, długi kształt z ciemną głową i białą dłonią wlokącą się po ziemi, krew, ból, wyrzuty sumienia et cetera. To już wolał jazdę przez ciemny las, pełen zielonych oczu zwierzęcych rozbłyskujących w zagadkowym mroku. Tu można się zderzyć co najwyżej z jeleniem, dzikiem, ewentualnie jego samicą, przysłowioowo rozwścieczoną w razie gdyby potrafił jej warchlaka. Ale przecież będzie jechał powoli i uważnie, omiatając światłami drogę, drzewa, zarośla, a tym samym i ewentualne warchlaki przebiegające mu bezmyślnie przed maską.

Z ulgą dostrzegł zjazd w prawo, koło stacyjki kolejowej. To tu!

Na cichym tle dźwiękowym skoczego krakowiaka przebyli płynnie tory kolejowe i przez nieduże osiedle wjechali asfaltem w las. Tu asfalt się urywał. Leśna droga nie należała do najlepszych – piach oraz koleiny — ale za to była zupełnie pusta. Zwierzyna czaiła się zapewne po krzakach, obserwując z niepokojem ten dziwny, kopący pojazd czterokołowy, kolebiący się na wybojach i rzucający przed siebie dwa chwiejne snopy żółtego blasku.

Księżyc towarzyszył im nadal – teraz płynął po lewej stronie, ponad czubkami sosen i buków. Pokazały się pierwsze gwiazdy.

Jak tu pachnie powietrze! – zauważyła Agnieszka. – Jaki miły chłód! Przystańmy na chwilę, popatrz, jaki ogromny głąz, a nad nim dąb!

Ignacy zatrzymał samochód na uboczu i wyłączył światła, żeby lepiej widzieć wskazane obiekty, a Agnieszka otworzyła drzwi. I tak się złożyło, że akurat wtedy skończyły się przyśpiewki łowickie, a z płyty popłynęła cichutka piosenka, śpiewana przez słodki sopran i ciepły alt, z towarzyszeniem znakomicie zsynchronizowanego kobiecego chóru, tworzącego niskie, ciemne tło dla dwu solistek:

Dwa serduszka, cztery oczy, łojojoj,

Co płakały we dnie, w nocy, łojojoj.

Czarne oczka, co płaczecie,

Że się spotkać nie możecie.

Ze się spotkać nie możecie...

– Jakie to ładne – powiedziała cicho Agnieszka. Słuchali w milczeniu, czuła i tęskna melodia biegła, jak spokojna woda, a przez otwarte drzwi golfa napływały leśne zapachy: żywica, igliwie, trawy i zioła. Księżyc świecił już całkiem srebrzyście, drzewa rzucały cienie na drogę, a ponad nią bezgłośnie śmigły czarne sylwetki nietoperzy.

...Sami miłości nie znają,

młodym kochać zabraniają...

Pewne powszechnie doświadczenia, a także schematy życiowe od stuleci znajdują bezpośrednie odzwierciedlenie w sztuce ludowej, pomyślał Ignacy i postanowił zgłębić przy

okazji to zagadnienie przez zajęcie się także etnografią (Kolberg, odnotował w myśli, od niego trzeba zacząć; Kolberg w całości, absolutnie).

Agnieszka nagle wysiadła z samochodu i przez piaszczystą łąkę, jaśniejącą w świetle księżycy podeszła do wielkiego głazu na skrzyżowaniu leśnych dróg, podczas gdy sopran mazowszański wysyłał za nią swoją rzewną skargę:

*Mnie matula zakazała, łojojoj,
Żeby chłopca nie kochała, łojojoj...*

Zaalarmowany Ignacy uznał, że piosenka, choć wyjątkowej doprawdy urody i znakomicie zaśpiewana, zaczyna się tematycznie osuwać w regiony pełne wspomnień niekoniecznie uroczych, przynajmniej dla niego. Matula! Poruszył nerwowo łopatkami i wyłączył odtwarzacz tym chętniej, że mu się przypomniał wątył akumulator golfa. Nie należało szafować jego zasobami. Nie mówiąc już o tym, że muzyka zakłócała nocny spoczynek zwierzyny leśnej, która mogłaby się znienacka rozjuszyć i przybyć tu na zwiady.

– Hej, tam jest chyba jezioro! – powiedziała niegłęboko i tajemniczo Agnieszka. — Pachnie wodą! – I natychmiast zagłębiła się w ciemną alejkę po prawej.

Ignacy wyłączył silnik i wysiadł, po czym zamknął golfowi okna i drzwi. Oczywiście, trudno się spodziewać, by akurat tutaj, w środku lasu mieszanego, czaił się w krzakach jakiś złodziej samochodów, ale kto go tam wie. Gdyby on, Ignacy Grzegorz Stryba, zmuszony został kiedykolwiek przez los do takiego sposobu zarabiania na chleb powszedni, mógłby się tu zacząć, czemu nie, i nie pogardziłby łupem, który sam wpadłby mu w ręce. Szczególnie wskutek nieostrożności lub gapiostwa dwojga młodych ludzi, którzy i tak by go nie dogonili na piechotę. Po nocy. Przez las.

Piknął pilotem i poszedł za Agnieszką, która tymczasem już się oddaliła, tak że nie było jej widać na ścieżce. Ciemne powietrze pachniało wilgocią i dzikością. Przyspieszył kroku. Jeszcze tego brakowało, żeby to ona wdepnęła po ciemku w warchlaka! Jego rozwścieczona matula, zwana lochą, bez wątpienia ruszyłaby od razu do ataku, wystawiając kły i pazury, zaprogramowana do obrony swego dziecka przez mądrą Naturę, nota bene też Matkę. Widząc krzywdę swego potomstwa, nawet urojona, lochy potrafią być przerażająco niebezpieczne, a cóż dopiero odyńce, które, by bronić loch (i potomstwa), dają upust morderczym... och!

Wpadł na jakiś ciemny, miękki a elastyczny kształt i instynktownie zataił dech z przestachu. Ale to była tylko Agnieszka, która na niego czekała w cieniu kolejnego wielkiego dębu. Jej twarz miała teraz kolor srebrnoszary, białka oczu leciutko błyszcząły w posrebrzanej ciemności. Przez krótką chwilę trzymał ją za ramiona, które były gładkie i chłodne. Ale zarazem zdawały się parzyć. Wypuścił je natychmiast z uchwytu i rzekł głosem swobodnym, choć, jak mu się przez sekundę zdawało, nieswoim:

– O, pardon. Przez moment myślałem, że jesteś odyńcem.

Dostała takiego ataku śmiechu, że aż się musiała oprzeć o drzewo, a potem zapytała, czy Ignacy ma w zwyczaju w ten właśnie sposób łapać dziki, i wciąż się śmiejąc, poszła śmiało przed siebie, ciemną aleją z nisko nawisłym sklepieniem wielkich drzew, przez które nie przedostawało się już światło księżycy.

Za to kiedy wyszli z lasu i znaleźli się nad jeziorem, zdało im się, że księżyc po prostu oszalał. Jakby się znaleźli w wielkiej, z wierzchu ciemnej, a w środku świecącej kuli. Woda była jednym gładkim, chwiejnym, jasnym lustrem, po którym ślizga! się blask; całe okrągłe jezioro, otoczone czarnym pasmem lasów, wyglądało jak napełnione rtęcią, a ponad nim iskrzyła się czasza jasnogranatowego nieba.

– „*Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą, i dwa obaczysz księżycy*”¹³ – skojarzył zachwycony Ignacy, po czym automatycznie przeprosił Agnieszkę za użycie słowa wierszowanego, którego, jak on przecież doskonale pamięta, ona nie lubi.

13Adam Mickiewicz, *Świtez*

Nie odpowiedziała ani słowem, ale zdawało mu się, że niecierpliwie wzruszyła ramionami. Zaraz też zbiegła z niskiej trawiastej skarpy, jakby nie chciała go więcej słuchać, zrzuciła sandaalki i oczywiście natychmiast weszła do wody, po której zaczęła z zapalem brodzić, wzniesając taką ilość iskier, błysków, migotań i lśnień, że wydawało się to wprost nieprawdopodobne. Jej czarna sylwetka zdawała się na tym tle jeszcze bardziej wiotka, jakby zupełnie zanikała w tej powodzi blasków, a kiedy zaczęła nabierać w dłonie wody i oczywiście myć sobie twarz, ręce i szyję, luki lecących w powietrzu kropli układały się w rzędkie rozbłyskujących perełek.

Ignacy mógłby na to patrzeć godzinami. To było tak piękne, jak jakiś czarodziejski rytuał. W dodatku z tłem dźwiękowym; cichy śmiech, chlupot roztrącanej jej nogami wody, mlaskanie małych fal, osiagających piaszczysty brzeg, pluskanie tych biczków z lecących kropelek. I na domiar wszystkiego, nad całym tym obrazem, wspaniałe sierpniowe niebo z miriadami ostrych jak diamenty światełek i z dobrotliwie promieniejącym asymetrycznym księżycem.

Zszedł także z brzegu i na bosaka wlażł do wody, która była zaledwie chłodna, miejscami jeszcze nagrzana, łagodna i miła. Może źle zrobił, bo myśl o oślizgłych rybach, które mogłyby go zniecka muskać po palcach stóp, albo o ewentualnych rakach, czających się pod tą skarpa, kazała mu spojrzeć pod nogi; wskutek tego stracił z oczu Agnieszkę i otaczające ją migotanie niezliczonych wodnych cekinów. Nie zauważył też, kiedy podeszła do niego. Dopiero, kiedy znalazła się całkiem blisko, spojrzął i aż go zatkało: była taka piękna! Aż bił od niej blask.

Przez dłuższą chwilę stała przed nim bez słowa, wreszcie wyciągnęła rękę i chłodną, mokrą dłonią pogłaskała go po policzku.

Ignacy miał oczywiście ochotę natychmiast porwać ją w ramiona, zamknąć w uścisku, zasypać namiętnymi pocałunkami et cetera, lecz obawa przed tym, że ona nie tego bynajmniej spodziewa się po starym koledze z gimnazjum, wskutek czego zapewne wrzaśnie i da mu w pysk, skrepowała go jak sznurkiem i zamieniła w niemowę.

Jakże słusznie obrał postawę pełną rezerwy. Kobiety są nieprzewidywalne. W następnej chwili już brodziła z pluskiem ku brzegowi i rezolutnym głosem przypominała, że trzeba wracać.

– Ale do czego mamy się spieszyć? – zapytał, brnąc za nią i żałując z głębi serca, że Agnieszka opuściła już swoje srebrne jezioro, które, jak to teraz zrozumiał, było oczywiście jej środowiskiem naturalnym. Kto wie, czy nie była po prostu utajoną wodną rusalką! Posiedźmy tu jeszcze trochę, kiedy my znowu zdołamy zobaczyć coś tak pięknego?

Zatrzymała się w pół ruchu i obejrzała na niego, przechylając głowę.

– Dobrze – odparła. – Ale pod jednym warunkiem.

– Cóż to za warunek? – zapytał obronnie.

– Będę cię mogła zapytać o wszystko.

– I to wszystko?

– Nic więcej.

– A to proszę bardzo – zgodził się bez wahania.

I usiadł po turecku na trawie.

Agnieszka natychmiast usiadła naprzeciwko niego, podciągając jednym wdzięcznym ruchem swoje piękne nogi i układając je bokiem, jedną przy drugiej. (Jak ona to robi, przecież chyba strasznie niewygodnie jest tak siedzieć?!) Za jej ciemną sylwetką jezioro emitowało srebrne błyski i odbicia, poruszając się cicho i nieznacznie, jak zwierzę płytko oddychające przez sen.

Przez chwilę milczała, zbierając myśli, a Ignacemu napięły się mięśnie szyi. Był – nie wiadomo dlaczego – zdenerwowany i starał się to ukryć za wszelką cenę.

– Jaki jest twój ulubiony kwiat? – spytała niespodziewanie i Ignacy pomyślał: Ach, takie pytania!, odprężył się i powiedział po prostu to, co mu pierwsze przyszło do głowy:

– Ta czerwona róża na twoim stole.

– A kolor?

– Zielony – uśmiechnął się do swoich myśli Ignacy, nadal podążając bezwysiłkowym tropem pierwszych skojarzeń.

– A obraz?

– Ten twój, z półksiężycem – odpowiedział bez zastanowienia.

– Utwór muzyczny?

– Tylko jeden? – Ignacy od razu przestał łatwo kojarzyć. – Co za powierzchowne pytanie – ocenił i zaraz się zawstydził. – Przepraszam, tak mi się powiedziało. Muzyka – oczywiście mam na myśli prawdziwą muzykę, a nie amatorski łomot – jest doskonałą całością, jest abstrakcyjną energią, jest mową dźwięków, która łączy nas z Absolutem. Trudno wybierać ulubiony kawałek z nieobjętej, doskonałej całości. Ulubiony może on być tylko przez chwilę.

– To samo, jeśli idzie o książki?

– Tak, a w każdym razie – podobnie.

– Ale właściwie dlaczego? Za każdą książką kryje się inny człowiek, jego myśli, jego dusza, jego życie i doświadczenie.

– Ale wszystkie razem tworzą jeden skarb, wielki organizm myśli, niewidzialną potęgę. Nawet nie wiem, jak można mówić o „ukochanej książce”, kiedy kocha się wszystkie. Te wszystkie dobre, oczywiście – pospieszył z doprecyzowaniem. – Złych nie wliczam.

– Można mówić o ukochanej książce, tak samo jak można mówić o ukochanym człowieku.

– Swoją drogą, to zabawne: twój ukochany człowiek wcale nie musi umieć napisać twojej ukochanej książki.

– A twój ukochany człowiek? Kto nim jest?

Ignacy umilkł raptownie i poruszył się ze wzburzeniem. Agnieszka natychmiast to zauważyła.

– Umawialiśmy się, że będę cię mogła zapytać o wszystko.

– I możesz. Ale nie umawialiśmy się, że ja na wszystko odpowiem.

Agnieszka się roześmiała:

– To nie fair!

– Zauważ, że ja ciebie o nic nie pytam.

– Zauważam.

– Agnieszko. Dajmy spokój sprawom osobistym.

– Dlaczego ty jesteś taki skryty?!

– Ja? Nie jestem, nie.

– Boisz się mówić o uczuciach? O miłości?

– Nie boję się – powiedział Ignacy bez wielkiego przekonania. Bo są ludzie, którzy się boją. Myślę, że to oni używają słowa „feblik” zamiast słowa „miłość”.

– Wczoraj mówiłem na jej temat, pamiętasz? Dość długo. Byłaś nawet troszkę znudzona.

– Nic podobnego. Możesz mówić dalej. Śmiało, rozwiń temat. Czy z miłością jest, twoim zdaniem, tak samo, jak z muzyką i książkami?

– To znaczy?

– Jeden wielki organizm, potężna siła?

– Niewątpliwie.

– A co z ulubionym egzemplarzem? Ignacy się zastanowił.

– Przypadkiem mogłaś trafić w sedno sprawy – odezwał się wreszcie, po niezwykle długiej chwili, którą wypełnił intensywnym gapieniem się w niebo, po to jedynie, by nie gapić się na Agnieszkę.

– Ale nie chciałbym się wypowiadać zbyt kategorycznie, bo cóż my wiemy, prawda? – więc użyję partykuły „może”. Może więc nam tylko się wydaje, że kochamy jakiegoś człowieka najbardziej na świecie – teoretyzował sprawnie. – Może być przecież tak, że nie tego konkretnego człowieka szukamy, tylko samej miłości. A drugi człowiek jest jej nośnikiem. Nie, źle mówię, jest raczej kontaktem z nią. I może jeden lepiej kontaktuje, a drugi gorzej. I czasem ten kontakt zawodzi. Wtedy nam się wydaje, że straciliśmy miłość. A tak naprawdę straciliśmy tylko kontakt.

– Ach, tak – powiedziała Agnieszka. – A czy zdarzyć się może, że taki kontakt znajdujemy, a on o tym nic nie wie?

– Skąd mam to wszystko wiedzieć? Tak mnie wypytujesz, Agnieszko, jakbym był jakimś specjalistą i do tego starcem. A nie jestem ani tym, ani tym. Jesteśmy z jednego rocznika, pamiętasz? Jesteśmy na etapie poszukiwań, a więc i rozczarowań.

– A czy jeśli kontakt ten znajdziemy, może on starczyć nam na całe życie?

– Znam przynajmniej jeden taki przykład – oświadczył Ignacy, myśląc o swoich dziadkach.

Agnieszka milczała przez chwilę, podczas gdy księżyc za nią cicho promieniał, a po wodzie, jak po rtęci, przemykały podłużne, płynne blaski. Gdzieś na wzgórzu, w ciemnym lesie, odezwał się nocny ptak. Coś zaszeleściło w przybrzeżnej trzcinie i Ignacy odruchowo zwrócił głowę w tamtą stronę; kątem oka ułowił przy tym szybki, cienki rozbłysk na niebie.

– Patrz! Gwiazda spadła!

Agnieszka nawet nie spojrzała.

– Jaki przykład? – chciała wiedzieć.

– Mniejsza z tym.

– A ty? – odezwała się po dłuższej chwili. – Nie chciałbyś mnie o coś zapytać?

Ale Ignacy nie zwrócił na to uwagi, bo miał coś innego na głowie.

– Przecież to dzisiaj jest noc Perseidów! – przypomniał sobie z zapalem. – Musimy tu zostać jak najdłużej, to jest wspaniały punkt widokowy!

– Oj nie, tylko nie to – odparła na to Agnieszka z niejakim zniechęceniem. – Byłaby to kolejna nieprzespana noc. Wracajmy lepiej od razu. Ja już prawie usypiam.

8.

Ale w drodze powrotnej senność chyba opuściła Agnieszkę: najpierw niespokojnie się rozglądała, jakby zza każdego zakrętu mógł wypaść ryczący motocykl, wreszcie, kiedy wyjechali z lasu na wąziutką asfaltową drogę wśród rozległych pól, zaczęła pilnie wyszukiwać drogowskazy i skierowała Ignacego prawidłowo na pustą szosę kostrzyńską. Teraz widoki zmieniły się zasadniczo: wjechali pomiędzy morenowe wzgórza i krajobraz stał się bardzo urozmaicony.

– Wygląda tu jak u Brueghla – zauważyła Agnieszka. – Małe skupiska domków pośród wzgórz i dolin.

– Tak, to bardzo malarskie tereny. O, tutaj, po lewej: te sosny, jak z Fałata.

– I ten księżyc nad wszystkim!

– A tu, na prawo, widzisz zakręt z kamieniem? Popatrz w dół: widzisz oświetlone okno? To w pokoju Doroty. To tu byłem na wakacjach, a teraz jest tam ciotka Ida z mężem. Może wpadniemy się przywitać?

– Znów jakieś przyjazne miejsce, gdzie mógłbyś się zatrzymać. Ty to masz dobrze! Nie, nie, daj spokój, nie skręcaj, jest bardzo późno.

– A ten ciemny dom obok należy do pana Chrobota. Ten to już pewnie śpi.

– Czy tam dalej jest jezioro?

– Tak, dobrze widzisz.

Jedźmy, jedźmy. Nie rozglądaj się za wiele. Uwaga, z tamtej strony pędzi coś szybkiego.

– Przecież uważam, Agnieszko.

– Wiem, wiem. Coraz lepiej ci idzie z tym prowadzeniem. Już jesteś mniej spięty.

– W ogóle nie jestem spięty! – zaprzeczył stanowczo.

Ale był. Coś nieokreślonego nagle się wkradło do tej zwyczajnej na pozór rozmowy. Ignacy wyczuwał przez skórę, że nastąpiła jakaś zmiana, zwłaszcza że jego pasażerka nagle umilkła. Zbyt go jednak pochłaniała jazda po ciemku – pierwsza w życiu, poza tymi obowiązkowymi na kursach – żeby się miał jeszcze zagłębiać w odcienie jej przelotnych nastrojów. Wszystko już jedno, mniejsza o nastrój, byle tylko dojechać szczęśliwie do Nekli i wysadzić Agnieszkę, zdrową i żywą, na stały grunt przed domem.

Trochę się bał zjazdu na dwupasmówkę, ale ostatecznie okazało się, że o tej porze był na niej mały ruch. Mimo to dość długo stał na jej skraju, czekając na zielone światło, a następnie nabierając odwagi, i ruszył dopiero wtedy, kiedy naprawdę nic absolutnie nie jechało z żadnej strony.

Teraz pozostało już tylko kilkanaście kilometrów prostej, gładkiej, dobrze oświetlonej drogi krajowej.

Po prawej widać już było z daleka iluminowaną kopułę kościoła w Nekli. Kiedy go minęli, rychło dotarli do zjazdu. Wtoczyli się na jakąś ulicę i Ignacy, przystając na skrzyżowaniu, zapytał o dalsze wskazówki. Ale odpowiedziała mu cisza.

Spojrzał w prawo.

Agnieszka spała.

No i kłopot!

– Hej, hej, pobudka – powiedział łagodnie i zapalił lampkę pod sufitem.

Spała tak smacznie, że Ignacy dopiero teraz poczuł, jak bardzo sam jest zmęczony. Głowa opadła jej na bok, lewą skroń miała na oparciu fotela. Twarz tchnęła spokojem, który był zarazem niesłychanie sekretny i pociągający. Tak, słowo „sekretny” było tu jak najbardziej adekwatne. Zresztą to drugie też. Może nawet bardziej. Powieki były gładkie i białe, ciemne rzęsy leżały spokojnie, oddechu prawie nie było słychać. Pełne usta ułożone były – tak jak zwykle! – w delikatny wyraz kpiącej czułości.

Trzeba ją obudzić. Najchętniej by to zrobił za pomocą długiego pocałunku, jak aktor filmowy w scenie pożegnania przed domem.

Ale po pierwsze, nie był aktorem, po drugie, nie był obleśnym satyrem ani też nędznym złodziejem, który kradnie całusy jak prostak. Po trzecie, ona spała, była pod jego opieką, bezbronna. Po czwarte, była i miała być! – tylko jego koleżanką. Po piąte, on, prawdę mówiąc, nadal nie śmiał jej dotknąć.

Dmuchnął jej delikatnie na czoło.

– Aga!...

Teraz otworzyła oczy i przez chwilę mógł w nie zaglądać: patrzyły nierozumiejąco, jakby wciąż jeszcze wpatrywały się w to, co widziały we śnie.

– Co, co? – powiedziała niewyraźnie.

– To jest Nekla. I ja nie wiem, dokąd jechać.

– A! – powiedziała i uniosła głowę. – Spałam?

– Tak jest. Dobrze, że ja nie zasnęłam. Zwłaszcza za kierownicą.

– Gdzie my właściwie jesteśmy?

– Tuż przy zjeździe.

– To w prawo. Tu, tą ulicą.

Miasteczko już spało, wszędzie panowała cisza. Wieczór nie przyniósł ochłody, powietrze było nadal ciężkie, parne i naładowane elektrycznością. Pootwierane okna w mijanych domkach były ciemne, z rzadka tylko dało się w nich dostrzec chorobliwe, sine migotanie telewizyjne, któremu towarzyszył charakterystyczny, agresywny i pospieszny bełkot. Minęli rząd kulistych drzew na skwerku, pocztę, chałupkę z zakładem fryzjerskim i Aga powiedziała:

– To tutaj.

Na skromnym, niziutkim domku z dachem nachyłkowym i z trzema schodkami pyszniła się przytłaczająco wielka, barwna tablica:

TEKLA W NEKLI
PRACOWNIA ARTYSTYCZNA
RZEŹBA I CERAMIKA
SPRZEDAŻ NA MIEJSCU
PROMOCJA 50%!

Ignacy dojechał golfem pod same schodki, zaparkował na chodniku i powiedział:

– Uff. Dowiozłem cię.

– Dziękuję. To był wyczyn.

– Nic takiego – rzekł, dziwiąc się zarazem temu, że oboje są nagle tacy małowówni i oficjalni, a nie, jak dotąd, swobodni jak ptaki i bezgranicznie rozgadani.

– Dobranoc... – odpięła pasy, otworzyła drzwi i nie wysiadła.

– Dobranoc – odrzekł Ignacy, ściskając oburącz kierownicę.

– Dziękuję.

– To ja ci dziękuję.

– Może się jeszcze spotkamy.

– Pewnie. Jeżyce są małe – odparł Ignacy, myśląc o czymś zupełnie innym.

– To dobranoc. Już muszę iść – powiedziała smutno.

– Okna ciemne. Na pewno ktoś jest w domu?

– Tak, siostra ma pokój od podwórza. A to okno jest moje.

– Aha. Poczekaj, odprowadzę cię. – Ignacy wyłączył silnik, odpiął pasy i wysiadł, po czym otworzył szerzej drzwi od strony chodnika i po raz ostatni obejrzał, jak Agnieszka harmonijnie i z gracją wystawia z samochodu obie nogi.

Pochyliła się jeszcze, definitywnym gestem zabrała z golfa swój kapelusik oraz swoją małą czerwoną torebkę i – nie wiadomo dlaczego – dopiero na ten widok sercem Ignacego szarpnął żal rozstania i ból utraty. W milczeniu wszedł za nią na schodki i stał, oparty ramieniem o ścianę domu, patrząc bezradnie, jak ona szuka kluczy. Dobrze, że z otwartego samochodu padało światło, bez trudu mogła znaleźć zamek.

A Ignacy mógł widzieć w tym oświetleniu jej profil.

Bardzo długo otwierała te drzwi.

– Żałuję, że trzeba się rozstawać – szepnęła wreszcie i spojrzała na niego przeciągle, jednym okiem.

Ignacy czuł to samo, plus dreszcze. Zacisnął zęby, a potem z nagłą determinacją złapał Agnieszkę za nadgarstek i pocałował jej palce, mówiąc bez tchu:

– Dobranoc... moja miła.

Zbiegł na oślep po schodkach i omal nie złamał sobie nogi na krawędzi jednego z nich. Wpadł do samochodu i stamtąd patrzył, jak Aga rzuca na golfa ostatnie przesywające spojrzenie, a potem odwraca się i znika za drzwiami.

Wkrótce zapaliło się światło za cytrynowymi zasłonkami, a samo okno zostało, z lekkim stukiem, otwarte na oścież.

I nastała długa cisza.

Na pewno poszła się kąpać, pomyślał Ignacy i uśmiechnął się bezwiednie. I w tej samej chwili ogarnęła go niewymowna tęsknota.

Tkwiał bez ruchu w samochodzie i usiłował dojść do ładu ze swoimi myślami oraz z dziwną burzą uczuć ambiwalentnych. Ale szło mu raczej trudno. Bolała go noga w kostce i cały był przejęty najzupełniej nieodkrywczą myślą, że życie jest zaskakujące, a przede wszystkim krótkie.

Długo tak siedział, patrząc na drżące niekiedy żółte zasłony, i zastanawiał się, czy bardzo się wygłupił, czy tylko troszkę. To, co uczynił pod wpływem impulsu, było nieznacznym zaledwie przekroczeniem granicy koleżeńskiej zażyłości. Najwidoczniej – niezbyt drastycznym, skoro nie oberwał po gębie. Jednakże należy sobie zdać sprawę z tego, że raz przekroczywszy choćby o milimetr linię demarkacyjną, trudno potem z pełną swobodą powrócić do stanu poprzedniego. Znając siebie, mógł przypuszczać, że teraz uruchomi się w nim mechanizm hamowania, w każdym razie – nie wyobrażał sobie, jak miałby się zachować przy ewentualnym spotkaniu Agnieszki na którejś z jezyckich tras. Efekt będzie pewnie taki. że, nieszczęsny, zacznie jej unikać, a wręcz chować się na jej widok po bramach.

Życie introwertyka jest ciężkie i przebiega jak po grudzie.

Westchnął, strapiiony, a może nawet nieszczęśliwy, zamknął wreszcie drzwi, włączył stacyjkę i przez chwilę siedział bez ruchu. Wreszcie przekręcił kluczyk.

I nic.

Spróbował jeszcze raz. I jeszcze raz. Kontrolki tradycyjnie przygasały, a rozrusznik jęklawie wyrażał swą zupełną niemożność.

Cóż, nic strasznego zapewne. „Kumulator”. Nie należy go dusić. Trzeba wyjść i poszukać jakiejś pomocy. Może popchnie golfa jakiś spóźniony przechodzień. Zawsze ktoś taki się znajdzie na ulicy, co swoją drogą jest okolicznością zastanawiającą. Ale to za chwilę. Na razie coraz bardziej bolała go kostka (kto wie, czy jej sobie nie wykręcił, a może nawet doszło do złamania!), więc równie dobrze mógł tak sobie jeszcze posiedzieć, patrząc na to miłe okno.

Nie chciało mu się zostawiać tu Agnieszki, czuł się tak, jakby opuszczał cząstkę swej istoty, i to tę najlepszą. Z niechęcią myślał o drodze powrotnej. Będąc zaledwie gorszym fragmentem samego siebie, przyjedzie, tak okaleczony, do rozpalonego miasta, w upale przejdzie z parkingu na Roosevelta, gdzie nawet o tej porze trwa pandemonium budowlane, i myśląc nieustannie o Agnieszce i o tym, jak mu było z nią dobrze, dotrze wśród nieznośnego hałasu pod drzwi dziwnie pustego mieszkania...

W tym punkcie swoich rozważań wyprostował się nagle.

Zaraz! A klucze?!

Klucze od mieszkania przy Roosevelta zostały w jej czerwonej torebce!

Dobrze, że jeszcze nie spała: światło w oknie się paliło, więc Ignacy wyskoczył z golfa i podszedł, utykając, po czym delikatnie zapukał w parapet.

Zasłona rozsunała się natychmiast i ukazała uszczęśliwioną Agnieszkę z wyciągniętymi ramionami.

Ignacy chciał powiedzieć słowo „klucze”, ale nie zdążył.



Jeżeli ta część Jeźycjady sprawiła Ci przyjemność,
możesz wyrazić uznanie dowolnym datkiem w bitcoinach, wysłanym na adres:
13vGUT836wYZsJ1U5n4Q3jkQnBJYSdPiaz
50% wpłat trafia do Autorki

13 sierpnia, wtorek

1.

Gabuś, to ja, ależ upał dzisiaj, co? 34 stopnie od rana, u Was też? Co ja gadam, na pewno też. Nie do zniesienia. Tak jeszcze nie było. Marzę o tym, żeby wejść pod prysznic i siedzieć pod nim z książką przez cały dzień, a zimna woda żeby mi się lała na moją biedną głowę, ale Dorota, która dziś jedzie do sklepu z transportem jajek, okupuje łazienkę od samego rana, pierze tę śliczną sukienkę niebieski), myje głowę etc., i to wszystko już trwa chyba godzinę. Na domiar złego upiekła o świcie całe dwie blachy ciastek, więc w domu jest jeszcze goręcej. Co jej strzeliło do głowy!? Taki stary żeliwny piec kuchenny opalany drewnem trzyma ciepło przez cały dzień! To jest horrendum.

Wobec powyższego znikam z Mareczkiem w naszym rajku na cały dzień, nie wiem nawet, czy wrócimy na obiad, po co mamy się wlec w taki upał z powrotem. Lepiej wezmę koszyk z jedzeniem i tam sobie pouczujemy, siedząc po uszy w wodzie. To już ostatnie dni jego wakacji! Jutro musimy niestety jechać z panem Chrobotem do majstra samochodowego, będziemy go ponaglać w sprawie mojego autka. Już kupiliśmy dwa czteropaki, żeby wzmocnić siłę naszej perswazji, no bo rzeczywiście, pan Chrobot ma słuszność: jak można od człowieka wymagać, żeby w taki upał pracował, i to o suchym pysku?! Trzeba ładnie poprosić.

Piszę, żeby donieść Tobie i Florkowi, że w naszym wymarzonym Domu nie ma jednak żadnej kanalizacji. Natomiast obok wzgórza, pod kępą dzikiego bzu, odkryliśmy miejsce, gdzie na pewno stała drewniana wygódka. Są bezsporne dowody. Powiedz Florkowi, żeby nie triumfował, ja osobiście uważam, że to nawet lepiej, że w naszym Domu nie leżą jakieś przegniłe rury lub, co gorsza, ich szczątki, bo przynajmniej sprawa jest czysta (nie wiem, czy użyłam adekwatnego przymiotnika) i niczego nie trzeba przetykać, położy się dwie – trzy nowe rurki i wszystko będzie cacy. Ale oczywiście ani słowa o tym nie pisaliśmy tutejszym starszkom, wciąż zachowujemy pozorną obojętność wobec oferty. Swoją drogą, powiedz Florkowi, że dobrze by było, gdyby zdołał jak najszybciej się urwać od swoich obowiązków, choćby na dwie godzinki, i przyjechać tutaj na oględziny. Niechby chociaż przysłał Józka, on coś doradzi.

Chyba będzie dzisiaj burza, bo babcię Wiktę łamią kości. Ale nawet jeśli nas złapie – (to znaczy, burza, nie babcia Wikta) nad naszym jeziorem – mamy gdzie się schronić!

O, nie wierzę! Dorota wyszła z łazienki!

No, to idę pod prysznic, głowę umyję. A potem – siup nad jeziorko! Życie jest piękne! Zwłaszcza tu!

Są chwile, Gabuniu, gdy żałuję, że zostałam lekarzem. Może trzeba było obrać drogę pana Chroboty: rybki, grzybki, krowa, woda ognista, i co go obchodzi stan służby zdrowia w naszej ojczyźnie. Jakież piękne i beztrudne wobec tego są tu jego noce i dni. Zastanawiam się, czy to przypadkiem nie on jest najbliższy sławionym przez naszego ojca cnotom stoickim. Przemyślmy to wspólnie.

Bene vale!

Ida

2.

Iduś, odpisuję natychmiast, nie czekajcie na Florka! Oznajmił ustami Pulpy, że ani mu się śni oglądać Twoją wygódkę, a już na pewno nie dzisiaj. Pracowali z Józkiem od czwartej rano, bo wyczytali w prognozie, że dziś padnie rekord gorąca (moim zdaniem już padł – jest przed dziesiątą, a mamy 35 stopni w cieniu!). Wrócili wcześniej z budowy, bo się już nie dało wytrzymać, i Patrycja mówi, że bardzo mu skoczyło ciśnienie. Ty też lepiej byś w domu

siedziała, nie na słońcu. Nawet nad wodą! Przynajmniej rudą głowę nakrywaj! Pamiętaj, że już nie jesteś młodziutka, a nawet jeśli kiedyś byłaś, to i tak upał Ci szkodził. Zresztą, komu nie szkodzi. Zwłaszcza biedny Tata sapie dziś i dyszy, ech. nie mogą się nacieszyć, żeśmy ich przeschczepili z miejskiego gruntu na tereny zielone.

Józek ma Twoją wrażliwość na upał: biedaczysko wrócił z budowy czerwony jak wiśnia, spocony, ale szczęśliwy. Pracuje zawzięcie, ale niechby nie przesadzał z tą zawziętością (masz rację, gdy mówisz o jego podobieństwie do Twojego ulubionego ordynatora). Jakiś zaaferowany jest ostatnio ten Józinek, dużo konferuje z naszą Mamą. A Mama zapytana o co chodzi, śmieje się i mówi: „tylko się cieszyć, tylko się cieszyć”.

O bladym świcie dzwoniła biedna Laura. Wszyscy się obudziliśmy. Miała mdłości poranne przez całą noc. Doradziłam nieustanne wężanie świeżego koperku (mój sposób) lub jedzenie (wyłącznie nierozmiękłych) ogórków małosolnych (sposób Pulpecji). Natalia podsunęła swoją metodę: sok z buraka na zimno, z liściem selera naciowego, nasza Mama natomiast wspomniła sennie o śledziu. Laura krzyknęła, że na samą myśl o naszych sposobach już wymiotuje i mamy zamilknąć, bo ona teraz musi sobie zrobić wodę z cytryną. Jak pije wodę z cytryną (bez cukru), to nada! ma mdłości, ale przynajmniej nie wymiotuje. (Czasem też pomaga jej jednoczesne żucie listków mięty). W tle rozbrzmiewał Adam, który z przejęciem oferował jej lody, ale nie spotkał się z dużym entuzjazmem, przeciwnie. Powiedziała wybuchowo, że jak widzi coś słodkiego, to mdłości poranne zamieniają się jej z całonocnych w całodzienne.

A przed chwilą dzwoniła do mnie Łusia i pytała, dlaczego nie może się do Ciebie dodzwonić. Powiedziałam jej, że w tej dolince nie masz zasięgu, na co ona zawiadomiła mnie, że musi z Tobą porozmawiać. Spotkała otóż w Oksfordzie bardzo interesującego rodaka, który tam studiuje już cały rok i gorąco ją zachęcał, żeby postudiowała z nim. (Chyba czekają Was wydatki w nieodległej przyszłości, więc może przyhamuj z wyrzucaniem pieniędzy na zrujnowane domki bez kanalizacji). Aha, rodak jest brunetem i ma zrosnięte brwi, a oczy szare. W Anglii nie mają teraz upałów. Pogoda umiarkowana, a Łusia była z rodakiem w kinie i w Bibliotece Bodlejańskiej i niezwykle ją to zainteresowało. Poradziłam jej, żeby wysłała Ci maila, ale odparła ze zniecierpliwieniem, że nie ma czasu na ślęczenie w domu. bo wybiera się właśnie na koncert muzyki kameralnej na wolnym powietrzu. Co Ty na to?

Kończę, bo przyszedł Szymon i czeka na swoją kolejkę przy komputerze Florka.

Aha, przyslij mi przepis na ten nadzwyczajny chłodnik boćwinkowy Dorotki, dobrze? Patrycja się zainteresowała. Mówi, że jej na pewno jest lepszy, ale musi to sprawdzić.

Całuję Cię zimno –

Gab.

PS Ignas co prawda nie wyłączył telefonu, ale za to na odmianę w ogóle go nie odbiera. Jak myślisz, co by to mogło znaczyć?

3.

Ignacy Grzegorz Stryba stał przy niskim oknie i robił wizję lokalną, wyzierał na zewnątrz, porównywał, mierzył wzrokiem, oceniał i medytował.

Jak to się stało, że wszedł do jej pokoju przez to okno, ze skreconą, a może nawet pękniętą kostką u nogi?

Sam się sobie dziwował.

Pocałowała go, gdy stał z drugiej strony, na chodniku, a dolną linię okna miał na wysokości pasa. Po prostu wychyliła się i objęła go za szyję, i zamknęła mu usta cudownym pocałunkiem, i wciąż całowała, nie przestając ani na chwilę, a więc co się stało? Jaka siła przeniosła go przez parapet? Ho przecież sam by nie przeszedł, nie śmiałby.

No i przecież ona też mu nie pomogła, bo wciąż go obejmowała. A on w tym samym czasie bez najmniejszej chwili przerwy obejmował ją.

No więc jak to się stało?

Nie pamiętał.

I to również było zdumiewające.

Chyba że ona naprawdę była czarownicą, ale taką dobrą, taką, która obdarza tylko szczęściem, budzi w człowieku utajone siły i każe mu dokonywać rzeczy niewiarygodnych, wprost nadludzkich?

Lewitować!?

Czuł się, jakby urosły mu potężne skrzydła. I jakby sam urósł, nagle i znacząco. I czuł się z tym bardzo dobrze! Czuł się jak nigdy dotąd! Czuł się – innym, większym i lepszym człowiekiem!

Stanął w oknie i wyjrzał na ulicę. Świat też był dziś inny. Wszystko było bardzo wyraźne, jakby obrysowane nowym, świetlistym konturem. Dziwne! Bo przecież niebo właśnie zaciągnęło się chmurami. Powietrze było jeszcze gorące, ale już nie tak duszne, jak dotychczas.

Będzie burza. Będzie wielkie przesilenie. Wszystko się zmieni. Nie tylko w pogodzie, o nie. Proszę bardzo! Ignacy czuł, że od dziś jest w stanie sprostać każdemu przesileniu, każdemu wyzwaniu i w ogóle wszystkiemu. I nic mu już nie było straszne!

Golf stał najspokojniej na chodniku pod oknem i miał otwarte okna oraz kluczyki w stacyjce. Ignacy się zdumiał. Jak to? A więc zostawił samochód ojca niezamknięty, na pastwę losu? Ach tak, prawda, wyskoczył z niego tylko na chwilę, po klucze od domu!

A potem został zaczarowany, rzecz jest pewna. Nawet teraz miał cudowny zawrót głowy i poczucie, że jest wypełniony czymś lżejszym od powietrza i że unosi się kilka centymetrów nad ziemią. I w dodatku skręcona noga chyba mu się cudownie zrosła albo co, bo zupełnie go nie bolała! Może przez to jej uroczne oko?

Gdzie właściwie jest Agnieszka?

Ledwie to pomyślał, usłyszał jej cichy głos w głębi domku. I znów ktoś na nią z furją krzyczał. Ale ona dzisiaj odpowiadała spokojnie i nie płakała. „Będziesz niewolnicą!” – dał się słyszeć głośniejszy zarzut napastniczki. Na korytarzu zrobił się ruch i wściekły głos znacznie się przybliżył. „Chcesz marnować sobie życie...”

– ...to proszę bardzo! Ale nie pod moim dachem! – mówił ktoś, wkraczając gwałtownie do pokoju.

Kobieta czterdziestoletnia, ostra i zła. Miała na sobie strój do karate i wyglądała na gotową do walki, mimo opatrunku na nodze. Tekła.

Spojrzała na Ignacego, jakby go chciała zabić wzrokiem. Była bardzo podobna do swojej matki, Gorgony, i tak samo go nie znosiła. I identycznym gestem, władczo, bez słowa, wskazała mu wyjście.

Ale on tym razem się nie podporządkował.

– Dzień dobry, moje kochanie — powiedział ze spokojem, obronnie obejmując Agnieszkę za ramiona. – Pakuj swoje rzeczy, na nas już czas.

Aga spojrzała na niego, zaskoczona. Cóż, on sam siebie dziś nie poznawał. Był zakochany po uszy, jak nigdy dotąd. Był też pełen magicznej mocy. I dlatego był panem sytuacji.

Agnieszka złapała torbę podróżną, stojącą koło tapczanu, wrzuciła do niej jakieś szmatki oraz książkę z nocnego stolika, nasadziła z fasonem kapelusik, zawiesiła na ramieniu czerwoną torebkę i oznajmiła:

– Jestem gotowa.

Ignacy ukłonił się Tekli w milczeniu, z godnością, wziął torbę, ujął Agę za rękę i wyszli.

Tekla stała bez słowa i ruchu, patrząc za nimi, po czym ocknęła się i ruszyła ich śladem. Wyszła na schodki, przybrała pozycję bojową, lecz wyglądała raczej tak, jakby chciała coś powiedzieć. I jakby nic jej nie przychodziło do głowy.

Za to Ignacy miał coś do powiedzenia:

– Mam małą prośbę – rzekł uprzejmie. – Czy mogłaby pani z łaski swojej popchnąć nam samochód? Kłopot z akumulatorem. Zwykłej kobiety nie śmiałybym prosić, ale pani jest taka silna.

4.

Kiedy temperatura wzrosła do czterdziestu stopni w cieniu, a ludzie opadli z sił, umilkli i tylko dyszeli, na niebie pojawiły się chmury – ciężkie, szare i żółtawobure.

Dziadkowie spali.

Józek coś zjadł i znikł. Widziano go ostatnio, jak w białej koszuli i czapce mknął na rowerze w kierunku sklepu.

Szymon tkwił przed komputerem, a Jędrusia nigdzie nie było widać.

Patrycja też zdrzemnęła się na chwilę, ale zaraz obudziło ją wibrowanie telefonu. Dzwoniły z Hiszpanii Ania i Nora, wspominając o braku gotówki i pytając, czy mogą jednak użyć karty kredytowej. Zapytane o pogodę, odparły, że jest do bani. zimno i leje, najstarsi Hiszpanie nie pamiętają takiego lata. Natomiast młodzi Hiszpanie są bardzo sympatyczni i otwarci, pogodni, a wręcz radosni z natury i tylko by wciąż tańczyli oraz śpiewali. Nora nauczyła się flamenco, a Ania została królową fiesty i ogólnie podziwiano jej złote włosy, dostała też bukiet purpurowych róż. Tu nastąpił podwójny wybuch perlistego śmiechu. Patrycja zapytała, jak tam postępy na kursach językowych, na co jej córki odpowiedziały, że ma być spokojna, tu się nie można nie nauczyć języka, gdyż kontaktów międzyludzkich jest w bród, a wszyscy są tacy życzliwi.

Patrycja już nie mogła spać.

Spał za to obok niej Florian, który zasnął dziś od tego upału i pracy na słońcu. Kazała mu się położyć i o dziwo, posłuchał bez szemrania. Leżał teraz na wznak, oddychał wolno i głęboko, a jego opalona twarz o białym czole miała wyraz satysfakcji i spokoju. Telefon go nie obudził, nic by go chyba nie było w stanie obudzić. Patrycja chciałaby mu zaraz opowiedzieć o córkach i usłyszeć jego żartobliwe, uspokajające słowa, ale zamiast tego przesunęła nieco wentylator, żeby Florka owiało chłodniejsze powietrze, i zapatrzyła się na męża.

Co ja bym bez ciebie zrobiła na tym świecie, pomyślała i ujęła jego spracowaną, mocną rękę. Tylko mi bądź zdrowy. Spij, śpij. Odpoczywaj. Tyle roboty na siebie nabrałeś. Wszystkim jesteś potrzebny. Wszystko z siebie oddajesz, nic dla siebie nie chcesz. To chociaż się wyśpij.

Jakby usłyszał przez sen jej myśli – jego dłoń uścisnęła bezwiednie jej palce.

Patrycja położyła głowę na poduszce obok i tak leżała, trzymając go za rękę, nie śpiąc, tylko patrząc, jak on oddycha.

5.

Gabriela też nie spała, oczywiście. Nigdy nie umiała spać w dzień, zawsze się zrywała po kilku chwilach spędzonych w pozycji leżącej, gotowa do biegu, do pomagania, do opiekowania się i wspierania.

Zajrzała troskliwie do rodziców, zobaczyła, że śpią przy wentylatorze i zasłoniętych oknach i wycofała się na palcach. Poszła do kuchni, wzięła swój telefon z kredensu i zadzwoniła do Róży.

– Dajesz radę z tą całą gromadą? – zapytała niespokojnie.

– Jasne – odpowiedziała rześko jej pierworodna na miłym tle śpiewu angielskich ptaków i szumu angielskich drzew. – To tylko w samolocie sytuacja jest trudna do opanowania. Łusia sobie zwiedza Oksford, a ja z młodszymi właśnie siedzę w ogrodzie. Karolek leży na plecach w basenie dmuchanym, Ziutek jest na huśtawce, a Miła im czyta Brzechwę. Świetnie się czują razem, powinni częściej się widywać. Jak tam Laura?

– Młodości poranne.

– To wiem, bo dzwoniła do mnie o świcie. Poradziłam jej wodę z cytryną. Pomogło?

– Wątpię, bo potem dzwoniła i do nas. Ale preferuje jednak twój sposób.

– Pytam, jak wygląda i w ogóle.

– Wygląda pięknie i zdrowo, a w ogóle to wszystko jak zawsze.

– Oj, to ciężko będzie.

– Adam sobie poradzi – rzekła Gabriela z całkowitym przekonaniem.

– Już sobie poradził, no nie? A jak ty się czujesz, mamusiu? Podobno macie koszarne upały?

Gabriela nie miała w zwyczaju opowiadać o tym, jak się czuje.

– Już dziś się chmurzy, dobrze będzie – odpowiedziała optymistycznie.

I miała rację.

O wpół do jedenastej nadciągnęły chmury i zerwał się silny wiatr, niosąc kłujące bicz z piasku. Natychmiast też dały się słyszeć paniczne okrzyki: to Natalia, jak szczuplutka, ruda i spłoszona kwoka, biegła po podwórku i ogrodzie w poszukiwaniu swojego młodszego pisklęcia. A Jędrusia ani jego roweru nie było nigdzie widać.

– Zadzwoń do niego! – poradziła Gabriela siostrze, wychylając się przez kuchenne okno, lecz okazało się, że już nawet Jędrzek wiedział, co zrobić, żeby uzyskać minimum swobody: jego komórka była wyłączona.

– Ale na pewno ma ją przy sobie, nie pozwalałam im chodzić do lasu bez... – Potężne uderzenie wiatru porwało ostatnie słowa Nutrii, a marchewkowe jej loki rozwiały się jak chmurka.

Po jedenastej odezwał się pierwszy grzmot. Wicher runął taki, że cały las zaczął huczeć. Natalia chodziła w kółko po podwórzu, łamiąc ręce, a z ganku uspokajał ją Szymon, który zasiadł tam w oczekiwaniu na burzę (świetnie było ją obserwować tak na żywo. Stąd wyglądała zawsze o wiele wspanialej, niż z okna w mieście. No i zawsze istniało to rozkoszne a małe ryzyko, że wpadnie tam piorun kulisty).

– Przecież on nie jest głupi – mówił właśnie, gdy tuż nad domem przetoczył się grzmot, za nim drugi i trzeci, a z lasu wypadł mały rowerek z małym chłopcem, pedałuującym ze wszystkich sił, czerwonym jak rzodkiewka oraz silnie zasapany. – O, a nie mówiłem?

Jędrus dojeżdżał właśnie pod ganek, gdy niebo rozerwało się wielkim wyładowaniem, rozbłysła biała błyskawica i zaraz potem lunął wielki deszcz.

6.

Lało i lało. Ciężkie krople waliły gęsto o dach, a Ida i Marek Pałysowie, objęci, stali i stali w swoim leśnym Domu, bo nie było tu na czym usiąść. Idę bolała noga, więc dobry mąż wziął ją w ramiona i kazał jej się oprzeć i przenieść cały ten słodki ciężar na niego. To mu pozwoliło całować ją w uszko.

Patrzyli na świat przez wyrwę, w której już niebawem mogłoby bieleć nowiutkie okno. Widzieli murek, na którym został koszyk z ich obiadem, zalewany teraz dokumentnie przez istny potop z nieba, i czuli, że są bardzo głodni. Ale żadne z nich nie zrobiło wyrzutu drugiemu, bo byli na to za mądrzy. Stare dobre małżeństwo, oto, czym byli po jakże szczęśliwym zażegnaniu ostatniego kryzysu.

Ta burza była nieprawdopodobna! Świat był przesłonięty jakby szarym, mętnym, drgającym filtrem: „biały szkwał”, powiedział Marek. Drzewa szalały na wietrze, wszystkie

kolory zgasły. Łoskot ulewy wzbogacony był odgłosem milionów kropeł, siekących gęstą szklaną kaszą o powierzchnię jeziora. Grzmoty waliły jeden za drugim, a raz widzieli, jak biały widelec światła uderza w wodę, zaś trzask gromu omal ich nie ogłuszył.

Słysząc też było gęste, bardzo gęste kapanie wewnątrz Domu i szybko wyszło na jaw, że dach przecieka co najmniej w pięćdziesięciu miejscach, który to fakt wyjaśniał ogromne i nieodwracalne zniszczenia podłogi.

– Ale właściwie po co mielibyśmy kupować ten Dom? – zapytał nagle Marek, z miną taką, jakby go coś nagle olśniło.

– No jak to: po co? – Żeby go mieć! – odparła zaniepokojona Ida.

– A jakbyśmy go mieli, to co?

– Moglibyśmy do niego przyjeżdżać na wakacje, spędzać na tej górcie rozkoszne słoneczne dni, kąpać się na golasa, opalać się bez świadków, podziwiać chmury, łapać raki i ryby, zbierać owoce, a jakby była burza, to mielibyśmy gdzie się schronić!

– A teraz nie mamy?

– Hm. Mamy. Ale jest lato. A zimą? Dokąd byśmy przyjeżdżali? Gdzie byśmy rozpalali w kominku, patrzeli przez szybę na śnieżną zadymkę i pili nasze wymarzone grzane wino z korzeniami?

– Zimą pracujemy od rana do nocy, a także w nocy. I tak aż do starości. Później.

– Ale na tę starość mielibyśmy jakieś schronienie, Mareczku. Mamy troje dzieci i tylko jedno mieszkanie. Czas pomyśleć przyszłościowo.

– Zdążymy.

– A jak nam ktoś ten Dom podkupi?

– Zakład, że nie.

– Ale jeśli?

– No, tu mnie masz. Jak nam ktoś podkupi, to jednak go stracimy.

– A widzisz. No dobrze, może to jeszcze przemyślimy. Ja się nie upieram. Faktem jest, że będziemy potrzebować pieniędzy. Gaba sygnalizuje, że Łusia chciałaby studiować w Oksfordzie.

– Łusia najpierw niech zda maturę – rzekł Marek i ziewnął.

Znów strasznie rąbnęło w jezioro i Ida wtuliła się z rozkosznym piskiem w ramiona swego mężczyzny.

– Musimy tu koniecznie założyć piorunochron – powiedziała.

7.

Gabuniu!!!!

Mam Ci tyle do opowiedzenia, że nie wiem, jak zacząć!!!!

A muszę Ci opowiedzieć, bo komu innemu opowiem, a jak nikomu nie opowiem, to pękne!!!!

Dobra, więc zacznę od początku, próbując się uspokoić, ale to ostatnie nie przyjdzie mi łatwo, bo płaczę ze wzruszenia i się śmieję jak głupia cały czas, i nie mogę przestać.

Od początku, tak?

Burza nas oczywiście złapała nad naszym jeziorkiem. Przeczekaliśmy ją w naszym Domu i jak tylko Marek zobaczył, że dach przecieka w straszny sposób (przedtem tego nie było widać, sama rozumiesz dlaczego), zaczął mnie po swojemu odwozić od pomysłu kupna. Wiesz, jacy są mężczyźni. Strasznie uparci. Ale się nie dałam.

Lało i lało, pioruny waliły w jezioro, widowisko było cudowne. Ale kiedy burza się wystrzelała, a mijala już druga godzina tej szalonej ulewy, a my nie mieliśmy nawet gdzie usiąść, zrobiło się znacznie mniej cudownie, bolała mnie noga i postanowiliśmy wracać do dolinki. I właśnie wtedy nastąpiło istne oberwanie chmury, przy którym poprzednia ulewa była nędznym kapuśniaczkiem. Szliśmy, ślaniając się i przemakając na wylot, i raczej nie

czuliśmy się już tak bosko, bo zaczęły nas boleć kości, a moje niemłode już nerki zachowywały się w najwyższym stopniu nadaktywnie. Na szczęście znad jeziora nie mamy daleko do Rumianków, więc wbiegliśmy do ciepłego domu już po kwadransie, całkowicie zziębnięci i drżący. Od razu w sieni wpadliśmy na obie skrajnie rozgorączkowane babcie, które kulily się pod zamkniętymi drzwiami pokoju Doroty, najbezwstydniej w świecie podsłuchując.

Dygocząc, przemknęliśmy z niesmakiem za ich plecami, a zza drzwi słysząc było jakiś gruby męski głos, który mówił i mówił, i mówił. Dorota od czasu do czasu wtrącała słówko.

Wytarliśmy się i przebraliśmy w suche rzeczy, po czym wpakowałam dygoczącego Marka pod pierzynę, a sama poszłam do kuchni po gorącą herbatę i coś do jedzenia. Przecież nie jedliśmy obiadu! Ledwie napełniłam czajnik, babcie już były ze mną.

– Dorota przywiozła nowego kawalera! – wyszeptła babcia Andzia, z wypiekami na swej drobnej twarzyczce.

– Tego, co jej dał korale! — dorzuciła świszczącym szeptem babcia Wikta i wierz mi, nigdy jeszcze nie widziałam jej tak poruszonej. Bardzo kochają tę dziewczynę i trudno się dziwić.

– A więc to na pewno nie Igor?! Wniosłam oczy dziękczynnie do nieba.

– Gdzie tam, gdzie tam! Gdzie tamtemu do tego! – zaszemrała babcia Andzia. –

Wikciu, a może im damy kawę albo ciasteczka?

– Przecież od razu proponowałam, powiedzieli, że dziękują.

– Siedzą tam ze dwie godziny, pewnie zgłodnieli. Dorota obiadu nie jadła!

– I jaki jest ten kawaler Dorotki? – spytałam, umierając z ciekawości.

– Piękny mężczyzna – szepnęła z zachwytem babcia Andzia, przewracając oczami, a babcia Wikta spojrzała na nią z pobłażliwością i dorzuciła tonem konspiracyjnym:

– Straszny gaduła. Ale nie powiem, przyjemny dla oka. Włosy mógłby mieć inne, na ten przykład czysty blond. Ale mimo to ładnie się uśmiechnął na przywitaniu.

– W ręce nas pocałował – szeptała żarliwie babcia Andzia.

– A Dorotka powiada: babciu, żebyś wiedziała, to on mi dał te korale!

– Tylko że koszulę miał podartą i pokrwawioną. Ale żeby wyglądał na zbója, to nie.

Dobrze mu z oczu patrzy.

– Miastowy. To od razu widać. Ale porządnie wychowany. Ukłoni się, kobietę przodem przepuści, żadnych brzydkich wyrazów. Spokojny taki.

– I co jeszcze, co jeszcze? – pytałam ciekawie. Ale już nic więcej mi nie mogły powiedzieć, bo, jak się okazało, od razu po wstępnej prezentacji Dorota zabrała kawalera do swojego pokoju i zamknęła drzwi przed babciami, robiąc srogą minę, mającą oznaczać, że nie należy tam wchodzić pod byle pretekstem i przeszkadzać w rozmowie.

Zaniosłam Markowi tacę z posiłkiem, lecz okazało się, że na próżno się trudziłam – już spał w najlepsze. Przy jego zastarzałych deficytach snu czasem sam widok czegoś poziomego wystarczy, żeby biedak zapadł w letarg.

Cóż było robić? Sama wypiłam herbatę z cytryną, nawet kapnęłam Jo niej rumu, rozgrzałam się, ale jakoś nie mogłam spokojnie usiedzieć. Wyszłam do sieni, a tam znów dwie ciekawskie tłoczą się pod drzwiami i przepychają przed dziurką od klucza!

– Już byście się wstydziły – szepnęłam do nich ostro. — Czy dziewczyna nie ma prawa do prywatności? Odsuńcie się!

Posłuchały mnie i dzięki temu mogłam zajrzeć przez dziurkę, ale zobaczyłam tylko Dorotę, jak siedzi z zachwyconym uśmiechem naprzeciwko kogoś, kto oburącz trzyma ją za ręce. I gada jak nakręcony. Deszcz strasznie huczał i walił w dach, nie mogłam dosłyszeć, o czym ta mowa, ale widziałam, że w każdym razie Dorocie strasznie się to podoba. Raz po raz kiwała z zapalem głową.

Babcia Andzia odsunęła mnie zazdrośnie od dziurki i sarna zaczęła zaglądać, gdy wtem odskoczyła jak oparzona i krzyknęła:

– Całują się! Całują się!

– I bardzo dobrze – uciszyła ją Wikta i złapała ją za kołnierz. Nie waż się wchodzić! Narobiły jednak takiego hałasu, że nastąpiła wpadka i kompromitacja. Drzwi się otworzyły i zostałyśmy przyłapane na podsłuchiowaniu i podglądaniu, wszystkie trzy!

Dorotka jednak się nie gniewała. Uśmiechnięta, rozpromieniona, zarumieniona, zobaczyła mnie nad głową Andzi i mówi:

– A! Jesteś! A to właśnie ON!

Aaa! Aaa! Jaka jestem głupia!

Nawet jak wyszedł zza futryny drzwi i osłupiał na mój widok, jeszcze ciągle myślałam, że to Florian go przysłał na oglądanie Domu!

– Cześć, synuś – mówię pogodnie – co ty tu robisz w taki deszcz, lebiego? Dopiero co stamtąd uciekliśmy!

A babcia Andzia, z boczku, cienkim głosikiem zabobonnym:

– O wszyscy święci, jaki znów synuś?!

– Pierworodny – ja na to. – Krew z krwi, kość z kości. Józef Pałys. Moje dziecię.

Dorota zrobiła wielkie oczy i nagle jak nie wybuchnie śmiechem!

– Przecież to jest właśnie... – zakrzyknęła wreszcie. – No, ja nie wytrzymam! To się nie dzieje! Przecież to jest właśnie – mój Józinek!

A mój syn w milczeniu wziął ją za rękę i uśmiechnął się szeroko do nas wszystkich.

Ciekawa jestem, czy odgadniesz, jak się zachowała Twoja biedna, biedna siostra?

Otóż, zupełnie nie jak teściowa! Ł nawet, niestety, nie jak dorosła osoba. Zachowałam się jak znana Ci piętnastolatka, która pomalowała Lisieckich na zielono! Po prostu mi odbiło!

Przed wszystkim ły mi się polały z oczu, tak się momentalnie wzruszyłam tym "mój Józinek".

Ale, jakie to dziwne, zarazem wszystko do mnie nagle, w jednej chwili dotarło – że ona go kocha, tego mojego mruka, a on ją, że to o nim mówiła te wszystkie piękne słowa, że to on jest tym ideałem i że ta dziewczyna ma, u licha, jak zwykle rację, bo absolutnie wszystko, co mówiła, pasuje do Józka, i nie mogłabym zaprzeczyć żadnemu jej słowu!

I wtedy nagle go zobaczyłam takiego, jakim jest naprawdę, a nie jakim go widziałam do tej pory, bo dotąd moje widzenie było zakłócone przez żmudny proces wychowywania tego człowieka. Wiesz, o czym mówię, zawsze ich widzimy złożonych z tego, kim byli, i z tego, kim są, z przewagą tego pierwszego, i to pierwsze to jest bardzo dużo kolejnych obrazów, na które nakładają się coraz nowsze, a jeszcze te stare przebijają spod spodu, no rozumiesz, a mnie zawsze przebijał najmiłszy obraz tego dzidziusia z młotkiem pod pupą, ale, Boże kochany, przecież wychowaliśmy go wszyscy razem na świetnego faceta i trzeba było dopiero Doroty, żeby mi go pokazała takim, jakim teraz jest, ona mi po prostu podarowała całkiem nowego, wspaniałego syna! – to wszystko piszę teraz rozwlekle, ale wtedy ukazało mi się w jednym gwiazdzistym rozbłysku natchnionym – wskutek czego, roniąc łzy, zarazem się śmiałam jak obłąkana, rzuciłam się ścisnąć Dorotę, zawisłam na szyi Józka, a potem zaczęłam skakać z radości, tańczyć z nimi, znów ich ścisnąć, a na koniec odzyskałam mowę i wyciągając ręce, wrzasnęłam do sufitu:

– Boże! Boże! Dziękuję! Za wszystko!

I teraz sobie myślę, że popełniłam mały plagiat, bo tak właśnie zwykle mówi nasza Mama. Choć raczej po cichutku.

Moje dzieci – ach, moje dzieci! – wyczuwały mnie również, i tylko babcie stały, nic nie rozumiejąc, a może po prostu – będąc w szoku. Aleśmy im wytłumaczyli. Ależ była radość, kiedy to wreszcie do nich dotarło (zwłaszcza do Andzi, trzeba jej było trzy razy wszystko objaśniać, a zrobiła to Dorotka!).

Marek wypadł z naszego pokoju, przerażony moimi wrzaskami, a tak był rozespany, że też długo nie mógł pojąć, co się właściwie dzieje i dlaczego widok naszego syna tak mnie niesłychanie podekscytował. Wreszcie przyswoił wiadomość.

Ale nadał niewiele rozumie. Śpi znowu, tyle że z zadowolonym uśmiechem.

Ale Ty mnie rozumiesz, prawda? Chyba najlepiej ze wszystkich!

Mam wymarzoną synową! Szykowałam ją dla Ciebie, jak najlepsza ze szczodrych sióstr, a tymczasem ona ma być moją synową! I to ja będę babcią jej dzieci! Hura! I popatrz, jak idealnie nam się ułoży przyszłość zawodowa, zyskałam także koleżankę! Ach, będzie miała dobrze, zdradzę jej wszystkie tajniki zawodowe, wszystkie kruczki, wszystkiego nauczę! Przecież ona chce być laryngologiem!!!! I to pod moim wpływem!!!!

Jak tylko deszcz ustał, czyli przed godziną, Dorota zaprzęła Kobyłkę i odwiozła Józka do Was, bo on twierdzi, że rano musi wstać i pracować. Więc może ją poznasz. Może już tam u Was siedzi, pewnie tak, bo strasznie długo już jej tu nie ma. Ale co ja gadam, dlaczego miałyby się spieszyć z powrotem, skoro jest z Józkiem.

„Mój Józinek”, powiedziała!

Boże, znowu płaczę, jestem taka szczęśliwa i taka rozczulona. Moje dziecko jest w dobrych rękach!

Nie ma mowy, żebym dziś zasnęła.

Powiedz wszystko Mamie! To się jej spodoba!

Całuję Was!

Ida, bardzo szczęśliwa

PS I nagle coś do mnie dociera: w tej sytuacji chyba nie będę musiała kupować Domu! No, jakże to: od przyszłej synowej?! Cha, cha, cha! Powiedz to Florkowi. Już widzę jego minę!

PS2 I zobacz, to nasz Józinek jest tym chłopakiem, który pokonał Ignasia! Cha, cha, cha! Już widzę Twoją minę!

8.

Pięknie się ochłodziło – rzekł dziadek Borejko tonem nagłego odkrycia.

To jest pewne, zwłaszcza że mówisz to już trzeci raz.

– Czyżby, Milu? A jeśli nawet. Czyż nie miło tak sobie powtarzać? „Pięknie się ochłodziło”. Cudowne, orzeźwiające zdanie. To był ten oczekiwany przełom, Milu. Zawsze, kiedy nie można już dłużej czegoś wytrzymać, następuje przełom i oczyszczenie. Jakże mądrze urządzony jest świat! Upały już nie wrócą. Teraz noce będą chłodne, jak to w sierpniu, i ani się obejrzymy, jak nastąpi złota jesień. Kolejna.

– No, już, już. Tylko nie zaczynaj.

– Nie zacznę, Milu. Wiesz, cieszy mnie, że jesteśmy tu, u Florków. To jest takie krzepiące, że tu można sobie w każdej chwili dotknąć ziemi. I że stąd, z ganku, widać całe niebo. Nie będzie źle zasnąć tutaj na dobre, z widokiem nieba przed oczami, a nie – dźwigów i tablic reklamowych.

– Powoli, powoli, co ci tak spieszo. Lepiej zażyj tabletkę.

– Którą? Nigdy nie pamiętam i wszystkie mi się mylą.

– Różową wieczorną. Już po ósmej.

– Nie lubię tych tabletek. Mają przykry posmak.

– Łykaj, nie grymaś. Zjedz przedtem ciastko i popij.

Kończą mi się ciasteczka owsiane. Już mam tylko – ile? – cztery. Mam wrażenie, że ktoś plądruje moje zapasy.

– Ja nie. Nie lubię owsianych.

– Ty mogłabyś plądrować do woli. Milu. Są osoby, którym nie żałuję moich ciasteczek, i ty do nich należysz. Powiem więcej, jesteś na samym szczycie ekskluzywnej listy. Cóż, to pewnie chłopcy Rojków plądrowali. No, na zdrowie. Ale mogliby zapytać.

– Możliwe też, że sam je zjadasz.

– Bezmyślnie? Niepodobna.

– Nie twierdę, że bezmyślnie.

– Może to myszy?

– Myszy u Patrycji?!

– No tak, to niemożliwe. A może to Tygrysek mi podjadł, w jej stanie miewa się – jak słyhać – takie nieokiełznane apetyty. Wiesz, Milu, ciekaw jestem, kto to się urodzi. Im więcej tej dziatwy mamy wokół, tym ciekawszy jestem kolejnych nabytków. Nigdy nie przypuszczałem, że zapoczątkujemy – bezwiednie! – taką niezwykłą kolekcję osobowości.

Popatrz, jacy są oryginalni i wyjątkowi, jak żadna cecha się nie powtarza, jacy są nieprzewidywalni i pomysłowi – szczodrość i bogactwo Natury nie przestaje mnie zadziwiać.

– I słusznie.

– Ale, Milu, kiedy tak na nich patrzę, to widzę, jak ich wszystkich – przy całej odrębności – przenika coś wspólnego. Ciekaw jestem, czy zgadniesz, co to.

– No już powiedz, powiedz.

– Hm. Światło twojej miłości, Milu.

– Uch!... Zlituj się!

– Wiedziałem. Patos. Nie znosisz go. Ale nie umiem znaleźć innych słów, a to znaczy, że ich prawdopodobnie nie ma. Bo byłbym je znalazł, myśląc nad tym tak długo. Oni, widzisz, niosą ją w sobie, jak iskierki. Każde z nich. A wszystko miało swój początek w roku czterdziestym szóstym, ubiegłego stulecia. Pamiętasz, jak cię pierwszy raz ujrzałem?

– To raczej ty powinieneś pamiętać, hm?

– To prawda.

– Ale może raczej chciałeś zapytać, czy ja pamiętam ciebie, po raz pierwszy ujrzanego?

– Tak, raczej chciałem.

– Pamiętam. Jak masz rude loczki na czole i deklamujesz Mickiewicza o cichych, ciemnych, małych ludziach, i potem cię trzeba konspiracyjnie wyprowadzać z akademii szkolnej.

– A ty na mnie patrzysz najbardziej niebieskimi oczami na całej sali. Miałaś koronę z warkocza i wyglądałaś jak dumna królewna. Od razu wiedziałem, że rozumiesz, co mówię. I że mnie rozumiesz. Było to takie pierwsze, dziecięce przecucie prawdziwego związku dusz. I ciał, rzecz jasna, choć wtedy tego jeszcze nie miałem na uwadze. Potem poszedłem do czytelni Biblioteki Raczyńskich i znalazłem w mojej Mitologii ilustrację, na której zobaczyłem ciebie.

– Co ty powiesz? Nic o tym nie wiem.

– Właśnie niedawno mi się to przypomniało – Jędrus teraz czyta Parandowskiego. Wzruszony, zajrzałem nostalgicznie i trafiłem znów na to zdjęcie. Aż mi serce zabiło!

– A co jest na tym zdjęciu?

– Rzeźba. Centaur porywający Lapitkę. Też miała koronę z warkocza. Zajrzałem wtedy zaraz do słownika kultury antycznej i dowiedziałem się, kto to byli Lapici.

Wypożyczyłem sobie Iliadę. I tak się zaczęło. Widzisz? Byłaś u początku wszystkiego, Milu, a wiesz dlaczego? Bo jesteś moim aniołem.

– Ja?! A przestań! To już prędzej Lapitką. Nie bądźże taki sentymentalny na stare lata, bo aż mi coś w uchu zgrzyta.

– Cóż poradzę, kiedy jestem. Zwłaszcza na stare lata. Daj rączkę, Milu. Popatrz, poezja nas połączyła. I jest z nami stale, aż do... do teraz.

- Rączka za moment. Proszę bardzo, teraz połówka tej malutkiej Concor Cor. Popij.
- Tę lubię ze względu na nazwę. No i za to, że w całości składa się na kształt serca.
- A ja ci daję jego połowę, tak, tak. Mówisz to co wieczór.
- Właśnie. Czy to nie miłe?
- Za każdym razem tak samo.
- Zauważ, jak już wcześniej robi się szaro. Lubię te nasze wieczory na ganku, Milu.

Nawet jeśli pasiesz mnie tabletkami. Cicho tu, pachnąco, a dziś nawet chłodno.

- A nie przeziębisz mi się?
- Nie, nie. Jakżebym mógł! Popatrz, światła zakręciły od szosy. Chyba ktoś do nas jedzie!

- O tej porze?
- To nie gość zatem, tylko ktoś z rodziny.
- Ciekawe, kto.

– Wygląda mi to na golfa! – zauważyła Patrycja, która, słysząc warkot silnika, ciekawie wyszła z kuchni na ganek, nie przerywając obierania jabłka. – Czyli Ignas. Oho! Ale nie sam! Z białym kapelutkiem! I z obrazami na bagażniku!

Roztrącając wachlarzowato kałuże na podjeździe, golf – obciążony od góry sztalugą i blejtramami – zajechał z pluskiem pod sam dom, zahamował i przez chwilę stał nieruchomo, sprawiając wrażenie, że dotarł tu z najwyższym trudem.

Wreszcie wysiadł z niego Ignacy Grzegorz Stryba, powiedział: „uff”, otworzył drzwi z przeciwnej strony i pomógł wyjść Agnieszce.

– Poznajcie – rzekł swobodnie, wchodząc z nią po schodkach i ani na chwilę nie wypuszczając jej ręki – moją narzeczoną.

Ależ znamy ją powiedział dziadek, spoglądając ze zdziwieniem. – Przedstawiłeś nam ją w niedzielę. Uroczą.

– To nie była ona. To jest, pardon, to była ona, ale nie była jeszcze moją narzeczoną. A teraz jest.

– Aha. To przyjemne. Stwarza miłą perspektywę – rzekł dziadek z aprobatą.

Ignacy zwrócił się do Patrycji:

– Ciociu, czy znalazłoby się dla nas coś do jedzenia?

– Bój się Boga, chłopcze, czy ty musisz o to pytać? Idźże do kuchni i po prostu otwórz lodówkę!

– Zrobię też dużo mocnej herbaty. Agnieszka jest zmęczona. Mieliśmy ciężki dzień i mało czasu na wszystko.

– Ciężki? A to dlaczego? Porwałś swoją piękną Lapitkę? – zażartował dziadek, a Ignas spojrział na niego szczęśliwymi oczami i powiedział ze zwycięskim uśmiechem:

– A tak. Naprawdę ją porwałem! Pokonałem wiele przeciwności, i to w niezłym stylu! A na zakończenie wszystkich prób musiałem wejść do studni.

– Do studni?! – powtórzyła Patrycja, robiąc wielkie oczy.

– Co on mówi? – nie dosłyszał dziadek.

– Że musiał wejść do studni! – powtórzyła Babi trochę głośniej.

– A do jakiej? – zainteresował się dziadek.

– Lepiej zapytaj: po co.

– Tam była komórka – wyjawiał Ignas.

– W studni?!

– Komórka w jakim znaczeniu? – uściślał dziadek.

– Telefon. Mniejsza z tym. Już go mam.

– Mogłeś się utopić! – przejęła się Babi. – Kto to widział: włączyć do studni! Przecież to niebezpieczne!

– Najpierw też tak myślałem, ale on dzwonił i dzwonił. Musiałem go odebrać. I coś komuś w końcu powiedzieć.

– Co?!

– Żeby już nigdy więcej nie dzwonił.

– Ignasiu, podczas tej przydługiej a zadziwiającej wymiany zdań narzeczona twoja mogłaby już siedzieć – zwrócił mu uwagę dziadek. – Chodź tu, moje dziecko, zajmij miejsce przy nas i nie miej takiej niepewnej minki. – Przyjrzał się Agnieszce mądrymi, wszystko rozumiejącymi oczami i dodał: – Cieszymy się, że jesteś tutaj. Proszę cię, moja droga: oto ciasteczko owsiane. Moje ulubione. Spróbuj śmiało. Mam jeszcze trzy.

Ignacy, na ten widok uspokojony, już się kierował do kuchni, gdy nagle na ganek wyskoczył podekscytowany Jędrus i zbiegł po schodach, wołając:

– Jadą! Jadą!

I wymachując rękami, pobiegł przez wielkie kałuże w kierunku lasu, nad którym już wisiał żółtawy, odmieniony księżyc.

A z lasu, wlokąc nogę za nogą, wychodziła znużona Kobyłka. Ciągnęła bryczkę, w której Józinek właśnie całował Dorotę.



Jeżeli ta część Jeżycjady sprawiła Ci przyjemność,
możesz wyrazić uznanie dowolnym datkiem w bitcoinach, wysłanym na adres:
13vGUT836wYZsJ1U5n4Q3jkQnBJYSdPiaz
50% wpłat trafi do Autorki

W najbliższych planach kolejna,
już dwudziesta druga, powieść z serii Jeżycjada

CIOTKA ZGRYZOTKA

Po szczegóły i najświeższe wiadomości zapraszamy na internetową stronę autorki:
www.musierowicz.com.pl

Małgorzata Musierowicz urodziła się w Poznaniu, gdzie ukończyła Wydział Grafiki w PWSSP. Jej niezwykle popularne, pełne humoru książki dla dzieci i młodzieży zdobyły wiele prestiżowych nagród w kraju i za granicą, m.in. *Kwiat kalafiora* wpisany został na Listę Honorową im. Andersena przez jury International Board on Books for Young People (IBBY) przy UNESCO, *Noelka* została uznana za Książkę Roku przez Polską Sekcję IBBY, *Kalamburka* otrzymała główną nagrodę Dużego Donga w konkursie na dziecięcy bestseller roku. *Język Trolli* wpisany został na listę Białych Kruków Internationale Jugendbibliothek w Monachium.

W roku 2008 przyznano Małgorzacie Musierowicz Medal Polskiej Sekcji IBBY za całokształt twórczości.

Książki Małgorzaty Musierowicz przełożono na wiele języków europejskich oraz na wietnamski i japoński. Stały się one także podstawą adaptacji filmowych.

Dotychczas ukazały się dwadzieścia dwa tomy serii zwanej *Jeżycjadą*.

www.musierowicz.com.pl

Jeżycjada®

0. Małomówny i rodzina
1. Szósta klepka
2. Kłamczucha
3. Kwiat kalafiora
4. Ida sierpniowa
5. Opium w rosole
6. Brulion Bebe B.
7. Noelka
8. Pulpecja
9. Dziecko piątku
10. Nutria i Nerwus
11. Córka Robrojka
12. Imieniny
13. Tygrys i Róża
14. Kalamburka
15. Język Trolli
16. Żaba
17. Czarna polewka
18. Sprężyna
19. McDusia
20. Wnuczka do orzechów
21. Feblik

a także:

Tym razem serio. Opowieści prawdziwe

oraz zbiory felietonów:

Frywolitki, czyli ostatnio przeczytałam książkę!!!

Frywolitki 2

Frywolitki 3

gawędy kulinarne:

Łasuch literacki

Całuski pani Darling

Na Gwiazdkę

Musierowicz dla zakochanych

oraz, dla najmłodszych

Heliopter

Oficjalna strona Małgorzaty Musierowicz: www.musierowicz.com.pl



Jeżeli ta część Jeźycjady sprawiła Ci przyjemność,
możesz wyrazić uznanie dowolnym datkiem w bitcoinach, wysłanym na adres:
13vGUT836wYZsJ1U5n4Q3jkQnBJYSdPiaz
50% wpłat trafi do Autorki